



Książka opraciona dzięki
ofiarności prof. Janusza Tazbira

WNUK CHORAŻEGO.

ORISYON / YAKIN

Egz. archiwalny IBL

WNUK CHORAŻEGO,

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

PRZEZ

Teodora Tomasza Jeża.

INSTYTUT
ADAM MICKIEWICZ PAM.

Biblioteka

TOM I.

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Historyi o pra-pra dziadku i pra-pra wnuku
część czwarta.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1881.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Мая 1881 года.

1270

Е

Варшава, Nowolipki Nr. 3.

<http://rcin.org.pl>

ROZDZIAŁ I.

Wypadek na kolei.

Dzienniki wspomniały niegdyś o wypadku, jaki się zdarzył na kolei, na stacyi, której nazwa z pamięci mi wyszła. Wypadek miał miejsce przed laty. Posiadając kolekcye roczników kilku wychodzących w Warszawie gazet, mógłbym go odszukać i dosłownie przepisać. Nie czynię jednak tego z powodów dwóch: raz dlatego, że zabrałoby mi to czasu godzin, a może dni kilka, powtórę dlatego, że rzecz sama nie jest tak dalece ważną, ażeby warto było zaopatrywać ją w dokument reporterski. Wypadek zresztą nie miał następstw smutnych. Nie pociągnął za sobą ani śmierci, ani kalectwa, ani szkody niczyjéj i wszystko skończyło się na wielkim strachu, jaki ogarnął znane go powszechnie pana M. S. Opowiadam wedle doniesienia gazeciarskiego, które nie podało imienia i nazwiska osobistości, odegrywającej w wypadku rolę bohatera. Nie byłoby to bohater-

stwo koniecznie zaszczytne; wypadek zaś miał doniosłość niejaką, czysto atoli moralną: zawierał w sobie naukę dla tych, co lekceważą przepisy policyjne co do zachowywania się publiczności na kolejach żelaznych. Ze względu na naukę tę, jak się zdaje, podał go do wiadomości publicznej dziennik, chorujący na skłonność karmienia czytelników obroczeniem duchowym, niekiedy pod postacią sieczki, zawsze jednak w jaknajlepszej dawanym intencji.

Przekroczenia dopuściła się osobistość, w Warszawie znana powszechnie.

Rzecz się tak miała.

Sezon kąpielowy zbliżał się ku końcowi; znajdował się w tym momencie, w którym miejsca kąpielowe opuszczają nie ci, co się śpieszą, i nie ci, co do ostatniej zwlekają chwili, ale ci, co stanowią liczbę. Dyliżanse i inne środki przewozu w wielkim były ruchu, transportowały podróżnych secinami. Zdarzyło się, że na stacyą X. zjechała się wędrowców ilość ogromna. Szczupły dworzec kolejowy nie mógłby ich pomieścić; szczęściem atoli w dniu tym panowała prześliczna pogoda jesienna, dzięki której towarzystwo liczne, złożone z przedstawicieli płci mocnej i z przedstawicieli płci słabej, rozsypane w grupach przed dworcem, wzdłuż relsów, oczekiwało na pociąg, mający je zabrać do Warszawy.

Byli to powiększej części Warszawiacy i Warszawianki, rzeczywiści, z dziada pradziada, i przy-

brani, to jest tacy, co się przybrali sami, zamieszkawszy w metropolii nadwiślańskiej i przejawszy ów szyk szczególny, który to sprawia, że ludzi warszawskich cechuje wśród ogółu śmiertelników znamię jakieś osobliwe.

Towarzystwo tedy, złożone, jakem rzekł wyżej, powiększłej części — nie w zupełności zatém — z Warszawian i Warszawianek, oczekiwało na pociąg, mający nadejść niebawem, ale nie pierwszy. Pierwszy nie był dla podróżnych naszych, szedł bowiem w stronę przeciwną i na stacyi, jako kuryerski, nie zatrzymywał się wcale. Należało przeczekać przejście onego, oznaczone co do minuty na przybitym na ścianie rozkładzie jazdy. Podróżni wiedzieli o tém, czekali więc spokojnie, jedni siedząc na ławkach i stołkach, inni przechadzając się po peronie, wzdłuż relsów, po relsach nawet, pomimo że przechadzanie się po nich zabronione jest jaknajwyraźniej w przepisach policyjnych. Na zakaz ten atoli nie zważając, panów kilku i pań parę próbowało utrzymać się w równowadze na szynach. Była to zabawka, a oddawano się jej dlatego zapewne, że w towarzystwie wogóle wesołe panowało usposobienie, do czego przyczyniała się i piękna pogoda, łącząca ciepło łagodne z ożywiającym chłodem, a potem że dodawał jej ostrogi jegomość pewien, prezesem tytułowany, który, na uczynioną przez kogoś uwagę, że po szynach chodzić niewolno, odpowiedział:

— Co to niewolno!

Odpowiedź ta, rzucona po wielkopańsku, od niechcienia, brzmiała taką pewnością siebie, że wszelką usunęła wątpliwość, a to témbardziej, iż względem męża co ją dał służba kolejowa zachowywała się z pełną uszanowania grzecznością. Domyślać się w nim należało figury. Figura ta przedstawiała się pokaźnie w podróżnym paltocie zielonawo-szarego koloru, który był także kolorem kamizelki i rzeszty odzienia, okrywającego postać wzrostu więcej niż zwyczajnego. Paltot zapięty był na piersiach, mimo to jednak wyglądał z pod onego łańcuch złoty, przyozdobiony we wieszadełka, połyskujące drogiemi kamieniami. Połyski te strzelały jeszcze i z palców rzeczonego jegomości, a także i z piersi jego w postaci pierścionka brylantowego, przez który przewleczonym był cieniuchny fular, pełniący funkcją krawatki. Fular ów maskował w części brylanciki guziczków od koszuli, równie jak rękawy od paltota maskowały brylanty od guzików spinających mankiety. Słowem, drogie kamyki przeglądały wszędzie, gdzie jeno ulokować je było można, i blask ich znajdował się w harmonii zupełnej z blaskiem oblicza, jaśniejącego zadowoleniem i dobrym humorem.

— A no, panowie i panie! — wywoływał od chwili do chwili ubrylantowany prezes, zachęcając do chodzenia po szynach.

Wołania te nie ginęły jako głos na puszczy. Panowie próbowali jeden po drugim. Próbowaly i panie. Kiedy niekiedy na żelaznych krawędziach pojawiały się, pod draperyą falban, nóżki, ach! nóżki, które, gdyby nie obcasy, byłyby zachwycające. Obcasy monstrualne nietylko nóżkom Warszawianek wyrządzały krzywdę pod względem estetycznym, ale jeszcze i to sprawiały, że żadna z nich nie mogła utrzymać się na szynie w równowadze. Co która posunęła się i, unosząc spódniczki dogóry, przebierać drobnemi nóżkami poczęła, aliści wnet spadała. Lekkie i zgrabne istoty, sylfidy istne, które zdawało się że po połyskującej powierzchni kantów żelaznych prześliznąć się powinny były, jak po powierzchni jeziorak leśnych prześlizgują się babki wodne, istoty takie próby równowagi nie wytrzymały. Prezes, po brodzie się gładząc, śmiał się „jak bóg Pluton.”

— A no, panie, panowie! — wywoływał ciągle.

Panom téż nie wiodło się najlepiej. Liczono kroki. Rzadko któremu udało się ująć kroków piętnaście. Wbrew sylogizmowi, który powiada, że kto zrobił kroków piętnaście, zrobić może i szesnasty, ten ostatni do zrobienia nie był łatwy. Zdawało się, że cyfra szesnastka była liczbą zaklętą. Najlepsi w towarzystwie gimnastycy utykali na kroku szesnastym. Aż wystąpił człeczek pękaty, przykryty kapeluszem ze słomki panama, tak szerokim że głowy wcale widać z pod niego nie było; po rozmiarach jednak kapelusza domy-

ślać się należało, że musiała to być głowa wielka.

— A Lolo! Ano Lolo! — słysząc się dały głosy, brzmiące niedowierzaniem.

Człeczek, zwany Lolem, trzymał w ręku parasol koloru szamoa.

— Z parasolem? o! nie sztuka! — protestowano.

Lolo na protestacye nie zważał, i tylko, gdy na szynę wstąpił, wznosił ręce obie dogóry — w jednę trzymał parasol, w drugiej binokle. Parasol i binokle pomagały mu znać do utrzymania równowagi, szedł bowiem, szedł, ręce dogóry trzymając, ważył się i wkońcu okrzyk brawo! wywołał. Nietylko bowiem tego dokazał, że miął szczęśliwie fatalny krok szesnasty, lecz uszedł jeszcze kroków kilka.

— Brawo! — wołano — brawo! Lolo! ekwilibrysta!

— Niedziw — odezwał się ktoś, na ten ostatni odpowiadając wyraz — przecie dziennikarz.

— Prawda, na honor, prawda — rzekł prezes-wesoło. — A więc, kiedy tak, to i ja.

Mówiąc to, na szynę wstąpił. Wtém słysząc się dało gwiźnięcie lokomotywy.

— Pociąg! — krzyknięto.

Prezes atoli na okrzyk przestrogi nie zważał, z szyny nie schodził. Już widzieć się dał pędzący całą siłą pary, przez sapiącą gwałtownie lokomotywę poprzedzany szereg wozów, a on się jeszcze próbował. Na ostrzegające wołania odpo-

wiadał spojrzzeniami, które następującą myśl wyrażały: „Niebezpieczeństwo jeżeli zagraża, to nie mnie.” Zdawało się, jakby ufał w jakieś opuklerzenie, o które lokomotywa i wozy, zamiast przykrość bodaj najmniejszą mu wyrządzić, rozbić się były powinny. Nie schodził z szyny, aż gdy lokomotywa już dobiegła. Zeskoczył, lecz w stronę przeciwną; chciał się poprawić — zwrócił się—zbladł nagle i... runął wpoprzek.

Z piersi wszystkich obecnych wydarł się jeden wielki okrzyk przerażenia.

O ratowaniu mowy być nie mogło. Prezes leżał wpoprzek na szynach, a koła przednie lokomotywy znajdowały się prawie już na nim.

Panów owładnęło nieme przerażenie; z pań kilka zemdlało, inne podwracały się, oczy sobie zasłaniając i wołając:

— Jezus Marya!

Moment pełen był grozy wysoko tragicznej, tém tragiczniejszej, że następował po wesołości, jakiej oddawało się towarzystwo. Za chwilkę ubrylantowany prezes rozszarpanym miał być na kawałki — miał być rozmiądzonym, brocząc krwią własną to miejsce, na które wszedł z uśmiechem na ustach. I byłoby to nastąpiło niechybnie, gdyby nie pomoc niespodziana, nagła, a piorunna, która niby z nieba spadła. Ci, co tyle jeszcze przytomności umysłu zachowali, że patrzyć mogli, ujrzeli nad prezesem postać jakąś męczką: poskoczyła, nachyliła się i uskoczyła w bok,

z prezesem w objęciach. Ruchy, a raczej rzuty, które rezultat ten spowodowały, tak były szybkie, że nikt widzieć nie mógł dokładnie, jak to się stało.

Stało się jednak. Pociąg przemknął, niby strzała, i gdy grzmot, jaki przejście jego sprawiło, przeminął, towarzystwo kąpielowe, zdumiałe i jeszcze zupełnie z pod nacisku przerażenia niewyzwolone, otoczyło grupę, składającą się z prezesa omdlałego, spoczywającego w objęciach zbawcy swego, który, trzymając go, miał minę taką, jakby zapytywał: „Co z fantem tym robić?” Narazie nikt na odpowiedź zdobyć się nie mógł; nie minęło jednak sekund kilka, a odpowiedź się znalazła. Słyszec się dał głos szefa stacyi, wzruszeniem nabrzmiały:

— A to łaska Boska! Proszę państwa! nie-szczęście wisiało na włosku. Trzebaż wnieść pa-na prezesa, tu, o!

Ręką jedną na jedne ze drzwi dworca wskazywał, drugą zaś ku prezesowi wyciągał, chcąc w dźwiganiu ciężaru pomódz zbawcy. Ten atoli pomocy nie potrzebował. Ciężar nie należał wcale do rodzaju najmniejszych; prezes ważył około pu-dów pięciu, może sześciu, mimo to zbawca, bez oka-zywania wysiłku nadzwyczajnego, poniósł go kro-ków kilkadziesiąt, próg z nim przestąpił i, zło-żywszy omdlałego na kanapie, oddalił się.

Dopieroż bohatera wypadku otoczyła troskli-wość.

Ile było flakoników z rozczyrnami i solami, wszystkie się przesuwaly kolejno pod nosem prezesa, któremu szef stacyi rozpiął paltot, kamizelkę i pasek, a pani szefowa wódką kolońską skroń i czoło nacięrała. Któs radził bryzgnąć na twarz wodą, lecz ze służby kolejowej nikt nie ważył się na coś podobnego. Odważył się jednak na to Lolo dziennikarz. Nabral wody usta pełne, kryzy kapelusza podniósł nieco z przodu i z siłą całą posłał prezesowi na oblicze strumień wody, rozbitę na kropelek tysiące. Środek ten odniósł skutek požądany.

— Uf! uch!—krzyknął prezes.

I podniósł się, oczy otwierając szeroko.

Szmer uradowania rozległ się wśród obecnych.

Wnet jednak prezes powieki znów zamknął i na poduszki opadł.

Szmer uradowania ucichł.

— Wody! jeszcze!—odezwał się Lolo.

Lecz prezes dłonią parę razy kiwnął, jakby na znak, że życzy sobie, ażeby pryskanie zaniechaném zostało. Kilkadziesiąt par oczów, pomiędzy którymi par kilkanaście niewieścich, patrzyło w oblicze omdlałego, który chwilowo miał powieki zamknięte i oddychał powoli—oddychał, jak oddycha wróbel w powietrzu rozrzedzoném pod dzwonem maszyny pneumatycznej, wreszcie odechnął głęboko, powieki otworzył, okiem napół zdziwioném dokoła powiódł i wlokącym się głosem zapytał:

— Gdzież jestem? Co się ze mną dzieje?

— O!—rozległo się wołanie.—Prezesie! Prezesie kochany!

— Żyje? co?

— Żyjesz! Bodajbyś żył i żył.. lat setki!

— Jak to miło, och! jak to miło — odezwał się uratowany, na kanapie siadając — znaleźć się w razie podobnym wśród życzliwych, wśród przyjaciół, i spotkać dowody spółczucia. Wierście mi, panie panowie, że po wypadku takim chce się żyć.

— Chceniu twemu zadość się stanie, ku zadowoleniu naszemu—odparł Lolo dziennikarz—i ku zadowoleniu tych wszystkich, których hojnie wspiera ręka twoja, prezesie szanowny.

— O, panie — podchwycił prezes protestacyjnym tonem—nie zaczynaj z tonu tego. Czy ręka moja wspiera, czy nie wspiera, to do rzeczy nie należy. W chwili tej mowa być winna nie o tém, lecz o wdzięczności, jaka się odemnie zbawcy memu należy. Panie szefie! — dodał, zwracając się do naczelnika stacyi, który się był w głąb usunął.

— Słucham pana, panie prezesie—odrzekł wezwany, podchodząc bliżej.

— Dostaniesz pan gratyfikacją i awans, a to wszystko zato, żeś mi życie uratował.

Obecni spojrzeli na szefa, który oczy spuścił.

— Piękny czyn taki bez wynagrodzenia pozostać nie może — ciągnął prezes. — Gratyfikacją dostaniesz pan z mojej kieszeni, z mojej własnej

kieszeni, a co się zaś awansu tyczy, wniozę takowy na najbliższém rady zawiadowczej posiedzeniu, któremu przydować będę osobiście, i nie wątpię że rada wniosek mój uwzględni. Jeżeliby zaś — dodał — z członków który zaproponował udzielenie panu gratyfikacyi z kasy, w razie takim ja temu oponować nie będę. Gratyfikacya podwójna nie zaszkodzi panu, a tylko pana i wszystkich naszych na kolei współpracowników przekona, że zarząd główny oceniać umie czyny piękne.

Niewiadomo, jakby szef przyjął przemowę powyższą, gdyby wypowiedziana była w cztery oczy. Wobec jednak świadków tyłu, sprawiła mu ona widocznie przykrość niewysłowioną. Słuchając jęj, oczy spuszczał i z nogi na nogę przestępował, gdy zaś prezes mówić przestał, zaczął:

— Panie prezesie, aczkolwiek obowiązek mój, ale...

Odchrząknął i odetchnął.

— Rozumiem skromność pańską — przerwał prezes — i oceniam ją, zwłaszcza przy świadkach tyłu. Nie wahałeś się jednak przy tychże świadkach spełnić, z narażeniem życia, uczynku tak pięknego.

— Ależ, panie prezesie — zawołał szef — to nie ja!

— Nie pan? — zapytał prezes ze zdziwieniem.

— Aczkolwiek, panie prezesie, ja... to jest... byłbym, hm, za pana prezesa życie chętnie nara-

ził, ale w chwili, kiedy lokomotywa na pana prezesa najeżdżała, znajdowałem się przy zwrotnicy, której musiałem pilnować, bo, broń Boże czego, ten pociąg byłby wjechał wprost na drugi, co nadejdzie za chwilę... no... dopięro byłaby kasza!

— Widziałeś pan wszakże, w jakiej znajdowałem się sytuacji — wstając i zapinając się, wtrącił prezes tonem, nie pomyślnego szefowi stacyi niewróżącym.

— Widziałem, panie prezesie, ale... zwrotnica.

— Zwrotnica — precedził prezes przez zęby, z przekąsem.

Znaczenie tego tłumaczenia się szefa na tém polegało, że gdyby był zwrotnicy nie dopilnował, byłoby nastąpiło spotkanie się idących naprzeciwko siebie po jednym i tymże samym torze pociągów, a więc, obok szkody, jakąby towarzystwo kolei w rozbitych lokomotywach i wagonach poniosło, śmierci i kaléctw bez liku. Następstwo to porównał szef w umyśle swoim z niebezpieczeństwem, jakie prezesowi zagroziło, i uznał to ostatecznie za mniej ważne od tamtego. Mając do wybierania pomiędzy dwojgiem złego, wybrał większe i temu zapobiegł, pozostawiając mniejsze losowi własnemu. Któż, na rzecz tę z obiektywnego zapatrując się punktu, nie przyzna, że szef całkiem racjonalnie obowiązek swój spełnił? Jeżeli na gratyfikacyą i na awans zasłużył, to właśnie dlatego, że nie odbiegł zwrotnicy dla prezesa rady zawiadowczej, którego zniknięcie

ze świata byłoby smutkiem wielkim napełniło serce córki jedynaczki, spadkobierczyni fortuny kilkakroć milionowej, nie sprawiłoby jednak innej szkody żadnej. Rada zawiadowcza znalazłaby sobie prezesa, nietyle może dowcipnego, ale równie dobrego; towarzystwo pocieszyłoby się rychło; uszczerbku zaś rzeczywistego nie poniosłby nikt. Szef bez wahania się pośpieszył na ratunek liczby: widocznie nie podzielał zdania tych, co w razach podobnych zważają nie na ilość, ale na jakość.

Podzielając atoli zdanie tych ostatnich, zachodzi pytanie: czy jakość znajdowała się po stronie prezesa? Ażeby orzec we względzie tym, wiedziećby należało, kto mianowicie jechał pociągiem z Warszawy. My o tém nie wiemy i wiedzieć nie możemy. Wiemy tylko, że prezes markotay nieco wyszedł z izby szefa na peron i wyszedłszy, nosem parę razy czmychnął, wykonawszy przytém lekki ramionami ruch. Tak czynić zwykli ci, co czują że im coś nie po myśli poszło. Wyczmychawszy się, rzucił przez nos „hm” i dłoń podnosząc, odezwał się:

— Ależ przecie jest ktoś, co mnie uratował i któremu należy się ze strony mojej wdzięczność!

Obecni wszyscy oglądają się jęli.

— Czy nie pan? — zapytał, do Lolo się zwracając.

— O nie — odparł zagadnięty — ja tém się tylko pochwalić mogę, że cię, prezecie szano-

wny, do życia przywołał. Nikt odważyć się nie mógł w oblicze ci wodą bryzgnąć; jam się odważył! Do pewnego przeto stopnia uratowałem cię, ale nie z pod kół lokomotywy, nie. Przyznaję sobie, we względzie zasługi, co mi się słusznie należało, niewięcej, ale ani też i niemniej. Bezemnie, bez odwagi mojej, kto wie czyby się były przydały na co sole, rozcyny i wódka kolońska. Trzeba było reakcyi silnej, ażeby obudzić przegasaające życie. Byłeś, przecie, straszliwie błądy.

— Błądy byłem? — zapytał prezes tonem troskliwości, do dam się zwracając.

— Jak opłatek — odrzekła bruneta jakaś z pod parasolika.

— Doprawdy? błądy byłem?

— Jak chusta — odezwała się druga.

— Koniec końcem — zaczął prezes, głos podnosząc — było koło mnie bardzo kręto, byłoby bardziej jeszcze kręto, gdybym był na szynach pozostał. Kto mnie tedy wydobył ztamtąd?

Z zapytaniem tém zwrócił się do barczystego jakiegoś Warszawianina, który z pośpiechem odpowiedział:

— Nie ja.

Zwrócił się do drugiego; ten drugi podchwycił:

— Ani ja.

Kto wie, ażeby nie pytał aż do nadejścia pociągu, gdyby jedna z pań nie zwróciła uwagi prezesa w stronę przeciwną tej w którą patrzył,

ukazując mu gestem mężczyznę, siedzącego pod dworkiem na stołku i palącego spokojnie papierosa.

— Kto? ten pan? — odezwał się prezes półgłosem.

— Tak — odpowiedział dziennikarz z pod kapelusza.

— Widziałem go, jeżeli się nie mylę, u wód.

— Widziałem go i ja.

— Któż to taki?

— Hm — mruknął Lolo, ramionami ruszając, i dodał: — Trzeba jednak dowiedzieć się, co to za jeden, podając bowiem wypadek do wiadomości publicznej, należy go przyozdobić w imiona własne. Bądźcobądź, to bohater.

— No a ja? — prezes na to.

— No tak, tak zapewne. Jesteś bohaterem i ty, prezesie nasz szanowny, ale w odmiennym rodzaju. Heroizm na rodzaje się dzieli. Tyś bohaterem wypadku, ten zaś nieznajomy bohaterem czynu. Kto on jednak taki? Jeżeli mnie nie zawodzi zmysł spostrzegawczy, to on coś na Ukrainca kroi. Ale jak się nazywa? jakby się o tém dowiedzieć? zapytać? co? nie wypada.

— Zaprezentować się mu — podchwycił prezes.

— Tak. To sposób jedyny. A więc, prezesie, czasu nie tracąc....

Postąpili kroków kilka i zatrzymali się przed nieznajomym.

— Panie — zaczął prezes pierwszy — uratowałeś mi życie, mam więc sobie za obowiązek,

przed wynurzeniem wdzięczności, jaką dla ciebie przejęty jestem, przedstawić ci się. Jestem Murycy Sonne.

— Bardzo mi miło — odrzekł nieznajomy, wstając.

— Ja także, przyłączając się do wdzięczności ogólnej, przedstawiam się panu — dodał dziennikarz — jako Karol Kozubek, redaktor Gońca nadwiślańskiego, przyszedł autor opisu zdarzenia, w którym odegrałeś pan rolę tak wysoko heroiczną.

— Ba! — odparł nieznajomy. — Grzeczność nakazywałaby mi dać panom nawzajem nazwisko moje. Wybaczcie mi jednak, że nie mogę tego uczynić. Nie chciałbym — dodał, widząc gest protestacyi ze strony redaktora Gońca — ażeby nazwisko moje figurowało w opisie. Będę bodaj do czasu korzystał z mimowolnego incognito, w jakim znajduję się wobec panów i całego tu obecnego kąpielowego towarzystwa. Spodziewam się, że panowie nie wezmiecie mi tego za złe.

— Przepraszam — podchwycił dziennikarz. — Weźmiemy to panu za złe, i bardzo, o! bardzo. Schować, zataić chcesz czyn, który, jako wzór do naśladowania, podany wyrzucić powinien wpływ moralny zbawienny.

— Ja — odrzekł zaczepiony z uśmiechem — chowam, taję nie czyn, ale imię moje. Nie zaprzeczam panu prawa podawania czynu do wia-

domości publicznej, chcę tylko dla nazwiska mego uniknąć reklamy.

— Ha! na to rady niema. Wszelako — zaczął redaktor.

— Pragnąłbym jednak wiedzieć, komu zawdzięczam życie — podchwycił pan Maurycy Sonne z przyciskiem. — Byłby to dla mnie rodzaj zaspokojenia sumienia, które... którego...

— Jeżeli o to chodzi, to, pod warunkiem że pan — przerwał nieznajomy, gestem głowy wskazując na redaktora — nie opublikujesz nazwiska mego; nie mam żadnej słusznej przyczyny ukrywać się z takowem, tém bardziej, że — tu gestem na prezesa wskazał — mam na pana weksle, które i tak mnie zdradzają. Nazywam się Adam Jeź.

ROZDZIAŁ II.

Zbawca.

Wypadek, w rozdziale poprzednim opisany, jest to sobie wypadeczek, którego z przysypanych pyłem zapomnienia kolumn dziennikarskich wydobywałyby niewarto, gdyby nie to, że nadał się mi jako introdukcya powieściowa.

— Introdukcya powieściowa! cóż to za zwierzę?—zawoła z Zoilów niejeden.

A no — jest to coś takiego, jak introdukcya muzyczna. W wytworach sztuki dzieła jednego rodzaju tłumaczą się zapomocą języka, odnoszącego się do rodzaju innego. Pochodzi to ztąd, że piękno, będące jednem i jednakiem, przenika jednakowo rodzaje wszystkie i, przenikając, następuje porównania, objaśniające utwór bądź w całości, bądź w częściach. Introdukcya w muzyce zaznacza temat i styl sztuki, w której się odgrywa. Analogiczną rolę odegrywa ona i w powieści. I w powieści odzywać się powinna, jeżeli

autor do dzieła bierze się z rozmysłem i z zastanowieniem.

Ustęp powyższy skreśliłem a d u s u m d e l p h i n o r u m, bałamucących zazwyczaj, gdy za przedmiot wykładu biorą konstrukcją powieściową. Dopełniwszy obowiązku tego, wracam do opowiadania.

Wyjawienie nazwiska przez Adama sprawiło na dziennikarzu wrażenie niejakie. Poprawił na głowie kapelusz, poprawił na nosie pince-nez i odezwał się:

— Jeżeli zapytać wolno, czy nie zachodzi stosunek jaki rodzinny pomiędzy panem, a Teodorem Tomaszem?

— To krewny mój dosyć blizki, nieznan mi jednak osobiście.

— Pan masz w rodzinie autora?—podchwycił prezes.—Jakże mi to miło! o! bardzo miło!

Adam z lekkim zdziwieniem patrzył prezesowi w oczy, czekając na wyjaśnienie preześń powodów, dla których mu tak jest miło, że Adam ma autora, pozostającego z nim w stosunkach pokrewieństwa. Nie doczekał się jednak wyjaśnienia. Słysząc się dał nagle gwizd lokomotywy i pociąg się zatrzymał.

Podróżni pogarnęli się do wagonów.

— Ale ja pana akaperuję—przemówił prezes do Adama, wyciągając ku niemu dłoń z giestem, oznaczającym obejmowanie w posiadanie.—Pojeździemy do Warszawy razem.

I zwrócił się ku wagonowi pierwszej klasy.

— Wziąłem bilet do drugiej — zaprotestował Adam.

— Zemną bilet niepotrzebny panu — odparł prezes — proszę.

Ukazywał ręką na drzwiczki, przy których stał konduktor, w postawie uszanowanie wyrażającej.

Adam wsiadł, po Adamie wsiadł prezes i drzwiczki się zamknęły.

— Uf! nareszcie — odezwał się ten ostatni, wyciągając się. — Ale — zawołał nagle, przez okno głowę wychylając — panie Kozubek!

Zawołał raz i drugi i głowę cofnął.

— Niema go, pośpieszył się i do innego wsiadł wagonu. Szkoda! Ja tak lubię — dodał w formie objaśnienia, zwracając się do Adama — protegować. Ja proteguję wszystko: piśmiennictwo, sztuki piękne, nauki, wszystko. Gdyby się tu znajdował krewny pański, zaprosiłbym go z sobą do wagonu, jechalibyśmy we trzech. Czy pan nie autor? — zapytał.

— Nie, panie — odrzekł Adam.

— Hm, szkoda. Pan nie autor, no, ale zato krewny pański.

— Tak, mój krewny... pisuje.

— Pan, piśmiennictwo protegując, wiesz zapewne...

— Tak... no... ja wiem, ale, mając na głowie interesów tyle, nie pamiętam detalów. Zato Dola

zna to na końcach paluszków swoich. To jój wydział specjalny.

— Pan czasu nie masz zajmować się drobiazgami tego rodzaju?

— Właśnie też. Gdzie mi tam do tego! To Doli rzecz, a Dola to córka moja, której pozwolił pan się przedstawić.

Adam głową na znak przyzwolenia skłonił.

— Moja córka—dodał prezes—od półtora roku wdowa, kobieta, o której, gdyby córka moja moją nie była, powiedziałbym: doskonałość wcielona. O! cóż to za kobieta! — tu razy parę emoknął.—Toż ona panu wdzięczną będzie!

— Za co?—wtrącił Adam tonem lekceważenia.

— Jakto, za co—obruszył się prezes.—Toś pan, widząc mnie na szynach, nie wiedział chyba, kto ja taki.

— Zkądżem miał wiedzieć? Anim się domyślał.

— A dlaczegożeś mnie ratował?

— Dlatego, żeby pana śmierci wydrżać.

— Paneś się jednak sam na śmierć naraził.

— Nie myślałem o tém.

— No, to ja już nie rozumiem tego. Rzucać się na śmierć pewną prawie, nie wiedząc za co, na to trzeba być, hm? na to być potrzeba...

Nie mógł prezes wykrztusić wyrazu, który mu na języku wisiał.

— No, nie rozumiem tego. Bo tam śmierć była pewna. Jam był umarły już. Umarłem, jakem tylko lokomotywę tuż nad sobą poczuł. Nie mia-

łem już ani władzy, ani pamięci, ani uczucia, a pan? I co pana popchnęło? co? Co się panu stało? Tylu tam było innych, co mnie znali. Szef stacyi stał przy zwrotnicy i widział. Nikt ani się ruszył, tylko pan. No, na to być chyba potrzeba...

— Nie czém inném, tylko człowiekiem — do-
kończył Adam.

— Człowiekiem?—podchwycił prezes.— Alboż każdy z tych, co na mój upadek patrzyli, nie był człowiekiem?

— Tak, i każdy téż jednakowego doznał wra-
żenia.

— A czemuż mi każdy nie pomógł?

— Dla racyi bardzo prostej — odpowiedział Adam.— Wrażenia niejednakowo na systemy nerwowe działają. Przerażeni byliśmy wszyscy widokiem pana, mającego być pod kołami lokomotywy rozmiądzonym.

— Nie wyrażaj się pan tak — wtrącił prezes — dreszczem mnie to przejmuje.

Dreszcz wtrząsnął nim w rzeczy samój.

— Przerażenie jednak — ciągnął Adam — jednych obezwładnia, na drugich wywióra wpływ wybuchającej pod nogami miny. Zależy to od nerwów.

— Bardzo dobrze. Ależ zastanowienie! Nie przyszłoż panu na myśl, że i pan możesz być roz... roz...?

— ...miądzonym? Działanie nerwów odbywa się szybciej, aniżeli działanie myśli. Myśl wyma-

ga kombinacyi, kombinacya zaś czasu. Gdyby go zbrakło... Gdyby? hm. Nie wiem, co by się wtedy stało. Lepiej jednak że się stało tak, nieinaczéj.

— Że lepiej—podchwycił prezes—to najmniejszej nie podlega wątpliwości. Uratowałeś pan człowieka, którego, nie chwaląc się, byłoby szkoda.

Adam nic na to nie odpowiedział. Zwrócił się ku oknu i przypatrywać się zdawał widokom które uciekały szybkim pędem, pokazując się i znikając. Nie były to wcale widoki osobliwe. Za jedyne urozmaicenie służyły im wioski i sosnowe lasy, odbijające od żółtawego tła ściernisk, pozostałych po zbiorach zbóż różnego rodzaju. We wioskach widzieć się dawały tu kościołek, ówdzie dwór, okolone wioskami. Na polach ukazywały się gdziegdzie pługi, odwracające skiby gleby rodzajnej. Rzuciała się wogóle w oczy monotonność, powlekająca krajobrazy kolorytem smętnym, którego nie rozweselało słońce jesienne, świecące niby z łaski. Nad polami wałęsały się w powietrzu pajęczyny, czepiały się badyli i powiewały na takowych, niby flagi.

Adam, patrząc przez okno wagonu, wodził okiem po polach, lasach, wioskach, po pługach i pajęczynach, na niego zaś patrzył pilnie prezes i zdawało się, jakby studyował postać tego człowieka, którego los sprowadził umyślnie w tym celu, ażeby uratował życie ubrylantowanemu bogaczowi. Oglądał go uważnie od stóp do głowy, pomimo że postać ta nie należała wcale do ro-

dzaju postaci „zajmujących.” Na pierwszy rzut oka nie uderzało w nią nic i po dłuższym dopiero przypatrywaniu się odkrywać się dawały jakieś niby garby, jakieś znaki, rysy, naznaczające ją cechą właściwość jej stanowiącą. Nie było to wyróżnienie, ale—powtarzam—właściwość, przebijająca się z jakichś głębin, mówiąca o harcie duszy, o sile woli, o odwadze i innych w tym rodzaju przymiotach, nieznajdujących się w człowieku pierwszym lepszym. Przymioty te atoli przedstawiały się w taki sposób, jakby nie one stanowiły tło duszy, lecz odnosiły się do tła, które zagadkowość osłaniała. A zagadkowość to—urok.

Adam miał w sobie coś uroczego, co ku niemu pociągało, a pociągało z tej głównie przyczyny, że się przeczuwało w nim potęgę, pomimo iż takowa nie uzewnętrzniała się na powierzchowności jego, na której zamaskowane pozorami spokoju i swobody malowało się cierpienie. I tu jednak przedstawiała się zagadka. Było-li to cierpienie, czyli też była to burzliwość ducha? Jedno albo drugie. Ta stojąca, krystaliczna woda domyślać się kazała w głębinach swoich prądów i wirów, mogących lada chwila trysnąć fontanną, lub zahuczyć kaskadą. W błękitnych jego oczach jaśniała pogoda, lecz niepewna jakaś, zależąca od brwi, których lada ściągnięcie groźbę burzy sprowadzało. Wogóle owiewająca go zagadkowość wyrażała się pod postacią następującego

zapytania: Czy to łotr, czy człowiek prawy? Jeżeli łotr, to biada tym, których losy w stosunki z nim wprowadzą; jeżeli to człowiek prawy, to wrazie każdym liczyć na niego, niby na Zawiszę. Mógł mieć mniejwięcej lat trzydzieści i, wedle tego jak się prezentował, uważać go należało za osobistość, cieszącą się bytem niezależnym, zwanym przez Francuzów *honorable aisance*. Łatwem to jest do poznania, nabrawszy w obcowaniu z ludźmi doświadczenia pewnego. Człowiek, któremu niedostatek dokucza lub grozi, jest takim, jakby mu coś zawadzało; złocona nędba nastawia się; ten, któremu wskutek zbytkowania końce nie schodzą się, sztukuje fanfaronadą; ten co ma dosyć i zbytkuje, drapuje się w dumę teatralną. Uzewnętrznianie się to wartości wewnętrznej cieniuje się do nieskończoności; lecz człowiek doświadczony umie poza cienia i odkryć istotę rzeczy i ocenić należycie osobnika, choćby widzianego w życiu po raz pierwszy.

Przypatrywanie się uważne prezesa Adamowi nie miało czego innego na celu, tylko odgadnięcie, co zacytowany jest zbawca ów. Ani nazwisko Jeź, ani okoliczność ta, że ten Jeź jest krewnym tego „co pisze,” do rozwiązania zagadki onęj klucza nie dawały. Gdyby prezes wiedział, co pisze ów który pisze, możeby świadomość ta posłużyła mu do ułożenia formuły wedle reguły trzech i wynalezienia X. Protektor atoli literatury był we

względnie tym ciemnym absolutnie. Literaturę całą widział w „Gońcu nadwiślańskim,” a literatów wszystkich w Kozubku, wyobrażając sobie, że wszystko, co poza tém istnieje, jest niczém inném, tylko tłumem satelitów, krążących około księżyca, jaśniejącego światłem, padającym nań od słońca, za które miał siebie, bankiera i przedsiębiorcę. Pomimo atoli niekoniecznie trafne literatury pojmowanie, trafnym był we względnie przenikania majątkowego stanu śmiertelników, z którymi się spotykał. Umiał ich detaksować od jednego oka rzutu. Stanowiło to jego stronę mocną, której, jak się zdaje, zawdzięczał wielkie w interesach powodzenie. Lecz jak niéma reguły bez wyjątku, tak i ta strona mocna nie dopisała prezesowi w odniesieniu do Adama. Rzucił nań okiem i nie ocenił go odrazu; przypatrywać się mu jął uważnie i nie był swego pewnym.

„Ten mój zbawca — powiadał sobie w duchu — to jakiś człowiek głęboki.”

Powiedzenie to stosowało się ściśle i wyłącznie do stanu majątkowego, do strony materialnej; stosować się atoli mogło i do strony moralnej. Prezes podejrzywał zbawcę swego o dziesięć do piętnastu tysięcy rubli dochodu i bardzo był ciekawym, czy téż sprawdzi się to podejrzenie. Zaspokojenie ciekawości byłoby łatwém, uciekając się w tym celu do prostego zapytania, gdyby nie to, że w ogólnym powierzchowności młodego człowieka układał panował ton, nakazujący szacu-

nek, a zatém powściągający ciekawość. Prezes jednak cierpliwym być umiał. Przypatrywał się, badał i sprawdzenie podejrzenia do sposobniejszej odłożył chwili.

„Ma na mnie weksle — pomyślał sobie — zgłosi się więc do banku. Przytém wszak to mój zbawca: obowiązany więc jestem do siebie go zaprosić i Doli przedstawić. Jakie téż on na niéj sprawi wrażenie?”

„Là où la forme domine, le sentiment disparaît” — powiedział jeden z rodziców powieściopisarstwa francuzkiego (Balzac). W Adamie forma nie panowała. Nie należał on do rodzaju ludzi pokaźnych; nie zwracał na siebie uwagi ani wzrostem, ani budową, ani pięknnością. Co do wzrostu, nie przechodził miary średniej; co do budowy, nie wykazywał niedostatku żadnego; co do pięknności, oblicza jego nie odznaczały rysy tak dalece poprawne, ażeby stosunek ich wzajemny układał się w doskonałość harmonijną. Oczy miał błękitne, jak powiedziałem wyżej, czoło kształtne, nos regularny, wąs płowy, niezbyt duży, ocieniał mu wargę wierzchnią i przysłaniał nieco usta; włosy, barwie wąsów odpowiadające, nosił krótko przyszyżone. Jeżeli jednak nie szczególnego o rysach oblicza jego do powiedzenia nie było, to zato na szczególną zasługiwała wzmiankę forma czaszki, która się oznaczała dokładnością rozmiarów taką, że za typ służyćby mogła. To jedno w oczy się rzucało, lubo w spo-

sób dla ogółu nieświadomy. Kraniolog, obejrzawszy tę głowę, miał powody do zawołania: a! i do życzenia, ażeby ona kiedyś w anatomiczném figurowała muzeum. Śmiertelnik zwyczajny nie wiedział dlaczego, spojrzawszy na Adama raz, spojrzeć się na niego chciało raz drugi i trzeci. Chcenie to sprawiała harmonia kształtów, układająca się wedle kąta twarzowego, przedstawiającego rozwartość, od rozmiarów której zależy stopień człowieczości. Im rozwartość większa, tém człowieczość wyższa. Na wyższość tę jednak — rzecz prosta — istnieje miara, od przekroczenia której poczyną się potworność. Miara u Adama zatrzymywała się na stopniu jeżeli nie najwyższym, to bardzo wysokim, i to sprawiało, że ogólny fizyognomii jego wyraz takie wywierał wrażenie, jakie wywierają typy wszelkie, zastanawiające i pociągające ku sobie, niewiadomo dlaczego. Posiadają one tę właściwość, że wzbudzają ufność nieokreśloną.

Pokazywało się to i na prezesie, któremu, pomiędzy innemi rzeczami, przyszło na myśl i to, coby począł, gdyby zbawca zażądał od niego kredytu. Myśl ta zakłopotala go nieco i spotęgowała ciekawość jego we względzie majątkowych Adama stosunków. Życzył sobie, ażeby Adam był bogatym, uznając atoli że mało było szans, ażeby życzenie to spełnić się mogło. Przywołał bowiem pamięć na pomoc i w niej nadaremnie szukał Jeża. Gdyby Jeż jaki był bogatym, to

i któżby o tém wiedział, jeżeli nie on! Nazwisko to nigdy w życiu o uszy się mu nie obijało.

„Mniejsza jednak o to — rzekł do siebie po namyśle.—Jeżeli zbawca mój niebogaty, to nie zdaje się przynajmniej, ażeby miał być ubogim. Tak, posiadać musi dziesięć do piętnastu tysięcy dochodu, a może ani dziesięć, ani piętnaście, ale pięć, trzy, dwa, hm? Nie widać jednak po nim, ażeby miał być rozrzutnym, marnotrawcą, pożeraczem rubli. Przypuszczać przeto należy, że, co się kredytu tyczy, hm...”

Tak się nasz prezes pocieszał, tymczasem zaś pociąg pomykał, zatrzymując się nakrótko po stacyach, mijając takowe i zbliżając się coraz bardziej do Warszawy. Po wyruszeniu z przedostatniego przed Warszawą przystanku, prezes zapytał towarzysza swego:

— W którym się pan zatrzymasz hotelu?

— Nie wiem — odpowiedział zapytany—spuszczę się we względzie tym na natchnienie.

— Musisz przecie mieć zajazd jakiś znajomy.

— Nie mam żadnego.

— Jakże to? — rzucił prezes z akcentem zdziwienia.

— Nigdy jeszcze w Warszawie nie byłem.

— A! nie byłeś pan w Warszawie nigdy jeszcze? Nie znasz pan miasteczka naszego? Ciekawym, jak się ono panu spodoba. Warszawa wogóle silne na wieśniakach wywiéra wrażenie.

— I ja się wrażeń spodziewam — odparł Adam—pomimo że wieśniakiem, w ścisłym wyrazu tego znaczeniu, nie jestem.

— Chociażby. Zawszeż to miasto wielkie.

— Znam większe: Wiedeń, Paryż, Londyn.

— Warszawa gaśnie przy nich — zauważył prezes, spoglądając na Adama z ukosa.

Miał go za przybysza z prowincyi, okrzesanego i opolerowanego w jednem z miast takich, jak Lublin, Sandomierz, Kalisz, doznał przeto tego rodzaju zdziwienia, jakie zazwyczaj towarzyszy przymusowej zmianie opinii.

„Bywalec” — pomyślał sobie.

Zdobył atoli materją do rozmowy, którą wnet wyzyskać zamierzył. Zapytał więc:

— Długo też pan łaskawy za granicą przebywał?

— Dwa lata.

— Najdłużej, oczywiście, w Paryżu.

— W Paryżu mieszkałem miesiące pięć, dwoma nawrotami.

— W którym mianowicie czasie?

Adam, podniósłszy na chwilę oczy do góry, jak czynić zwykł człowiek gdy wspomnienia zbiera, odpowiedział:

— W roku zeszłym, w miesiącach styczniu, lutym, marcu i kwietniu i w tym roku przed sześciu tygodniami.

— W lutym właśnie roku przeszłego i ja w Paryżu byłem. Wyjeżdżałem z córką moją, która

świeżo owdowiawszy, potrzebowała rozrywki. Czemużemy się nie spotkali?

— Innemi zapewne chodziliśmy drogami—odparł Adam, nadając wyrazowi ostatniemu akcent dwuznacznika.—Jam rozrywek nie szukał.

— Bywać pan jednakże musiałeś na operze, w teatrze, na polach Elizejskich, w lasku Bulońskim, w galeryach, muzeach.

— Bywałem.

— No, mogliśmy się więc spotkać.

— Zapewne. Mogliśmy się nawet spotykać często; w takim jednak tłumie trudno się zaznajomić.

— Na to potrzeba stacyi kolei żelaznej—wtrącił prezes tonem żartu.

— I poślizgnięcia się na szynach — dodał Adam.

— Ach! co to za wypadek! co za wypadek! Kiedy wspomnę sobie o nim, wnet mi namyśl przychodzi: dlaczegoś mnie pan uratował?

— Przecież wytłumaczyłem się z pobudek.

— A! jakie to tłumaczenie! Nerwy? Ha, ha! Przypuszczam że trochę tam i nerwy się wmieściły, ale nie same tylko. To nie z nerwów poszła taka szlachetność, takie poświęcenie, takie... Wyratowałeś mnie pan, ocaliłeś mi życie z narażeniem własnego i nabok sobie odszedłeś.

— Cóż innego robić miałem?

— Jakto co innego! Nie widziałeś pan co robili wszyscy? Nie widziałeś, jak mnie ratowano,

gdy już niebezpieczeństwo minęło? Jam był umarły... umarłem ze strachu i nie wiem jak i co się działo ze mną, aż pókim się na kanapie nie ocucił... Powróciłem do życia, do pamięci, do przytomności, ale powiek nie otwierałem. I byłbym tak pozostał dłużej, gdyby nie Kozubek, co wody w gębę nabrał i w twarz mi bryzgnął. Myślałem zrazu, że mnie z pod kół szef stacyi wyciągnął, gdy jednak pokazało się że nie on, długo dopytać się nie mogłem kto mianowicie; dowiedziałem się zato, że życie zawdzięczam Kozubkowi, że byłbym, zdaje się, umarł, gdyby mi on w twarz wodą nie bryzgnął... Życie moje uciekało już, on się za niem w pogoń puścił, dogonił i nawrócił, powiadając że nie przyznaje sobie zasługi żadnej inniej. A pan co? Pan na nerwy wszystko składasz.

— Pozwól-że mi pan, niech mu rzecz tę bliżej przedstawię—zaczął Adam.

— No?

— Widziałeś pan kiedy kota, rzucającego się na przedmiot, co się przed nim przesuwa?

— Na mysz na przykład?

— Nie na mysz tylko... na piłkę, na szmatek, na kawałek drewnka. Pies także idzie w pościg za wszystkiem, co przed nim ucieka. Rzuty owe kota i psa są prostém następstwem podrażnienia nerwów, co także przytrafia się i człowiekowi, który w naturze swojej wszechstronnej łączy skłonności jednostronne zwierząt.

— To dziwna jednak, że popędowi temu uległ tylko pan!

— Przepraszam... ulegli wszyscy, tylko popęd zmanifestował się rozmaicie, co nastąpiło w skutek tego, że u ludzi niejednakową jest delikatność włókien nerwowych. Nerwy delikatniejsze porażonemi zostały rodzajem momentalnego paraliżu. Najlepij się to pokazało na panu.

— Ach! prawda—zawołał prezes—zrobiło się mi odrazu zimno, ciemno i głucho... nie wiedziałem nawet, żem upadł.

— Widzisz pan.

— Nie wiedziałem też, że mam nerwy takie delikatne. Prawda żem się nigdy w podobnym nie znajdował położeniu. No... nerwy... Dola ma nerwy bardzo delikatne, ale tego byłem dotychczas przekonania, że wzięła je nie po mnie, lecz po matce nieboszce, która nadzwyczajnie wåtłej była kompleksyi. Pan jednak rzecz tę objaśnił doskonale. Pokazuje się, jak to pozory zwodzą. Ja, gdybym nie miał nerwów delikatnych, byłbym nie upadł, gdybym zaś nawet upadł, byłbym przytomności umysłu nie postradał i...

Tu zadrzał, wyobraziwszy sobie najazd kół lokomotywy na ciało swoje.

— At, nie mówmy o tém.

— Czemuż pan do tój materyi wciąż powraca?—zapytał Adam.

— Albo ja wiem czemu? Robi się to jakoś samo przez się... przez to może—dodał prezes—że nie widzę, ażeby pana obchodziła wdzięczność, jaka się w sercu mojem dla niego obudziła.

Wyrazy ostatnie wymówił z uczuciem. Adam spojrział na prezesa i uściśnął podaną sobie dłoń, odpowiadając na przemówienie jego:

— Jest to tylko dowód, że ludzie ludziom bywają przydatnemi.

— Chciałbym, wmiarę możności mojej, przydatnym być i panu. Rozporządzaj pan mną! No, na przykład... czembym mógł mu usłużyć?

— Niczem, jak na ten raz, łaskawy panie.

— Martwi mnie to... bardzo martwi. Ponieważ jednak panu Warszawa jest obcą, spodziewam się przeto, że będę miał sposobność wyświadczenia mu drobnój bodaj przysługi jakiéj. Czy masz pan zamiar długo w stolicy naszej zabawić?

— Nie wiem jeszcze; wraze każdym miesiący parę.

— Ano... więc liczę na to, że pan nie będziesz się ociagał z zajrzeniem do mnie.

— Ociagać się nie mogę, mając potrzebę zakolatać do kasy pańskiéj.

— To nic, bagatela—podchwycił prezes z tym gestem charakterystycznym, zapomocą którego finansisci oznaczać umieją lekceważenie pieniędzy—to bagatela. Dla mnie wizyta pańska znaczy co innego i jeżeli pan nie chcesz, ażebym go

w hotelu napadł, to w domu moim mnie odwied-
dzisz. Wszak tak?

— Nie mam racyi najmniejszej wymawiać się.

— I niezwłocznie.

— Pojutrze.

— Czemuż nie jutro? czemu nie dziś jeszcze?

— Dziś niesposób. Jutro? chciałbym się pier-
wój rozpatrzeć w Warszawie, rozpoznać fizyo-
gnomią miasta i zaaklimatyzować się w nióm
trochę.

— Ha... niech i tak będzie — odrzekł prezes
rezygnacyi tonem.

Niebawem pociąg dobiegł na miejsce przezna-
czenia, zatrzymał się i z pootwieranych wagonów
sypnął w wielkiej obfitości towarem przewo-
wym, dogodnym jako towar z tego względu, że
do pakowania, wypakowywania i przenoszenia
nie wymaga skrzyń, ani wind. Sypnął się ów to-
war i pośpieszał ku drzwiom wychodowym, za
którymi słyszeć się dawały nawoływania po imie-
niu, okrzyki radości i powitania. Ścisł powstał
niemały, pochodzący ztąd, że jedni drugich wy-
przedzić usiłowali. Bohatér nasz, nie mając do
pośpiechu pobudki żadnej, wyszedł jeden z ostat-
nich i kiedy się oglądał za dorożką, któraby go
do hotelu odwiozła, uczuł się nagle ujętym za
rękę. Odwrócił się i ujrzał obok siebie pana
Sonne.

— Proszę... proszę za mną — naglił prezes, po-
stępując ku zaprzężonej parze siwych, dzielnych

koni karecie, z okna której, niby z ram, wyglądała twarz prześliczna młodej kobiety — proszę.

Adam postąpił kroków kilka, ulegając podobnemu do magnetycznego pociągowi.

— Córka moja, pani baronowa Teodora Grubenstock -- mówił prezes półgłosem i dodał, głos podnosząc i Adama ręką wskazując: — pan Jez, mój zbawca.

ROZDZIAŁ III.

O uwzględnianiu i wyzyskiwaniu.

Młoda kobieta obrzuciła bohatera naszego spojrzeniem, w którym odmalowało się wielkie zdziwienie, w połączeniu z wielką uprzejmością. Jak zdziwienie, tak uprzejmość miały racyą jedną i też samą, która zawierała się w wyrazie „zbawca.” Baronowa nie wiedziała jeszcze o wypadku, jaki ojca spotkał, nie mogła przeto znaczenia wyrazu pojąć, ani ocenić, i była nim — jak się to powiada — zaintrygowaną w stopniu najwyższym. W pierwszej chwili wydał się on jej przenośnią retoryczną, ukrywającą sens jakiś zagadkowy. Zbawca? co za zbawca? W razach podobnych, na zapytania tego rodzaju, fantazyja, u kobiet zwłaszcza, wprawia się natychmiast w ruch i w jedném oka mgnieniu wynajduje odpowiedź, będącą zarazem obrazem i dramatem. Obraz ów i dramat, a raczej obrazo-dramat, jest bez tytułu, bez nazwy, bez treści nawet. Powie-

dzień jeszcze należy, że do poruszenia wyobraźni baronowej przyczyniło się niemało i brzmienie nazwiska Jeż. Nazwisko to jój, jako czytelniczce, obcém nie było; spotykała się z niém na okładkach książek; obchodziło ją ono trochę; nie przypuszczała atoli, ażeby je spotkać miała kiedy w téj postaci, w jakiej stanęła przed oknem jój karéty. Jeż? zbawca? Jeż ją bawił niekiedy— ją bawił, a prezesa zbawił. Przyczyniało się to do potęgowania zajęcia, które, wyrodziwszy się ze zdziwienia, nie umniejszyło bynajmniej uprzejmości, z jaką piękna pani do Adama przemówiła:

— Bardzo mi miło poznać pana.

Adam się skłonił.

— Pan Jeż — podchwycił prezes — przyrzekł mi zaszczycić nas wizytą swoją.

— O! wielką mi pan przyjemność sprawi.

Bohater nasz rzucił w odpowiedzi słów parę, które nie doszły zapewne do uszów młodéj pani, z powodu hałasu, jaki przed dworcem panował. Cofnął się potém o kroków parę i widział, jak karéta z miejsca ruszyła. Widzenie znikło. Adam ścigał przez chwilkę karétę oczami, gdy zaś ściagać nie miał już co, zaciągnął w płuca powietrza i wypchnął je z piersi odetchnieniem silném.

— Ha — rzekł do siebie.

Coby wyrzeczenie to oznaczać, albo raczój do czego by odnosić się miało, niewiadomo. Odnosiło się snąć ono do tego, że widzenie czarowne, jakie się mu przed oczami przesunęło, uznawał za

złudzenie i do tego przychodził przeświadczenia, że należy z ni \acute{e} m zerwa \acute{c} i do \acute{s} wiata rzeczywistego powroci \acute{c} — do \acute{s} wiata, przedstawiaj \acute{a} cego mu si \acute{e} pod postaci \acute{a} kłopotów podr \acute{o} żnych, o kt \acute{o} rych zapomniał by \acute{l} na chwilk \acute{e} . Przypomniały si \acute{e} mu walizy, tłomoki, hotel, dor \acute{o} żka, pasport. Przypomnienia podobne bywaj \acute{a} niekiedy nieznośne. Napadaj \acute{a} na człowieka, niby muchy jesienne. Nie potrzebował jednak Adam sam si \acute{e} o to wszystko w chwili t \acute{e} j kłopotac \acute{c} , zaledwie bowiem pomyślał o otworzeniu ust, w celu zawołania na dor \acute{o} żkarza, gdy pojawił si \acute{e} obok niego pan Kozubek.

— O, nareszcie! — przem \acute{o} wił. — Szukałem pana. Chc \acute{e} by \acute{c} panu przydatnym. Manatki swoje wyprawilem do siebie i jestem na usługi pańskie.

— Dziękuj \acute{e} panu serdecznie — była Adama odpowiedź. — Dam sobie rad \acute{e} i sam; bywalec troch \acute{e} jestem i Warszawa nie jest najpi \acute{e} rwsz \acute{e} m wielki \acute{e} m miastem, do kt \acute{o} rego zaj \acute{e} żdżam.

— Przypuszczam nawet, że nie po raz pi \acute{e} rwszy przyjeżdżasz pan do Warszawy; z t \acute{e} m wszystki \acute{e} m nie zawadzą panu wskaz \acute{o} wki człowieka znaj \acute{a} cego bruk Warszawski na wylot. Żadne tajemnice si \acute{e} są tajemnicami dla mnie. Nie masz jeszcze dryndy, a t \acute{e} m bardziej nie masz hotelu. Gdzieżbyś si \acute{e} chciał ulokowa \acute{c} ?

— Nie wiem jeszcze.

— Nie pytam pana o nazwę, ale o jakość hotelu — podchwycił — bo każdy z nich posiada specjalność jakąś: w jednym przeważa wygoda, w drugim spokój, w innym elegancja, w tym usługa zręczna, w owym kuchnia wyborna... no, wybieraj pan!

— A nie znajduje się taki, co łączy w sobie wszystkie te zalety? — zapytał Adam półzartem.

— Ph! Jest-że co pod słońcem bez ale?

— Wybieram więc spokój, połączony, jeżeli można, z wygodą.

— W razie takim zainstaluję pana w...

Wymienił nazwę hotelu, której nie powtarzam z obawy, ażebym posądzonym nie został o handelek na reklamy; przywołał dorózkę, kazał zebrać pakunki i wsiadł do pojazdu, wraz z Adamem.

— Niech to pana nie zadziwia, że pozwalam sobie towarzyszyć mu — odezwał się, skoro miejsce zajął. — Czynię to w charakterze gospodarza, uważając pana jako gościa Warszawy. Przystajesz pan na to?

— Najchętniej, bylebyś pan dla mnie ujmy jakiej nie czynił sobie.

— Inaczej powiedziawszy: bylebyś się mi nie naprzykrzał zbyt. Tego jednak nie lękaj się. My, Warszawianie, znamy się na gościnności: umiemy ją praktykować wmiarę, z taktem i rozwagą.

Przejazd trwał niedługo. Dorózka zatrzymała się niebawem. Pan Kozubek wysiadł pierw-

szy, rzucił słów kilka garsonowi, okazującemu mu atencje wyjątkowe, i odprowadził Adama na piętro, do numeru, składającego się z dwóch pokojów, jednego umeblowanego jako bawialny, drugiego zaopatrzonego w porządki do sypiania. Meble nie odznaczały się wykwintem, który zastępowała schludność. Na ścianach obrazów parę, zwierciadła i franki, pod zwierciadłem kanapa, przed nią stolik okrągły, dalej biurko, komoda, dwa fotele, kilka krzeseł — oto wszystko.

— Będzie tu panu spokojnie — rzekł pan Kozubek, prezentując Adamowi apartament — czy będzie tu i wygodnie? ha! zależy to trochę od wyrozumiałości pańskięj.

W chwili téj wszedł służący hotelowy z pakunkami.

— Grzegorz — przemówił do niego — powierzam wam pana Jeża; powiedzcie tam komu należy, że gościowi temu dogadzać potrzeba. Rozumięcie?

— Słucham, proszę pana — odparł Grzegorz, układając tłumoki.

— Nie puście tylko słów moich mimo uszów. Ja do was pana tego przywiozłem i ja się dla niego wygody domagam — napominał pan Kozubek.

Grzegorz przyrzekł solennie polecenie spełnić, redaktor przeto Gońca zwrócił się do Adama, mówiąc:

— Teraz zatém nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać pana.

— Czy panu tak śpieszno? — zapytał Adam.

— Śpieszno, nieśpieszno, pan jednak zapewne wypocząć zechcesz.

— Chociażby, toć wypoczywać możemy i razem, mamy przecież na czém: oto kanapa dla pana, fotel dla mnie, a oto papiérosy, jeżeli pan palisz.

To mówiąc, wy dostał z zanadru papiérośnicę i przedstawił ją panu Kozubkowi, który, sięgając po papiérośa, rzekł.

— Ha! dla mnie to wyjdzie na jedno, odpoczywać tu, albo w domu.

Usiadł na kanapie, Adam zajął miejsce na fotelu. Nastąpiła chwilka milczenia, którą prze-rwał redaktor.

— Ciekawym—odezwał się—czy trafne mam oko we względzie etnograficznym. Mam pana za Ukraińca: czym odgadł?

— Wcześci. Na Ukrainie wprowadzie anim się rodził, ani wychowywał, łączą mnie z nią jednak węzły dosyć ścisłe.

— Węzły te przebijają się w postaci pańskiej, to się w oczy rzuca. Jest w niej coś... coś zamaszystego, poetycznego. „Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?” Nie omyliłem się.

Adam ramionami zlekka ruszył.

— W miasteczku naszym — ciągnął pan Kozubek — przesuważ się nam przed oczami ludzie różni i, byle posiadać trochę zmysłu postrzegaw-

czego, można w rozpoznawaniu pochodzenia nabrać wprawy ogromnej. Ja, na przykład, rzadko się myślę. Od pierwszego oka rzutu domyśliłem się w panu Ukraińca. Prawda jednak wyznać nakazuje, iż do nasunięcia mi domysłu tego przyczyniło się znacznie skoczenie pańskie pod koła lokomotywy.

— No? — odezwał się Adam tonem zdziwienia.

— Dowód odwagi, odwaga zaś Ukraińców cechuje. Dopisała też panu znakomicie, ha! Znalazienie skarbu na drodze, wygranie wielkiego losu na loteryi.

— Nie widzę najmniejszej pomiędzy wypadkiem tym, a losem moim styczności.

— Nie widzisz pan styczności z baronową?

— Miałem zaszczyt być jej przedstawionym.

— Ja zaś miałem sposobność nad przedstawieniem tém czynić z boku postrzeżenia i, jak w panu domyśliłem się Ukraińca, tak przedstawienie nasunęło mi domysły, idące w przyszłość i obracające się na korzyść pańską.

— Baronowa wydała się mi piękną — wtrącił Adam, chcąc dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która na nim wrażenie sprawiła.

— Piękna... tak... piękność ją zdobi i nie zawadza jej, stanowi atoli jedną z podrzędniejszych kobiety tej właściwości. Posiada ona zalety inne jeszcze.

— Na przykład?

— Bogata.

Na słowa te odpowiedział Adam gestem, lekceważenie oznaczającym. Pan Kozubek podchwycił:

— I to jednak mniejsza. Pięknych i bogatych mamy jeszcze dosyć, Bogu dzięki. Okazy te nie są rzadkie, ale co rzadkiem jest, to kobieta z duszą. Baronowa ma duszę.

— Piękną? — zapytał Adam, sposobem napół nawiasowym.

— Hm — odparł pan Kozubek, poprawiając sobie pince-nez na nosie. — Zagadkową... zagadkowość zaś jest w rodzaju swoim pięknością. W kobiecie tej siedzi szatanek jakiś, czyniący ją dziwnie interesującą. Sprawia to rasa, ho! rasa. Gra w niej krew arabska.

— Czy długo żyła z mężem? — zagadnął Adam.

— Z mężem wcale nie żyła: żyła tylko przy mężu lat dwa zgórą. Małżeństwo to było małżeństwem z rachuby finansowo-towarzyskiej; pozostały po nim pieniądze i tytuł; pieniądze duże, tytuł wartości podejrzanej, wychodzącej z kasy ogniotrwałej.

— Wartość baronij, wychodzących z zamków raubritterskich, nie jest wcale szacowniejszą — zauważył Adam.

— No tak, zapewne, zapatrując się na rzecz tę ze stanowiska bezwzględnego. Biorąc atoli stosunki istniejące na uwagę, uwzględnić należy różnicę, jaka zachodzi pomiędzy tytułem histo-

rycznym, a tytułem finansowym. Owóż baronowa ubrała się w ten ostatni i nie do twarzy jój z nim.

— Chciałaby się z niego rozebrać?

— Czegoby chciała, to odgadnąć trudno. Idzie ona drogą fantastyczną, nieprzypadającą do gustu prezesowi, który z tém się bynajmniej nie ukrywa, iż pragnie w społeczeństwie naszym zająć stanowisko. Czyni w tym celu wiele, bardzo wiele, tego mu odmówić nie można; mimo to jednak łączący go z ogółem związek cechuje luźność, jakby był nie członkiem onego, ale sprzymierzeńcem. Dlatego téż baronią importowaną córki radby zamienić jeżeli nie na księstwo domorosłe, albo na hrabstwo przyczepione, to bodaj na dobre, stare, z gruntem krajowym od wieków zrosłe szlachectwo.

— Przesady — bąknął Adam.

— Klania się panu kuzynek jego — odrzekł pan Kozubek z lekko zacięniowanym przekąsem. — Przesady? I na nie zapatrywać się należy ze stanowiska względnego. Bezwzględność uchodzi w teoryi, która w powietrzu wisi, w książce, której autorowi nie chodzi o poczytność, ale nie w życiu. W życiu, na kroku każdym, musisz uwzględniać bez końca i miary. Bez tego ani rusz. Bez uwzględniania nie mógłbym wydawać mego Gońca.

Konkluzya ta zdziwiła nieco Adama, który nie miał ochoty najmniejszej dyskutować z przypadkowym znajomym swoim. Uderzyła go barono-

wa jako piękność i, jako taka, zaciekawiała go. Piękność wszelka to ma do siebie, że zaciekawia. Pragnął przeto dowiedziéć się o niéj czegoś bliższego od człowieka co ją znał i z tego powodu rad był panu Kozubkowi, który mu się tak uprzejmie na protektora, przewodnika i informatora nastreczył, nie przypuszczając, ażeby uprzejmość owa osłaniać miała widoki jakoweś. We względzie tym był zupełnie spokojnym, uważając nastreczanie się pana Kozubka jako naturalne jego zażyłości z prezesem następstwo, jako jeden z objawów wdzięczności, która go spotykać musiała ze strony prezesa i przyjaciół jego. Ze zdziwieniem przeto, ale nie domyślając się niczego, przyjął wzmiankę o Gońcu, która wszakże, po krótkiej zastanowienia się chwili, wydała się mu naturalną. Miał przed sobą fachowca-redaktora i jakżeby nie wspomniał o fachu swoim? Bez zdziwienia więc już następującego wysłuchał zapytania:

— Czytywał téż pan Gońca mego?

— A jakże — odpowiedział.

— I cóż?

— Nie czytywałem go stale, gdym zaś czytywał, to nie w intencji wyrzeczenia o nim zdania, wobec redaktora zwłaszcza.

— Szkoda; gdybyś był stałym Gońca czytelnikiem, a przytém znał stosunki redakcyjne, umiałbyś ocenić jak należy doniosłość uwzględniania.

To grunt, to rzecz można oś, na której koło życia się obraca.

Adam zmiarkował, że słowa powyższe do czegoś zmierzają, więc, pomimo iż miał ochotę odezwać się i uczynić uwagę stosowną, wolał jednak zachowywać milczenie, paląc powoli papięros i słuchając z uwagą pana Kozubka.

— Ciężkiem i trudnem jest położenie redaktora — ciągnął ten ostatni. — Potrzeba nieraz ze skóry się niemal wywlekać, ażeby albo nie powiedzieć tego, coby nieuwzględniania miało minę, albo też powiedzieć to, czego uwzględnianie wymaga. Ogół nasz jest to dzieciak zbiorowy, źle wychowany i kapryśny, którego nieraz chciałoby się różgą oćwiczyć, a nie można, ażeby, broń Boże, na kiel nie wziął i czytać nie przestał.

Adam chciał słowo to poprawić na „prenumerować;” powstrzymał się atoli i słuchał dalej.

— Należy przeto dogadzać mu, basować, mówić mu, a raczej pisać to, czemu przekonanie własne zaprzecza, trafiać w jego gusta, potakiwać przesądom. Dlatego-to Goniec nadwiślański nie wyda się zapewne panu takim, jakimby być powinien. Pan podzielać musisz przekonania kuzyna swego, tego Jeża co pisze. Pan go znasz?

— Nie widziałem go w życiu mojem nigdy.

— Znasz jednak utwory znakomitego pióra jego, na przykład, a? niech jeno sobie tytuł przypomnę. Pamiętnik pra-pra-dziadka, czy coś takiego.

— Historia o pra-pra-dziadku.

— Tak! a! c'est ça — rzucił się pan Kozubek.

— Znam ten utwór — odrzekł Adam — co zaś więcej, poznałem bohatera w drugiej występującego części, pra-pra-wnuka.

— Poznałeś pan bohatera?

— Jana Jeża, stryja mego rodzonego.

— Stryja pańskiego? — powtórzył pan Kozubek w pół z niedowierzaniem. — Nie przypominam sobie dokładnie treści, zdawało mi się atoli, że utwór ten jest dziełem fantazyi.

— Bynajmniej. Bohater istnieje, żyje, widziałem się z nim przed kilku miesiącami i, ażeby się z nim widzieć, jeździłem za granicę umyślnie.

— Hm, to rzecz oryginalna. W razie takim nacóż było utworowi dawać miano powieści?

— To nie powieść, ale historia.

— No tak, widzisz pan, ale tu na uwagę brać należy intencją i formę. Intencye kuzyna pańskiego są najzacniejsze, to rzecz pewna. Na poziomie atoli zasługują formy w jakie je ubiera, przedstawiając sprawy społeczne i towarzyskie ze strony ujemnej, wyłącznie ujemnej, wytykając błędy i wady brutalnie, nie szanując stanowisk wysokich, nie uwzględniając słabości. Zarzucamy mu to wszyscy jednoznacznie, pomimo że pomiędzy nami, strażnikami opinii publicznej, zgoda we wszystkiem nie panuje wzorowa. Wszelako, co do niego, zgadzamy się. Lękamy się go. Na przykład: pragnąłbym szczerze, ażeby piórem mojem przyozdobił szpalty Gońca nadwiślańskiego

go; obawiam się wszakże, ażeby nie dotknął prezesa, o którego mi chodzi.

— Czyż go zna? — zapytał Adam.

— Nie. Ba, gdyby go znał, gdyby wśród nas pobył i rozpatrzył się, gdyby poznał stosunki nasze zakulisowe, to pewny jestem że przekonałby się, iż reguła *nomina sunt odiosa* tyczy się stanowisk społecznych, które uwzględniać należy. Niedość bowiem osobistościom powieściowym nadawać powieściowe nazwiska, ażeby nie obrażać osobistości rzeczywistych. Prezes na przykład. ..

— Prezesa pan tak chwalisz? — wtrącił Adam.

— Bo też na pochwały zasługuje, dając pełną garścią na ubogich, na szpitale, na kościoły.

— Na kościoły? — przerwał bohater nasz. — Jeżeli się nie mylę, należy on do wyznania...

— Starozakonnego — podchwycił pan Kozubek. — Żydem jest; to mu atoli zgola nie przeszkadza łożyć na kościoły katolickie. W tém właśnie tkwi tajemnica uwzględniania. Łoży na kościoły, popiéra Gońca nadwiślańskiego i — tu pan Kozubek w słowo swoje wlał nacisk wyraziisty — poparłby przedsięwzięcie które mam na myśli, a w którym pan, gdybyś zechciał, wesprzećbyś mógł mnie potężnie.

— A to? — odezwał się Adam tonem niepewnym.

— Znajdujesz się wobec prezesa w położeniu, dającym ci możność wyzyskać go dla siebie; odmówi, ja się cofam; w przeciwnym atoli razie rozum

mi radzi nie opuszczać nadarządzając się sposobności i wy kierować prezesa na mecenasa literatury, za pośrednictwem pańskim.

Adam uśmiechnął się tym uśmiechem wewnętrznym, co to w oczach i na obliczu odbija się blaskiem nikłym jakimś, i po chwili mileżenia odpowiedział:

— O ile miarkować mogę, zdaje się, że prezes na literaturze mało się zna i mniej jeszcze nią się interesuje. I jakżeby jój mógł mecenasować?

— To rzecz najmniejsza — podchwycił redaktor Gońca — chodzi tylko o to, ażeby mu należycie powagę obywatelską mecenasostwa przedstawić. Resztę biorę na siebie: będę we względzie tym jego *homme d'affaires*, byle się zaangażował i potrzebę łożenia na cel ten uznał.

— Hm... hm... — mruknął Adam sam do siebie.

— W materji téj powodzenie zależy od korzystania z momentu. Czas płaci, czas traci, trzeba żelazo kuć, póki gorące. Pan jesteś zbawcą jego, zbawcą, dla którego w chwili téj wszystko uczyni. A więc? — zapytał.

— Nie wiem, doprawdy, co odpowiedzieć panu — odparł Adam z zakłopotaniem niejakiem. — Wyzyskiwanie prezesa dla siebie uważam za niekzemność tak wielką, iżbym sobą pogardzał, gdyby mi to na myśl nawet przyszło.

Pan Kozubek kiwnął głową, na znak aprobacyi.

— Wyzyskiwanie zaś go dla celu, o którym pan mówisz — ciągnął dalej — hm? materya to

nader delikatna, w której nie mogę panu ani odmawiać, ani przyrzekać.

— Możesz pan jednak podjąć się nieominięcia sposobności, gdy takowa nastęczy się sama; sposobność zaś nastęczyć się musi, jako wynik kombinacyj danych, wśród których się znajdujesz. Jesteś — tu na palcach wyliczać począł — zbawcą prezesa, nazywasz się Jeź, przedstawionym zostałeś baronowej, wchodzą więc tu w grę żywioły takie: wdzięczność, literatura, próżność prezesa, fantastyczność baronowej, miliony.. materiały, z których dźwignąć można gmach, na fundamencie Gońca, nie licząc już tego — dodał tonem insynuacji żartobliwej — że baronowa kto wie jakim sercem przyjmie imię pana Adama Jeża, herbu?...

Adam ręką od niechcenia machnął.

— Stara szlachta, ho! — ciągnął pan Kozubek wstając i do wyjścia się zabiérając. — Chyba iżbyś miał pan przesądne do Żydowicy wstręty. Żydowica ta jednak, to brylant czystej wody, który oddawnaby już jaśniał w którejś z koron książęcych lub hrabiowskich, gdyby zechciał. Baronowa, byle tylko wachlarzem skinęła, wnet u stóp swoich miałyby spadkobierców imion najhistoryczniejszych. Zależy to od niej, a zatem dobrych szans, panie Jeżu.

Podał rękę do uścisku, zwrócił się i znikł za drzwiami.

Po odejściu pana Kozabka, Adam chodził czas jakiś po pokoju w zamyśleniu, poczem zadzwonił na służącego i, gdy ten się pojawił, zapytał co grają w teatrze. Służący udzielił mu odpowiedzi zadowolającej. Na scenie wieczora tego występowała pani Modrzejewska. Uradowało to Adama niepomału. Zmienił odzież z pośpiechem, wydobył kapelusz i binokle i ruszył, dla spóźnionej nieco dnia pory, krokiem zdwojonym, w celu oglądania gwiazdy owój, co wówczas ani przeczuwała jeszcze, że świecić będzie u antypodów.

Przy kasie teatralnej znalazł się w momencie, kiedy do krzeseł pozostawały jeszcze do sprzedania dwa bilety. Bilet kupił, wpłynął z tłumem, miejsce swoje zajął i z żywą niecierpliwością na podniesienie kurtyny oczekiwał, z niecierpliwością taką, iż widząc to, posądziłby go można było o wieśniaczość, zaciekawiającą się do komedyi, jako do cudowności jakowéjs. Toć on w Paryżu na teatrze bywał; w operze słyszał Maria, w tragedyi klasycznej oglądał pannę Agam. Mimo-to w Warszawie z biciem serca wyczekiwał podniesienia kurtyny, gdy się zaś aktorowie pokazali i przemówili, gdy pierwsze dźwięki dyalogu w uszach jego zabrzmiały, doznał w piersiach ściśnienia; coś go niby za gardło pochwyciło i lzy źrenice zasłoniły. Wzruszenia tego—zauważyć należy—nie pani Modrzejewska była powodem. Nie była też powodem onego scena patetyczna. Przyszło ono wraz z podniesieniem kurtyny, kiedy się

sztuka ani zaznaczyła jeszcze. Przyszło i opanowało Adama na wieczór cały. Nieruchomy, wpatrzony, wsłuchany, śledził grę aktorów, chłonąc z wyteżoną uwagą ich ruch, ich giest, ich wyraz każdy. Pomiedzy aktami nie wychodził z sali, dla zaciągnięcia się papiérosem, lub wypicia szklanki orszady, lecz wstawał, do kurtyny plecami się obracał, ręce na piersiach skrzyżowywał i w pozie téj do rozpoczęcia się aktu następnego pozostawał, nie zważając wcale na łoże, przedstawiające się niby girlandy, uwite z najpiękniejszych kwiatów wyższego towarzystwa stolicy. Nie patrzył na łoże — nie widział kwiatów owych — nie dostrzegł tego zwłaszcza, że z łoży jednéj binokłów para, w oprawie z perłowej macicy, usta wicznie na niego zwróconą była. Oblicze jego wyrażało zapomnienie się w zadumie głębokiéj. Oczy miał otwarte; zdawało się że patrzył, a nie jednak nie widział, z otwartemi oczami spał, śnił, posyłał wzrok gdzieś w dal, po za mury teatru, po za szranki horyzontu.

Sztuka się skończyła. Zagrzmiął trzykrotnie powtórzony grzmot oklasków. Widzowie wychodzić poczęli; Adam uciekał; nie słyszał, jak u wyjścia dwukrotnie po nazwisku na niego zawołano i dwukrotnie przesłano pod adresem jego pozdrowienie: „dobry wieczór!”

ROZDZIAŁ IV.

Piękna filozofka.

Ażeby — Boże chroń — kto czego nie pomyślał sobie, zawiadamiam, że dwukrotne na Adama naszego, u wyjścia z teatru wołania, pochodziło nie od kogo innego, jeno od pana Karola Kozubka. Pana Kozubka zdziwiła niepomału mina, z jaką Adam teatr opuszczał. Niedalekim był od posądzenia go o obłąkanie; i byłby go o nie posądził niezawodnie, gdyby nie roztargnienie, jakiemu podlegał sam, rozdając na prawo i na lewo pozdrowienie znajomym, którzy go zaczepiali. Dzięki roztargnieniu temu, bohater nasz, na samym powieściowej swojej karyery wstępie, wyszedł ręką obronną z pod zawieszzonego nad głową jego zarzutu.

Cóż go jednak do stanu tego przyprowadziło?

Na ludzi najzimniejszych, na rachmistrzów takich, co to we wszystkiem widzą cyfry i siebie za cyfrę mają, na takich nawet, których trzeźwość

umysłu podobną jest do kamienia szlifowanego, przychodzą momenty wzruszeń. Napadają one zazwyczaj niespodzianie. Słowo jedno, jakiś dźwięk, niewyraźny jakiś szept—i bywaj zdrowa równowaga życiowa! W człowieku-bo coś tkwi, co ustawicznie do nadwreżenia równowagi owęj dąży. Zapewne przeto i nasz Adam czegoś podobnego doznał. Modrzejewska może? Ale nie! Wzruszenie opanowało go piérwój, zanim Modrzejewska na scenie się ukazała. Nie od niój więc poszło owo słówko, nie z niój wydzielił się ów dźwięk, ów szept, co go z siodła równowagi wysadził. Podziałało nań coś innego—co mianowicie?—o tém dowiemy się może, gdy w podanych faktach, odnoszących się do osobistości bohatera naszego, nagromadzą się w ilości dostatecznej materyały do orzeczenia o charakterze jego. Uprzedzam tylko, że, bądźcobądź, jest to postać ciekawa, ten nasz Adam Jeź—postać na szczególne zasługująca studyum.

Przejawiło się w nim wzruszenie—gdzie?—w teatrze, z powodu czegoś, co się wytłumaczyć odrazu nie da. Zakarbowuję fakt ten do przyszłego obrachunku, zaznaczając tymczasowo, że bezpośrednio nie spowodził on żadnego następstwa znaczącego. Adam uciekł z teatru; na ulicy ochłonał, spokojnie, krokiem równym i pewnym do hotelu się udał, rozebrał się i spać położył. Nazajutrz obudził się i wstał, jak się budzą i wstają śmiertelnicy wszyscy, faworyzowani przez losy

o tyle, że pozwalać sobie mogą na zbytki stawania po hotelach i zajmowania numerów osobnych. Czy mu się co śniło? nie wiem. Jako w rodzaju swoim osobliwość podać można chyba to tylko, że o godzinie wpół do ósmej był już ogolonym, umytym, ubranym i po kawie, co służbie hotelowej domyślać się kazało, że ma w Warszawie interes jakiś, wymagający wstania rannego.

Rzecz wszakże inaczej miała się wistocie. Wstał rano nie dla interesu jakiegoś, lecz dla błędzenia po mieście bez celu, albo raczej w celu obejścia onego w kierunkach rozmaitych. Tak czynić zwykli turyści, co poczuwając się do samodzielności, zwiędzają miasta nieznane bez pomocy żywych i drukowanych przewodników. Puszczają się na czynienie odkryć i błędzą; błędzenie atoli doprowadza ich do rezultatów oryginalnych, do spostrzeżeń niepodpowiedzianych. Jest to kaprys, ale nieszkodliwy, gdy się ma czas na zbyciu. Adam tedy chodził, chodził; nie śpieszył się; tu i owdzie stawał, raz dla przypatrzenia się przedmiotowi, co go zafrapował, znów dla zorientowania się, gdy mu się wydało, że w złym szedł kierunku; gapił się na budowle, na pomniki, na wystawy, na ludzi; widać po nim było, że zabięra znajomość z fizyognomią zewnętrzną miasta, której szczegóły wydatniejsze notował sobie w pamięci. Czynił to uważnie; popasał dwukrotnie, raz około piątej po południu zaszedł do restauracyi, którą na drodze swojej spotkał, i kazał

sobie podać obiad, zadowolając się zupą, jednem mięsem i jarzyną; drugi raz, około siódmój, napił się w cukierni kawy z bułką i czytał przytém dzienniki, pomiędzy któremi widok Gońca uśmiech mu na usta wywołał. Dziennik ten odczytywał z uwagą. Zajął to mu czasu tyle, że w hotelu znalazł się z powrotem po dziewiątej wieczorem. Gdy klucz od numeru swego z kołka zdejmował, gospodarz zajazdu oznajmił mu, że o niego dowiadywało się panów kilku.

— Kilku? — zapytał — jeden chyba, pan Kozubek.

— Dowiadywał się i pan Kozubek, ale zapytywał tylko o zdrowie pańskie.

— A inni?

— Inni widzieć się z panem chcieli koniecznie; jedni zaglądali po razy parę, drudzy zostawili karty swoje, które pan na stoliku znajdzie.

W rzeczy samój, na stoliku znalazł trzy karty wizytowe. Nazwiska zgoła mu były nieznane; zdobyły je jednak dodatki, objaśniające stanowiska społeczne. Jeden tytułował się inżynierem prywatnym, drugi mechanikiem i chemikiem, trzeci agronomem dyplomowanym. Ten ostatni ołówkiem na stronie odwrotnej dopisał wierszy kilka, a w tych oznajmiał, że jest wynalazcą maszyny parowej do wyrabiania nawozu, w interesie której pragnie z Adamem porozumieć się bliżej. Adam nie był do tego stopnia naiwnym, ażeby, pomyślawszy chwilkę, nie dorożumiał się, o co chodzi.

Wdzięczność bogacza, jaką sobie zaskarbił, podana do wiadomości publicznej, stała się przedmiotem, na który przedsiębiorcy zapoznani uwagę zwrócili. Pan Kozubek ogłosił w Gońcu opis wypadku na kolei, bez wymienienia wprawdzie nazwisk; opis ten atoli podawał miano stacyi i mówił o „znanym, powszechnie szanowanym i jednym z najzamożniejszym obywateli Warszawy, uratowanym od śmierci nieochybniej przez pana A. J., młodego Ukraińca, który przy tej okazji rozwinął odwagę nieustraszoną i zręczność niezrównaną, połączone ze skromnością, nakazującą zataić nieobce Warszawiakom nazwisko.” Dziennikarska w tym sensie wzmianka zaostrzyła ciekawość powszechną, do zaspokojenia nie-trudną. Wypadek miał świadków tylu, a chociaż na miejscu nikt, z wyjątkiem prezesa i pana Kozubka, nie dowiedział się o nazwisku zbawcy, zato w Warszawie stało się to tajemnicą dla tych jedynie, co się nią nie interesowali, to jest dla tych, których nie obchodził ani pan Sonne, ani miliony jego. Te ostatnie atoli obchodziły żywo proletaryuszów przemysłu, posiadających wszystko, z wyjątkiem kapitału nakładowego, i noszących się z projektami spółek komandytowych brzemiennych podbojem świata. Proletaryusze ci z łatwością uchwycili koniec nitki, która doprowadziła ich do kłębka. Świadkowie wypadku przyjechali wraz z Adamem do Warszawy i ktoś z nich widzieć mógł, do którego Adam zajechał

hotelu; jeżeli zaś tego nie widział nikt, to nazwi-
ska zbawcy nie zachowywał w sekrecie prezes,
nie zachowywała w sekrecie baronowa, a może
nawet i pan Kozubek wymówił się z niem przed
kim. Tajemnica usiłowana najtrudniejszą bywa
do utrzymania. Nie została też dotrzymana ta-
jemnica, tycząca się Adama; przeniknięcie zaś
onój przez osobistości, interesujące się milionami
pana Sonne, stało się dla takowych podniętą
tém silniejszą do wzięcia wdzięczności za cel spe-
kulacyi. Adam dorozumiał się tego i nazajutrz,
dawszy w hotelu polecenie, ażeby do niego nie
wpuszczano nikogo, zasiadł do pisania listów.

Napisał listów dwa; z tych jeden zaczynał się
od „Najukochańsza babuniu,” drugi od „Drogi
stryju.” Piérwszy, pisany literami dużemi, z pe-
wną starannością kaligraficzną, zawierał stronnic
dwie niespełna; w drugim zato rozpiisał się széro-
ko, zapełnił bowiem pisaniem ścisłém stronic ca-
łych sześć. Adresy brzmiały tak: do babki—do
Hrynenek, do stryja—do Mülhuzy. Koperty po-
zaklęjał, znaczki pocztowe poprzyklepiał, ubrał
się staranniej aniżeli dnia poprzedniego, listy
w zanadrze włożył i, zajrzawszy do pugilaresu,
w którym spoczywały pasport, weksle, karty
wizytowe i różne inne papiéry, wyszedł na mia-
sto. Przechodząc obok poczty, listy wrzucił do
skrzynki, spojrział na zegarek następnie i zapy-
tawszy kogoś o drogę prowadzącą do ulicy, któ-
rą nazwę wymienił, we wskazanym udał się kie-

runku. Na ulicę jedną ze znaczniejszych trafił z łatwością; nie doznał też trudności w odszukaniu numeru, pod którym zaznaczony był kantor bankiera, pod firmą M. Sonne i sp. Wszedł do biura i kasyerowi weksel przedstawił.

— A — odezwał się ten ostatni, skoro nazwisko ukaziciela przeczytał. — Weksel ten pan bankier wypłaci panu osobiście. Służę panu.

Przeprowadził go przez pokój, zajęty przez siedzących przy pulpitach urzędników, następnie przez pokój niezajęty przez nikogo, a wedle rozkładu mebli wyglądający na salę konferencyjną, w końcu drzwi otworzył i, weksel mu wręczając, a ręką kierunek wskazując, przemówił:

— Tu... proszę...

Adam ujrzał w głębi siedzącego przed biurkiem mahoniowém, na fotelu o niskich poręczach, jegomością dobrej tuszy. Jegomość się odwrócił, był to prezes. Z siedzenia się zerwał i zawołał:

— Przecie! przecie! Wczoraj dzień cały ludziłem się nadzieją oglądania pana, dziś zaś nadzieję tracić już począłem. Czemuś tak zwlekał?

— Musiałem piérwój w Warszawie się rozpastryć.

— Co za wymówka! Wymówka ta obraziłaby mnie, gdyby nie czuł dla pana przyjaźni i życzliwości wielkiej.

— Obrazić? — odezwał się Adam tonem zdziwienia.

— Ano... dla Warszawy poświęciłeś Sonnego. Bądźcobądź... co Sonne, to nie Warszawa... Warszawa poczekać trochę mogła...

— Jeżeli tak, to się... za winnego uznaję i o przebaczenie proszę — odparł Adam, tonem skruchy udanej.

— Co tam... winny... przebaczenie... Pan względem mnie winnym nie będziesz nigdy, chociażbyś mi na głowie kołki ciosał, i przebaczenie moje za-pewnionem masz zgóry na wieczność całą. Kto tak szlachetnie jak pan postępuje... tego... temu...

— Jakże zdrowie pańskie, panie prezesie? — przerwał Adam.

— No... tak... Nie mogę powiedzieć, żebym był zdrow zupełnie, nie jestem jednak chory... Wczoraj spać w nocy nie mogłem; ta lokomotywa przekłeta w oczach mi stała... Wezwałem lekarza, osłuchał mnie i opukał... i pokazało się że miałeś pan racyą... to nerwy.

Mówił to ze skrzywieniem odpowiedniem.

— Nie miałem siebie za nerwowego — ciągnął — i wcale odkryciu rad nie jestem, chyba w tym jeno względzie, że, ponieważ defekt poznać się dał, więc mu zapobiedz będzie można... Lekarz też przepisał mi prezerwatywę: wycieranie zimną wodą kości pacierzowej.

— To dobry środek — wtrącił Adam.

— Dobry, powiadasz pan? Pociesza mnie to... No, ale... i jakie też wrażenie sprawia na pa-

nu Warszawa?—zapytał—niciosobliwe... nieprawdaż?...

— Przeciwnie—zaczął Adam.

— Po Wiedniach, po Paryżach, nie może się wydawać korzystnie.

— Wiednie i Paryże ujmy jej nie czynią; posiada fizyognomią swoją własną.

— Tak, co się fizyognomii tyczy... zresztą bowiem...

— O reszcie nie mam zdania jeszcze, nie myślę atoli, ażeby stać miała o wiele niżej, porównując warunki, w jakich znajdują się miasta tamte, a ona.

— Byłeś pan w teatrze naszym, mówiła mi Dola.

— Pani baronowa zauważyła mnie? — rzekł Adam lekkiego zdziwienia tonem.

— Zdaje się... Mówiła mi... I jakże teatr nasz?

— Zachwycił mnie.

— Po Grand théâtre? po Comédie française? Ale... a!... oczarować pana musiała Modrzejewska?

— Nie, panie. Oczarowania doznałem nie od niej, ale od języka, w którym grana była sztuka.

— Cóż grano wczoraj?

— Zaledwie wiem... na treść uwagi prawie nie zwracałem.

— Przyznać należy, że pan niewymagający wcale.

Adam głową skinął, z gestem który nic nie wyraził. Prezes treść rozmowy zmienił.

— A! wszak jestem dłużnikiem pańskim. I na ileż to?—rzucił okiem na leżący na stole weksel.— Bagatela—zadzwonik.—Gdybyś pan potrzebował więcej, dwa, trzy razy tyle...

Na słowa te Adam zapłonął się lekko.

— Dziękuję—odrzekł—i to zawiele. Gdybym nie miał zamiaru nabycia maszyn rolniczych, obeszłbym się dziesiątą tej kwoty częścią.

— Kredyt u mnie dla pana otwarty — dodał prezes uprzejmie.

W chwili tej pojawił się młody człowiek, któremu prezes, wręczając weksel, przynieść kazał pieniądze, i gdy ten odszedł, powtórzył:

— Kredyt u mnie dla pana otwarty.

— Dziękuję—powtórzył Adam — nie przewiduję jednak potrzeby wystawiania na próbę grzeczności pańskiej.

— Potrzeba przychodzi zazwyczaj nieprzewidziana. Zresztą, ze strony mojej nie jest to żadna grzeczność, ale obowiązek. Wszak nie przez grzeczność skoczyłeś pan pod koła.

Powrót urzędnika z paczką biletów bankowych w ręku przerwał wynurzanie się prezesa. Paczka zawierała piętnaście sztuk. Prezes przeliczył, podał paczkę Adamowi i raz jeszcze ofertę swoją co do kredytu powtórzywszy, z fotelu się dźwignął i w następujący odezwał sposób:

— A teraz, wybacz pan, konfiskuję pana. Córka moja, pani baronowa, ma do pana interes, dla którego poleciła mi przyaresztować go i przed jęj zaprowadzić oblicze. Spodzięwam się, iż nie będziesz pan stawiał oporu władzy córki mojęj, he?

Wyrazy powyższe wymówione były tonem uprzejmym i zarazem żartobliwym. Adam, który, po toalecie jego miarkując, spodzięwał się aresztu tego, skłonił się i odrzekł:

— Najmniejszego; przeciwnie, władzy tęj poddaję się z ochotą i z przyjemnością.

— A więc idźmy. Będe panu za przewodnika służył. Proszę.

Rzekłszy to, ruszył przodem, prowadząc Adama przez ten naprzód pokój, co miał minę sali konferencyjnęj, następnie przez sień wjazdową, dalej na schody i na piérwszém piętrze do przedpokoju, w którym spotkał ich lokaj w liberyi. Lokaj, pytania żadnego nie zadając, drzwi szeroko otworzył. Pytanie zadał mu prezes:

— Pani baronowa sama?

— Sama, proszę pana prezesa. Miała wizyty, ale nie przyjmowała.

— Nie przyjmowała, o — powtórzył prezes, zwracając ku Adamowi znaczące głowy skinienie—czekała na aresztanta.

Weszli do salonu.

Salon ten zasługiwałby na opis szczegółowy, skręślony piórem natchnioném. Natchnienie malowałoby piękno, z każdego bijące sprzętu, z ka-

zdój ozdoby. Przedstawiał się on oku jak muzeum, ułożone z przedmiotów dobranych, których różnaitość służyła do wytworzenia gamy harmonijnej, cieniowanej umiejętnie i misternie. Nie znajdowało się tam nic nie na swoim miejscu, nic coby raziło, nic coby zbytecznym było. Rzucała się w oczy nie kosztowność przedmiotów, ale doskonała, skończona zgodność onych, obłana półcieniem, sprawianym przez stosowne udrapowanie firanek, osłaniających duże okna. Zwierciadła, małowidła, posążki, kwiaty wydawały się niezbędnymi tam właśnie, gdzie je zawieszono lub postawiono. Kobierzec wysokiej ceny okrywał podłogę i odpowiadał sufitowi, którego był dopełnieniem niejako. Co mebel, to w rodzaju swoim arcydzieło, co ozdoba, to dzieło sztuki, wprawiające w podziw znawców i nieznawców. Łagodne światło, delikatna woń i lube jakieś ciepło uzupełniały urok, jaki salon ten z siebie wydzieliał.

Prezes prosił gościa siedzieć.

— Będę udawał gospodarza, póki nie zluzuje mnie gospodyni—powiedział.

Na zluzowanie atoli niedługo czekać było potrzeba. Z poza wpełpodniesionej portyery, otwierającej widok na anfiladę pokojów, z takimże przepychem i gustem co salon urządzonych, zjawiła się postać niewieścia, zdolna, gdyby się zjawiła niespodzianie, w osłupienie śmiertelnika wprawić. Szczęściem Adam uprzedzonym był; jeszcze zaś większym dla niego szczęściem było

to, że oglądał ją już raz w ramach okien karęty. Gdyby nie to, kto wie czyby go osłupienie nie opanowało na widok rzeczywiście doskonale pięknej kobiety, pięknej bezwarunkowo i bezwzględnie, pięknej bez zarzutu najmniejszego, pięknej ze stron wszystkich, zdaleka i zblizka. Pięknem w niej było wszystko, co inwentarz wdzięków stanowi: i warkocze czarne, jedwabiste, i oczy czarne, otchłanne, i usta karminowe, i zęby perłowe, i płeć śniadawa, i lica przyrumienione, i czoło, i nos, i wytok ramion, i kształty piersi, i zarysy kibici, i ręce i nogi—wszystko, wszystko—i wszystko to, w harmonijną zlane całość, tak się przedstawiało, że dyszało rozkoszą, a jaśniało świętością.

Prezes, świadom snadź potęgi wdzięków córki swojej, gdy baronowa weszła, spojrział zukosa na Adama i uśmiechnął się sam do siebie, uśmiechem zadowolenia wewnętrznego.

Na Adamie widok baronowej wywarł wrażenie silne—z tego niema co sekretu robić. Miał atoli tyle nad sobą mocy, że się ani zapomniał, ani osłupiał; postąpił ku zbliżającej się doń czarodziejce kroków parę i uścisnął zlekka podaną sobie dłoń, która ze swojej strony w uściśnienie swoje wlała dozę przycisku, przechodzącą miarę zwyczajną.

— Czyż to się godziło kazać na siebie czekać dni dwa?—przemówiła.

— Dzień jeden—zaprotestował Adam.

— Gdybym czas niecierpliwością moją mierzyła, powiedzielibym powinna: dwa lata, dwa wieki.

— Mógłbym niecierpliwość tak wielką w pani wzbudzić?

— Mogłeś pan—podechwyciła żywo.—Gdy kto komu ojca od śmierci uratuje i nie pokazuje się mu, ten, sam pan przyznaj, wzbudzić może nietylko niecierpliwość, ale gniew srogi.

— Nadała oczom wyraz półgniewny i stała się zachwycającą.

— Pani!—odezwał się Adam tonem, w głębi którego hołd zabrzmiał.

— To niegodziwość z pańskiej strony—ciągnęła piękna kobieta—niegodziwość! Narazić mnie na kilkudziesięcio-godziną zwłokę w wypowiedzeniu bodaj Bóg zapłać! Czyż nie wydaje się panu, że jest to wystawianem istoty, która względem pana niczem nie zawiniła, na upokorzenie?

— Jak widzę—odrzekł Adam z lekkim ramion wzruszeniem—wy tłumaczyć się, ani usprawiedliwić przed panią nie zdołam; wolę więc winnym się uznać i o przebaczenie prosić.

— Tak to dobrze—zaczęła baronowa wesoło.

Chciała mówić coś więcej, lecz jej przerwał prezes:

— A na odpokutowanie winy—podechwycił—skazujesz się pan na spożycie obiadku w towarzystwie bankiera Sonne i baronowej Grubenstein.

Baronowa, złożywszy pobożnie dłonie, zwróciła na Adama proszące wejrzenie.

— Tymczasem zaś — dodał prezes, wstając — pozostawię państwa samnasam, mając do załatwienia przed obiadem spraw kilka.

Po odejściu prezesa, piękna kobieta posadziła gościa obok siebie i:

— Powinieneś pan — przemówiła — w stosunkach ze mną wyrzec się w znacznej części etykiety, jesteś bowiem moim powinowatym, może nawet krewnym.

Adam spojrział na nią wzrokiem pytającym.

— Dziwi to pana?

— Trochę.

— O tyle zapewne, o ile szlachcica dziwić musi pretensya Żydówki do powinowactwa z nim.

— Nie, pani — z wyrazistym zaprotestował naciskiem — dziwi mnie nie co innego, tylko moja we względzie tym nieświadomość.

— Nieświadomość pańska jest bardzo naturalną, zależy bowiem od sposobu zapatrywania się. Na czym się powinowactwa i pokrewieństwa opierają? Na nadawaniu życia. Ojciec mój dał życie mnie, pan dałeś życie memu ojcu. Związało się więc pomiędzy nami powinowactwo bardzo ścisłe, które — dodała z akcentem znaczącym — stać się może ściślejszém jeszcze, jeżeli się pokaże, że pomiędzy nami zachodzi i pokrewieństwo moralne, pokrewieństwo ducha, siostrzaność dusz, jak się wyrażają <http://rocin.org.pl>

— Pragnąłbym, żeby pokrewieństwo to zachodziło!—odezwał się Adam, a w odezwaniu się tém zadzwoniła szczerość z głębin serca płynąca.

— Nietrudno dowiedzieć się o tém — odrzekła baronowa. — Mnie się zdaje że tak jest, wedle tych dowodów sądząc, którem zgromadziła. Odbyłam śledztwo formalne i wyczerpujące; brakuje mi tylko dowodu jednego: zeznania pańskiego.

— Zeznania mego?—zapytał Adam.

— Brakuje mi tylko zeznania pańskiego do sprawdzenia siostrzaności dusz naszych.

— Wprawia mnie pani w ciekawość wielką.

— Chodzi mi o to, ażebyś mi pan odpowiedział szczerze i otwarcie.

— Odpowiadać gotówem jaknajszczérzój i jaknajotwarciej.

— Rzucając się na ratunek ojca mego, czyś się pan namyślał?

— Nie.

— Nic wcale?

— Ani trochę.

— Przedtém jednak, gdyś widział po szynach chodzących, powiedziałeś sobie w duchu, że nieroztropnie oni czynią?

— Wcalem na to uwagi nie zwracał.

— Wybacz-że mi pan niedyskrecyą zapytania następującego: o czém pan myślałeś?

— O zajęciach, jakie mnie na wsi czekają.

— Tak więc czyn pański był dziełem nagłego, nieobmyślonego, nieobrachowanego rzutu; był

o czyn de prime saut, zuchwały, szalony, lecz o zuchwalstwie i szaleństwie własném niewiedzący nic. Panie Jeżu — dodała, w oczy mu patrząc ostro — mnie się zdaje, że na miejscu pańskiem i jabym się na czyn podobny zdobyła.

— Cóż bo się w czynie tym nadzwyczajnego znajduje?—zapytał Adam, chcąc zapomocą zapytania tego zneutralizować spodziwane objawy wdzięczności.

— Nie mam go za nadzwyczajny, ale za rzadki i piękny. Czy nie tak? A przecie nie było w nim namysłu, ani obrachowania. Chwilka jedna namysłu i... po nim. Mógł on panu wyjść na złe: zamiast jednéj ofiary, paść mogło dwie, i wówczas powiedzianoby o panu: szaleniec. Gdyby powiedzenie to na myśl było panu przyszło i pan się na jednę éwierćsekundy zawahał, padłaby ofiara jedna tylko, ale przepadłby pożyteczny i piękny uczynek. Nieprawdaż?

Trudno było zaprzeczać argumentom, które nie tylko miały za sobą siłę rozumowania, ale jeszcze wypowiedzanemi były dźwięcznym, srebrystym, do duszy wnikającym głosem, wychodzącym z ust nadających, gdy baronowa mówiła, harmonijny ruch obliczu, które oczy utrzymywały w blasku, olśniewającym niemal. To téż Adam nie zaprzeczył. Na ostatnie zapytanie dał odpowiedź potakującą. Baronowa prawiała dalej.

— To com powiedziała —były jêj słowa —znajduje zastosowanie częste, nieczęsto powodzeniem

uwieńczone, zawsze jednak piękne, czy pochodzi ono od narodu, czyli też od człowieka pojedynczego. Na tém polega heroizm, taki właśnie jak ten, co się znalazł w panu, nieobmyślany i nieobrachowany. Heroizm taki posiada całkowite uznanie moje. Obmyślanie i obrachowywanie wstret głęboki budzą we mnie.

— Absolutnie tego mówić nie można—wtrącił Adam.

— Czemu nie? Czy obrachowywał Mojżesz, kiedy wybił Egipcyanina, co Żyda męczył, a następnie na nieznanne szlaki lud izraelski wyprowadzał? Obrachowywał może wasz Chrystus, gdy na krzyż szedł? Obrachowywał Mahomet, gdy z Mekki do Medyny uciekał? Bohatérowie ludzkości!

— Obrachowywał jednak Kopernik—przerwał.

— A?—odparła przeciągle, tonem zniżonym—jesteś pan Kopernika wyznawcą, a skoczyłeś pod koła lokomotywy? Oszukujesz sam siebie.

— Możeby się oszukaństwa podobnego trochę i w pani znalazło.

— Tak pan myślisz? Ja o sobie myślę inaczej. Wzięłam rozbrat z namysłami i rachunkami i, gdy mi przyjdzie stanowczy w życiu mojem uczynić krok, uczynię go bez chwili namysłu, jak pan, de prime saut. Wszak krok pański był stanowczy, hazardowałeś głowę. Tak to lubię! Namysłów nie cierpię. Są to pęta, pęt zaś ludzie

dźwigają zbyt wiele mimowoli, ażeby wkładać jeszcze mieli na siebie i dobrowolne.

Nasz Adam znajdował się pod urokiem, do spotęgowania którego przyczyniało się wszystko, co go otaczało. Baronowa, ożywiona, była czarującą. Oczy jej jaśniały, głowę coś nakształt nimbu otaczało. Adam nie śmiał przerywać, nie śmiał odpowiadać, i tylko chciałby słuchać, słuchać, słuchać.

ROZDZIAŁ V.

Baronowa Grubenstock.

„Istotę kobiety stanowi miłość” — ktoś powiedział. Jest to fakt wiekowemi spostrzeżeniami i wiekowym doświadczeniem stwierdzony, fakt zatem nawskróś pozytywny, przeczyć któremu nie może umysł najbardziej nawet trzeźwy. Sprzeczać się można o istotę miłości, ale nie o jej istnienie. Zaprzeczać też niesposób cechującej ją zapalności, chwytającą się zapytań tajemniczością osłoniętych, a rozkosze obiecujących. Kapłani nowej szkoły, która „naturalistyczną” się mianuje, tłumaczą to zapomocą popędów zmysłowych. Nie odrzucając absolutnie tłumaczenia tego, cale nie nowego, zauważyć należy, że popęd ów dzieli się na skale niższe i wyższe, wznosi się od pierwszych ku drugim i, wmiarę jak się wznosi, coraz to bardziej subtelnieje, coraz to wyraźniej od ziemi się odrywa, aż na stopniu najwyższym zmienia się w czystą ekstazę. Zależy to w części od de-

likatności uczuć, wczęści od wychowania, wczęści od temperamentu, wczęści od czegoś, co wytłumaczyć, a zatém i pojąć trudno. Niecielesne owe przejawy cielesności pozostają zagadką nie do rozwiązania, będąc jednak faktem pozytywnym.

Baronowa przedstawiała zagadkę tę pod postacią nieopisanie ponętną. Popędów jój powody tkwiły w kobiećości natury jój delikatnej, wydelikacjonęj bardziej jeszcze wychowaniem jakie otrzymała, a które tém się znamionowało szczególnie, że w życiu swojém przymusu nie zaznała nigdy. Pieszczona, chuchana, cacana, pojęciem bystrém, wyobraźnią żywą i sercem szlachetném obdarzona, bawiąc się, odbyła edukacyą, fundament któręj stanowiła estetyka, podawana nie w formie doktryny, coby ją znudziła niezawodnie, ale pod postacią praktyki, zajmującej jój umysł i pobudzającej do myślenia. Imaginacya, ogładzana i polerowana przez metrów, co się z nią jak z cackiem kryształowém obchodzili, służyła jój za przewodniczkę w wędrówce myślowej, która z zacieśnionych zrazu szranek na coraz-to szersze stopniowo wymykała się obszary, coraz-to swobodniej bujała. Właściwa atoli swoboda polotu onęj nastąpiła, gdy na młodą kobietę zawołano: „żono!” to jest, gdy poraz piérwszy doznała przykrości.

W wyjściu swém za barona Grubenstocka uczyniła zadość woli ojca, nie miała bowiem żadnej

słusznój racyi czynić inaczej. Prezes miłość dla jedynaczki swojej posuwał do granic ostatecznych; powolność jego dla córki była niewyczerpaną; mogła, gdyby była chciała, nie zostać baronową Grubenstock, została nią jednak, a zrobiła to w taki sposób, w jaki byłaby przyjęła propozycją na przykład wyjazdu w podróż jakąś nieznaną i ciekawą. Przygotowywana do uprzyjemnienia sobie życia zapomocą muzyki, malarstwa, tańca i błyszczenia w świecie, nie była zgoła przygotowaną do zapatrywania się na życie poważnie. Małżeństwo przedstawiało się jej jako środek jeden więcej, zapomocą którego zajmie sobie czas, wchodzący do téj samej kategorii, co fortepian, penzel, balowy strój, spacer na Bielanach, łoża w teatrze i t. p. Ojciec zaproponował; przyjęła propozycją bez wahania się i gdy już cofnięcie się niemożliwém było, zapytała sama siebie: „Co się to zrobiło?”

Zrobiło się to, że przykuła się pierścieniem małżeństwa do człowieka, dla którego zadanie życia trudném było do rozwiązania. Baron prezentował się całę pokąźnie, pomimo, a może właśnie dlatego, że czoło jego znaczyła széroko rozsiadła łysina. Cere miał białą, na licach rumieniec, wargę dolną nieco obwisłą, wzrost przechodzący miarę średnią, minę wielkopańską; nie wyglądał na człowieka, skazanego na zniknięcie ze świata w sile wieku męzkiego. Zdanie to podzielali i lekarze, z pewnemi atoli zastrzeżeniami, poprze-

dzanemi przez „jeżeli.” Zastrzeżenia te odnosiły się do warunków higienicznych na przyszłość, wychodziły zaś z przeszłości, która, acz niedługa — baron w dniu zaślubin liczył lat trzydzieści sześć skończonych — była atoli zapełnioną. Nietyle wszakże przeszłość własna na fizyczność barona wpływała, co przeszłość dostojnych rodziców jego, pozostawiających mu w spadku po sobie miliony i skrofuły, dzięki którym dziecinne lata jego upływały w żelazkach, a wychowywanie odbywało się w kąpielach wodnych, piaskowych i słonecznych, szukanych po Europie całej. Rozwijał się, jak roślina w cieplarni, przesiąkał wydzielinami jodu, bromu, soli, żywicy, odżywiał się mięsem surowém, wyrastał z nerwowemi drgawkami i z tém przeświadczeniem, że świat i wszystko co na nim jest na to tylko istnieje, ażeby na jego być usługi. Uważał to za rzecz całkiem naturalną, mając pretensyą do usług nie innych, jeno płatnych. Czyż nie miał pieniędzy? Czyż za pieniądze wszystkiego kupić nie można? Rodzic jego, pierwszy co Grubenstocków przyozdobił tytułem barona, był arcykapłanem tego bożyszcza, któremu ludzkość wytrwałej aniżeli innemu pokłony bije. Kapłaństwo tego rodzaju przechodzi z ojca na syna, wpajając zawczasu w spadkobierców ton powołaniu odpowiedni, stosujący się atoli do temperamentu, skłonności, nawyków i przekonań. Młody baron wszystko to posiadał w gatunku patentowanym, wysoko fi-

nansowym, zaprawnym pewną goryczą, która była następstwem cierpień fizycznych, na jakie skazanym był od najwcześniejszego dzieciństwa. Z goryczą łączył się dowcip, przymiot dający się często spotykać w ludziach skrofulami dotkniętych; ten czynił go kawalerem skończonym, w światowym rozumieniu, kalamburzystą pierwszj siły, wysoce cenionym w sferach paryzkiego półświata, w którym odegrywał rolę lwa, tém dosadniejszą, że do wstrząsania miał nie grzywę, ale worek.

Pobranie się jego z panną Teodora Sonne nastąpiło wskutek układu pomiędzy ojcami. Jemu samemu ożenienie ani się śniło i chociażby się było przyśniło, pozostałoby bez następstwa, gdyby przedstawioném mu nie zostało pod postacią korzystnej afery.

— Żeń się, Leonie; milionów tyle a tyle.

— Hm? — pomyślał chwilkę — dobrze.

I nie zapytał nawet z kim. Stary baron, wciąż gu rozmowy, powiedział mu przyszłej jego nazwisko, które mu obcém nie było. Znał je ze słyszenia, ze stosunków finansowych, wiedział jak na giełdach notowanym był podpis: Maurycy Sonne — w finansowych sprawach bowiem był biegły, obejmował je bystro, miał pomysł i natchnienia. W Hamburgu, z kąd operował stary baron, uważano go jako rosnącą potęgę.

Z Hamburga do Warszawy niedaleko. Pojechać i osobiście przyszlą swoje poznać, było dla młodego barona dziełem jednego tygodnia.

— I cóż? — zapytał go ojciec, po powrocie jego z Warszawy.

— Dobrze — odpowiedział. — *La jeune fille est charmante.*

Po tém powiedzeniu wydawaćby się mogło, że mu się przyszła jego podobała. Podobała się w rzeczy samej, ale jak? Ujrzał przed sobą istotę prześliczną, a przytém taką szczęśliwą, tak sobą i wszystkiém co ją otaczało zadowoloną, tak niczém niezakłopotaną, tak żadnym cierpieniem niepodległą, że w odniesieniu jęj do siebie, w porównaniu ze sobą, poczuł radość. W poczuciu tém doznawał satysfakcyi niejakięj na myśl, że cacko to zepsuje się w zetknięciu z osobą jego. Zapragnął tego i pragnienie to uczynił podniętą owych starań, które służą jako preludyum do związku małżeńskiego.

— Co za potwór! — ktoś zawołać gotów.

Jako żywo, był to tylko egoista w dobrym gatunku, wedle natury egoizmu.

Egoizm ma to do siebie, że przykrość największą sprawiają mu nie dolegliwości własne, ale okazy braku dolegliwości u bliźnich. Człowiek tylko przez porównywanie zaznacza swoje ja na łonie społeczeństwa, odnosząc do osoby własnej wszystko, i dobre i złe. Dobre nie razi, złe razi, wywołuje pożądanie reparacyi, gdy zaś takowa okazuje się bądź bardzo trudną, bądź tęż zgoła niemożliwą, wówczas wytwarza się pretensya do natury, do świata, do społeczności, do ludzi poje-

dynczych i pretensya ta tłumaczy się okrzykiem duszy:

— Czemu cierpię ja? czemu nie cierpią i oni?

Odzyw ten wydobywa się zarówno z piersi tak ludzi pojedynczych, jak mas. Cóż innego, jeżeli nie on, służy za dźwignię w rozwijających się przed oczami naszymi ruchach socyalnych? Na dnie onego spoczywa krzywda — krzywda wielce podobna do tój, która stała się młodemu baronowi Grubenstock przez to, że na świat przyszedł w zapewniających mu wszystko, z wyjątkiem zdrowia fizycznego, warunkach. Z poczuciem krzywdy tój zwracał się do tój, co z nim życie podzielić miała, i zazdrościł jęj.

Prezes, rodzic przyszłej baronowej, zapatrywał się na związek córki ze strony interesu, do wykalkulowania którego brał wszystkie dane, jakie się do wzięcia nastrećzały, pod postacią kwestyj finansowej, zdrowotnej i psychicznej. Kwestya finansowa przedstawiała się bardzo ponętnie i zupełnie zadowolająco; zdrowotna pozostawiała dużo do życzenia; psychiczna stanowiła zagadnienie, rozwiązanie którego przechodziło możność prezesa. Tę więc ostatnią pozostawił w cieniu, spuszczając się na losy. Był tego przekonania, że taka jak Dola kobieta i tygrysa ugłaskaćby potrafiła, nie dopiero młodzieńca wychowanego świetnie. Nie rozwiązywało to wprawdzie zagadnienia, dawało wszakże rękojmie niejakię, na które rozkochany w córce ojciec spuszczał się

z ufnością, chociaż nieabsolutną. Szukał więc w czém inném rękojmi pewniejszych. Cóż może być pewniejszego nad rachunek? Za podstawę rachunku wziął zdrowie przyszłego swego zięcia i na podstawie téj z rodzicem młodego barona zawarł układ, na mocy którego wyposażenia młodych małżonków zléwały się w majątek obojgu im wspólny i, na wypadek śmierci jednego, przechodziły na własność pozostałego przy życiu. Okrom tego, jednym z ważniejszych punktów układu był ten, że młode małżeństwo zamieszkiwać miało w Warszawie, przy prezesie, biorąc, w charakterze spółników, udział w interesach jego. W sposób ten baron Leon miał po śmierci ojca i teścia swego stanąć na czele dwóch zakładów finansowych, operujących jeden w Hamburgu, drugi w Warszawie. Oczekiwało go ześrodkowanie wielkiej w jednych rękach potęgi.

Młoda kobiéta układ powyższy przyjęła do wiadomości z obojętnością jaknajzupełniejszą i pozwoliła wydać się za mąż bez najmniejszego ze strony swojej oporu, nie mając na usprawiedliwienie własne tego nawet, że „ojciec kazał.” Ojciec nie kazał. Prezes wobec jedynaczki swojej nie zdołałby się na tyle zdobyć energii, pomimo wielkich korzyści majątkowych, jakie związek ten rokował. Przedstawił jéj tylko interes i resztę do jéj woli zostawił; gdy zaś młody baron Grubenstock z Hamburga przybył i oddawszy obowiązkowych wizyt kilka, do Hamburga powró-

cił, zadał córce zapytanie takie samo, jakie stary baron zadał synowi:

— I cóż?

Na zapytanie to przyszła baronowa zapytaniem odpowiedziała:

— Ojciec życzy sobie?

— Ach! — zabrzmiała odpowiedź prezesa — milion ztąd, milion ztamtąd, i jakżebym życzyć nie miał!

— Dobrze.

— Baron Leon nie robi ci wstrętu?

— Wstrętu? nie, przynajmniej tak mi się wydaje.

— O! bo gdybym ja na twojem znajdował się miejscu, to...

— To co? — zapytała, widząc ojca wahającego się nad wyrazem.

— To ja, no powiadam ci, żebym się nim zachwyił. Co to za człowiek! co za człowiek! Wyobraź sobie: dni temu dziesięć stary baron na jedno jego słowo wygrał sto trzydzieści pięć tysięcy netto. Cudowny węc!

— A! — odparła Dola tonem lekceważenia — czyż to mnie węc ten obchodzi?

— Jednakże... do pogardzenia nie jest — odrzekł prezes sentencyonalnie. — Pomijając to atoli, sama przyznaj: we względzie dystynkeyi czy nie jest on kawalerem skończonym?

Temu zaprzeczyć nie mogła. Młody człowiek zaimponował jój, jeżeli nie urodą ani rozumem,

to tonem wyższości, właściwym mężom stanu, w owym czasie niewyszydzonej jeszcze przez Offenbacha, działa się to bowiem w epoce poprzedzającej narodziny „Pięknój Heleny” i „Księżniczki Gerolstein.” Posiadał ów szyk dyplomatyczny, który sprawia wrażenie, ów akcent w pozowaniu, który domyślać się każe więcej, aniżeli jest; gdy zaś głos w salonie zabięrał i wię poczy-
nał girlandę rozmowy, to wydawało się, jakby z piedestału schodził i przez łaskawość wielką stawać się raczył śmiertelnikiem zwyczajnym. Každy z ust jego wyraz trafiał w cel.

Mógł-że się człowiek taki nie podobać młodzieńkiej, niedoświadczonej kobiecie?

Podobał się.

Zachodzi tu jeszcze kwestya, z której wytłumaczyć się muszę, przewidując że przyjdzie ona na myśl jeżeli nie czytelnikom, pochłaniającym zazwyczaj rzeczy czytane szybko, jeżeli nie krytykom, zastanawiającym się nad produkeyami myśli poważnie, to recenzentom, mającym pociąg do łydek autorskich. Chodzi tu o kochanie. Czy Dola pokochała młodego barona?

Czy pokochała? — Nie, nie poczuła bowiem do osoby jego tego pociągu nieprzepartego, co miłość znamionuje. Gdyby po wyżej przytoczonej rozmowie z ojcem nastąpiła była rozmowa, w którejby prezes oznajmił jej o zerwaniu układów, nie byłaby w rozpacz wpadła. Doznałaby uczucia przykrości—to pewna, nie innój jednak, tylko

takięj, jakięj na przykład doznaje na balu tancerka, zawiedziona przez tancerza, co ją do walca zamówił. Przykrość to niemiała, miłości własnej uwłaczająca. Na zerwaniu układów ucierpiałaby jęj miłość własna obrażona — toby ją było dotknęło, lecz ani o nadwerczenie równowagi umysłowęj, ani nawet o głębszy smutek nie przyprawiło. Pocieszyłaby się rychło, zwłaszcza że nie brakło jęj na resursach, co pociechę w razach podobnych sprowadzają. Przed wyjściem za mąż rozmiłowała się w dziełach sztuki i otaczała się takowemi. Małżonka zastąpiłaby malowidłem, posążkiem, bronzowym odlewem, lub czémś podobném, zapominając o doznanym zawodzie.

I byłoby stokroć lepiej, gdyby się tak było stało.

Zamiast przykrości mniejszęj, naraziła się na większą—na ogromną.

Ku wielkiemu dwóch firmowych—prezesa Mauricego Sonne i starego barona Grubenstock—uradowaniu, wyszła za mąż, och! wyszła. Jako oblubienica stanęła obok oblubieńca na posypanym listkami róż, fijołkami, złocistemi kokardami i różnobarwnemi pęczkami kobiercu, który wyobrażał śmieciscko. Gdyby na śmieciscku nie udaném lecz rzeczywistém ślub brała, możeby się jęj dola inaczej obróciła. Tak zaś—obróciła się fatalnie.

Punkta układu wykonanemi zostały literalnie. Pod względem tym rzecz znajdowała się zupełnie w porządku, a mimo to nieporządek dla młodęj

baronowej przejawił się w najpiérwszém, jaki młody baron, jako mąż, rzucił na nią, spojrzeniu. Spojrzenie to zmieszało ją—zadrżała, jak wieiórka, gdy na nią grzechotnik oczy zwróci. W spojrzeniu tém przebijała się złośliwość, zamaskowana wytworną grzecznością człowieka wielkiego świata. Młoda kobiéta odczuła je na sobie, jakby usłyszała wyrazy: „ha! mam cię.”

Obchodzeniu się z nią małżonka nie napozór do zarzucenia nie było—owszem, zachowywał się zawsze względem niej z uprzedzającą grzecznością, której nie brakowało niczego, z wyjątkiem ciepła serdecznego. Ciepła tylko tego brakowało, ażeby się baronowa czuła jeśli nie szczęśliwą, to zadowoloną, gdyby widziała, że może przynieść mu ulgę, bodaj najmniejszą—że, we względzie tym, osoba jój znaczy cokolwiek więcej, aniżeli dekolt waleryany, pigułka żelazna, china i morfina, środki, bez których baron nie mógł chodzić, siedzieć, mówić, jeść ani spać. Bezúżyteczność swoję odrazu poznała; poznała ją atoli w sposób, który nazwać można nieświadomym, nie umiała jój sobie bowiem wytłumaczyć, nie wiedziała w czém ona tkwi, na czém polega. Trudnoż-bo to było. Do wytłumaczenia sobie czegós należy się przedewszystkiém na właściwém postawić stanowisku; stanowisko zaś, na którémby się baronowa postawić musiała, wymagało tego, ażeby się porównała z lekarstwami. Mogłaż taka jak ona kobiéta, sił żywotnych pełna, w słońce pięk-

ne wpatrzona, kochana, rozpieszczona, natyle zdobyć się abnegacyi, ażeby spółzawodniczyć z waleryaną lub z morfiną? Mogłaby zostać środkiem łagodzącym i uspakajającym bezwiednie, gdyby ją mąż był pokochał. O owo też „gdyby” rozbiło się wszystko. Baron, egoista skończony, jeżeli posiadał kiedy w sercu odrobinę uczucia tego, którego źródła filozofia nowoczesna upatruje w tak zwanym altruizmie, to odrobinę tę wyeksponował na gwiazdy paryzkie i do udzielenia żonie nie miał już nic, ani kropli, ani atomu. Na mężowskiéj piersi spotkał ją chłód mroźny. Chłód ten wprowadził ją w zdumienie, to zaś zmieniło się następnie w rodzaj jakiś żalu, gdy zmiarkowała, że do niego przyłącza się pretensya, której źródła i znaczenia pojąć, ani domyślić się nie mogła. Czyż bowiem domyślić się mogła, że jest ze strony męża przedmiotem zazdrości?

Tego rodzaju pożycie małżeńskie doprowadziło w krótkim czasie do rezultatów, do których doprowadzić musiało. Młoda kobiéta zastanawiać się poczęła i zadała sobie pytanie, któreśmy powyżéj przytoczyli: „Co to się zrobiło?”

Została zameżna, przyozdobiła się tytułem baronowéj, była poważaną, otaczały ją hołdy, mąż okazywał jéj grzeczność wyszukaną, a mimo to wszystko znalazła się jakby w próżni — przepaść bezdenna pod nogami, bezmiar nad głową, brak powietrza dokoła.

— Co to się zrobiło?...

Pracowała myślą usilnie nad rozwiązaniem zagadnienia tego, ograniczając się z początku na rozpoznawaniu braku harmonii, zachodzącym pomiędzy mężem, a nią. Rozpoznała brak ów, przeświadczyła się, że jest on istotnym a głębokim, do zapelnienia niemożliwym, nie nastreczał się bowiem żaden grunt spólny, na którymby dwoje tych ludzi zejść się i porozumieć mogli. Egoizm barona był wyłącznym, absolutnym, bezwzględnym, obcym zarówno kosmopolityzmowi, ogarniającemu ludzkość, jakoteż patryotyzmowi, zwracającemu się w koło narodowe. Sprawa żydowska obcą mu była, a lubo zrodzony wśród Niemców, niemiecka ojczyzna nie obchodziła go zgoła; zamieszkały między Polakami, czuł dla nich wzgardę, wzgardę tém dotkliwszą, że i Dola uznawała się Polką mojżeszowego wyznania, i prezes się za Polaka podawał, i tak ojciec, jak córka mieli, lubo każde z racyi innéj, do rodzinnéj ziemi przywiązanie. Prezesowi ziemia ta przedstawiała się, jak rzemieślnikowi warsztat, jak przemysłowcowi fabryka, jak rolnikowi rola; ciągnął z niéj zyski, odnosił się więc do niéj z wdzięcznością. Dola zapatrywała się na nią przez pryzmat wyobrażeń estetycznych, ukazujących jéj przedmioty z ich strony pięknej i to co piękne wysuwających naprzód, na pierwszy niejako plan, jak to czynią malarze w historycznych i rodzajowych kompozycjach. Ztąd historia polska zajmowała ją niby romans; literatura posiadała uznanie jej całkowite, dochodzące

niekiedy aż do zachwytu; duszę jęj opanowywały uroki poezyi, którą ukochała. Te jęj uczucia mąż chłostał delikatném, ale ostrém szyderstwem, podchodzącém pod ton Heinego, który śpiewał o „Polaken aus der Polakei.” Nigdy tęż o obywatelstwie krajowém nie wyrażał się inaczej, tylko: „die Polaken,” zalet ich widziéć nie chciał, przywary widział w przesadzie i podzielał zdanie owego Prusaka, że „Polacy są narodem zbyt nikczemnym, ażeby wydać z pośród siebie mogli człowieka tak wielkiego, jak Kopernik.” Uważał ich za przydatnych do jednego tylko: do tego mianowicie, ażeby z nich, w sensie spekulacyjnym, skórę zdiérać.

Nie zasługiwali oni, w mniemaniu jego, nietylko na szacunek, ale ani na względy, ani nawet na politowanie.

Niesprawiedliwość ta raniła młodą kobiéć, oburzała ją i obrażała.

— Ja Polka — powiadała nieraz sama do siebie, gdy jęj się o uszy obilo podobnych przysmaków parę—ja Polka.

I roila się jęj Judyta, nie owa jednak kreacyi biblijnéj, co się z Holofernesem rozprawiła, ale ta, którą stworzył Słowacki, potężna zaklęciem, którém ściągała burze, gromy, błyskawice. W ten sposób, wobec męża, kolącego szyderstwami, wzmacniała w sobie uczucia, znajdujące się w harmonii z wyobrażeniami jęj estetycznemi.

Drugim względem, zapomocą którego tłumaczyła sobie dysharmonią pożycia małżeńskiego, był sposób, w jaki się małżeństwo jęj skleiło. Powstało ono z rachunku i na rachunku się oparło: rachunek przeto zbrzydziła sobie do tego stopnia, że stał się dla nięj zmorą, która ją trapiła. Gdy wyobrażała sobie, z jakim-to namysłem głębokim ojciec, co ją do szaleństwa kochał, uczynił z nięj ofiarę rachunku, to gotową była namysł i rachunek, gdyby to od nięj zależało, wieczystym podać interdyktowi.

— Namysłili się i wyrachowali! — skarżyła się często w cichości.

Znosiła jednak los swój z heroizmem, na pomoc któremu przywoływała sztuki piękne i literaturę, czyniąc z nich użytek dorywczy. Kiedy jęj mąż docinkami dokuczał, uciekała raz do książek, to znów na koncert, innym razem do teatru, a niekiedy imiała się penzla, próbując ażali nie zaklnie na płótnie takiej Judyty, jaką w wyobraźni swojej piastowała. Nie wiodło się jęj to, pomimo że niemało kartonów zapelniła kompozycjami, rysowanemi węglem lub gwaszem. Wyobraźnia cudne zapewne tworzyć musiała obrazy, lecz oko i ręka posłuszeństwa odmawiały. Wszakże jeżeli nie zyskiwała na tém sztuka malarska, zato malarka odnosiła korzyść ogromną, zapominając na chwil kilka o tém, że jest małżonką barona Leona Grubenstocka. Dorywcze te zajęcia oddawały jęj usługę niemałą, w tym mianowicie

względnie, że dzięki onym nie szukała ogłuszenia w wirze światowym, nie puszczała się na tę drogę, na którą zazwyczaj wchodzi bogate, piękne, młode, a w oczekiwaniach swoich zawiedzione i pociechy potrzebujące małżonki. Pocięcha znajdowała się w zapomnieniu, jakie jej dostarczało zajęcie umysłowe. Jeżeli stawała się względem męża niewierną, to dla Mickiewicza, dla Słowackiego, dla Krasińskiego, którzy wszyscy pod mogiłą spoczywali, a czasem i dla żyjących nawet, dla kuzyna bohatera naszego na przykład, który, acz żył, ale gdyby nie Adam, nie posiadałby najmniejszej zgoła świadomości ani o baronowej, ani o tem, że miał być przez nią czytany. Niewierność owa przeto tkwiła w sferze tak czysto abstrakcyjnej, że honorowi małżonka nie zagrażała w niczem. Baron też był o honor swój spokojnym zupełnie, dziwił się tylko, że szukać i znajdować można było rozrywkę w błazeństwach podobnych. Dola razy parę stawać próbowała w obronie piśmiennictwa polskiego. Baron na to raz ramionami jeno ruszył, drugi raz atoli z krytyką wystąpił:

— Pokaż mi — rzekł do żony — jednego w Polak ei autora, któryby się na autorstwie majątku dorobił, a przyznam literaturze polskiej istnienie. Produkcya majątku niedająca jest to plód poroniony... jeżeli żyje, to nieinaczej, tylko życiem suchotniczém, w kalécwie, w niedoleźtwie, *hustend und schluchzend* (kaszląc i łkając).

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś po polsku czytał—odezwała się baronowa.

— A! — odparł, usta pogardliwie wykrzywiając — nie doczekają się Polacy tego zaszczytu, ażebym na druki ich patrzył. Zresztą i pomiędzy nimi, ci co szanują siebie a smaku trochę mają, wolą bawić się literaturą francuzką, aniżeli własną...

Dola usta przygryzła i nie nie odpowiedziała, czując bowiem jak krew do głowy jej przyplывa, obawiała się o nieprzekroczenie w odpowiedzi miary przyzwoitości. Od tego też czasu nigdy już więcej literatury polskiej nie broniła, jak wogóle nie wdawała się z mężem w żadne z materyi sztuk pięknych rozprawy. W sposób taki oszczędzała sobie przykrości z jednej strony; z drugiej atoli, z tej której nie rozumiała, przykrość dosięgała ją często i raniła boleśnie. Cierpiała cierpieniem męża.

To co opowiem, działo się na początku zimy, a raczej przy końcu jesieni. Na dworze panowała pogoda listopadowa; padał deszcz ze śniegiem naprzemian; wiatr chłodny przeciągał; ludzie marzli i mokli; na ulicach, wieczorem zwłaszcza, widać było tych tylko, których konieczność zmuszała pod otwartem zostawać niebem. Pora taka najbardziej, jak wiadomo, sprzyja widowiskom teatralnym i teatry, korzystając z niej, dają wtedy sztuki ponętne. Nie wiem co grano, grano jednak coś ciekawego; teatr był napełnio-

ny, a baronowa zajmowała łożę swoje, której nie opuściła, aż gdy po akcie piątym kurtyna zapadła. Byłaby z ochotą pozostała dłużej, tak dla sztuki, jako też dlatego, że w domu czekało ją przykre przejście, co wieczór się powtarzające, oddawania dobrej nocy mężowi, idącemu do łóżka z rozdrażnieniem nerwowem. Był to rodzaj pańszczyzny, odbywanój pod przymusem moralnym, tém przykrzejszy, że następował zazwyczaj po koncercie lub teatrze, a reprodukował się zawsze jednakowo.

— I jakże się czujesz? — zapytywała baronowa.

Baron zawsze jedną i tę samą udzielał odpowiedź: mówił że czuje się niedobrze i dawał do zrozumienia, że żona mu zawadza. Wieczora tego odpowiedź zwykła z większym zabrzmiała przyciskiem. Na zapytanie odrzekł:

— Bardzo niedobrze, cierpię. Bawiłaś się? — zagadnął ze znaczącym akcentem.

— Możebym ci w czém pomódz, bodaj ulżyć mogła? — odpowiedziała.

— Hm, mogłabyś pomódz i ulżyć, gdybym cię mógł zażyć, jak zażywam morfinę. Ale i w takim razie ulgaby nie nastąpiła, gdybyś nie posiadała własności specyficznych, działających na system nerwowy z większą aniżeli morfina siłą.

Słowa te, ironią złośliwą nabrzmiałe, zraniły boleśnie młodą kobietę. Porównana z trucizną, uczuła się obrażoną. Powiedziała „dobra noc” i odeszła do łóżka; lecz sen od powiek jej trzy-

mał się zdaleka: mężowskie słowa zasnąć jój nie dały. Po jakimś czasie uwagę jój zwrócił na siebie niezwykle w apartamencie barona ruch. Słyszała chodzenie i mówienie niespokojne; obcy jakiś głos o słuch jój uderzał; wydało się jój, jakby o niej mówiono. Z łóżka wyskoczyła, ogarnęła się, pobiegła i gdy od pokoju sypialnego męża portyerę uchyliła, ujrzała przy łóżku barona lekarza. Widok ten poznać jój dał niebezpieczeństwo. Strwożona, zbliżyła się na palcach do lekarza, który do ucha szepnął jój wyraz:

— Żle.

Trwoga większa jeszcze ją ogarnęła. Skamieniała niby. Wpatrzyła się w oblicze barona, który oczy zamknięte otwierał niekiedy i błędnym wodził wzrokiem.

Otworzył oczy i spojrzenie na żonie zatrzymał.

Chwilkę panowało milczenie. Przerwał je baron.

— Uwalniam cię od siebie — odezwał się słabym głosem, na żonę patrząc — uwalniam, ciesz się.

Jeszcze raz kilka ustami ruszył, ale już głosu z piersi wydobyć nie mógł. Po chwili ocieźzałe powieki na oczy mu spadły. Lekarz, który za puls go trzymał, puścił rękę jego i do baronowej się zwracając, a minę uroczystą przybierając, rzekł:

— Skończyło się.

ROZDZIAŁ VI.

D o l a.

„Ażeby poznać człowieka, trzeba z nim zjeść beczkę soli” — powiadają. Reguły téj atoli brać nie należy w znaczeniu dosłowném i powiadać na przykład, że nie znamy baronowój, beczki soli z nią nie zjadłszy. Przedstawiliśmy ją z dwóch stron, z zewnętrznój i wewnętrznej, zaznaczając te punkta zwrotne, które wpływ wywrzć mogły na uformowanie jój charakteru. Znamy więc ją dostatecznie i wiemy, czego się po niej spodziewać można.

Śmierć męża zaniepokoiła ją w sumieniu, starała się poznać powody onój. Przyszło jój to z łatwością. Dowiedziała się, że był to człowiek, który przez trzydzieści kilką lat życia swego toczył ze śmiercią walkę ustawiczną i wiedział o smutnym stanie swoim. Miecz Damoklesa wisiał wciąż nad głową jego — spadł wreszcie, bo spaść musiał. Do wypadku tego ona w najmniej-

szęj przyczynić się nie mogła części. To ją uspokoiło. Nasunęły się jęj atoli na myśl dwie kwestye, nad któremi się zastanawiała, a mianowicie: dlaczego baron żenił się, stan swój znając? dlaczego ona wydana za niego została? Myślała, kombinowała i kombinacya dawała jęj niezmiennie odpowiedź:

— Rachunek.

Rachunek przedstawiał się jęj pod postacią najgorszą—pod postacią potwora apokaliptycznego, niszczącego życie oddechem samym.

Co do nieboszczyka, czuła do niego żal za to że ją za żonę pojął, lecz poza żalem tym nie hodowała w duszy pretensyj najmniejszych za półtora roku cierpień moralnych, doznawanych w pożyciu małżeńskim. Uznała męża za — wyrażając się terminem jurydycznym — niepoczytalnego. W rzeczy samej, w człowieku chorym wyrobić się musiała zgryźliwość, objawiająca się w zapatrywaniach się jego na rzeczy i ludzi. Inaczej zaledwie być mogło. Potrzeba wielkiej podniosłości umysłu i szczególnej dobroci serca, ażeby człowiek taki zdobyć się potrafił jeżeli nie na sprawiedliwość, to przynajmniej na względność i pobłażliwość, stawiające go ja narówni z ogółem śmiertelników. Podniosłość umysłu i dobroć serca nie należały do zalet nieboszczyka. Musiał więc być takim, jakim był—dał się Doli we znaki, przez to atoli urobił w niej to, co nosi miano

charakteru, który znamionowała pewna ekscentryczność.

Ekscentryczność objawiała się za życia młodego barona. Cóż bowiem poczęłoby dziewięćdziesiąt dziewięć na sto młodych kobiet, znalazłszy się na miejscu i położeniu Doli? A cóż... Byłoby dziewięćdziesiąt dziewięć romansów, romansów w nowych edycjach, nieodznaczających się atoli nowością żadną; powszednich, pospolitych i brzydkich. Jedna na sto rozromansowałaby się także, zgrabniej jednak nieco, z nadającym się do powieści szykiem. Dola uniknąć szkopułu tego potrafiła i na tém-to właśnie ekscentryczność jęj polegała. Z opałów wyszła cało—zupełnie cało, i to pomimo że nie brakło jęj ani na sposobności, ani na pokusach, przeciwko którym zbroiła się nie w co innego, tylko w poczucie godności własnej, w to wysokie o dostojności człowieczej rozumienie, które nie pozwala zniżać się do fałszu, chociażby fałsz otaczały pozory i racye jaknajponętniej i jaknajlegalniej wyglądające. Dała słowo i dotrzymała go, nie szukając wybiegów i wymówek, ani w tém, że dobra jęj wiara nadużyta została, ani w tém, że grzechy mażą się żalem za nie, ani w nicém. Wszelkie względy romansowe i psychiczne, prawne i fizyologiczne, służące na usprawiedliwienie łamania wiary małżeńskieję, odsunęła na stronę i stanęła w prawdzie.

Od słowa zwolniła ją śmierć męża, która dała jęj swobodę nieograniczoną. Rezultat ten spro-

wadził sam fakt śmierci. Fakt ów atoli odosobnionym nie pozostał. Przyłączył się doń inny jeszcze, natury mniej więcej tój, co znaki pisarskie w pisowni, które, rzeczy głównej nie stanowiąc, odegrywają wszelako rolę pomocniczą, bardzo ważną. Stało się to w sposób następujący. Po pogrzebie barona, Dolę przejął szczerý a naturalny smutek, będący następstwem wszelkiej straty, bez względu na to, czy takowa na żal zasługuje, czy nie. Płakała, w apartamencie swoim zamknięta. Na płaczu zeszedł ją ojciec i przemówił do niej wyrazów kilka pociechy, widoczném jednak było, że przyszedł nie w zamiarze pocieszania; przyprowadziła go myśl inna.

— Smutek twój — zaczął głosem łagodnym — świadczy o dobroci twego serca i to daje mi nadzieję, że mi przebaczysz.

Mówiąc to, osunął się przed córką na kolana.

— Przebacz mi, Dolo — podniesionym a wzruszonym przemówił głosem.

— Ojczy! — zawołała.

— Jam wszystko wiedział.

— Ojczy! — powtórzyła, usiłując z klęczek go podnieść.

— Ja się obwiniam przed tobą.

— W czém?... dlaczego?...

Prezes do odpowiedzi się zabiérał, lecz baronowa mówić mu nie dała.

— Wstań piérwój — nalegała — wstań i usiądź.

Nie opierał się zbyt mocno; usiedli oboje na kanapie, stojącej między dwoma oknami, i prezes w takie odezwał się słowa:

— Ty nie wiesz, żem ja wiedział wszystko... wszystko... i nie nie mówiłem, bo i cóż mówić miałem? Powiedz sama: cóż mówić miałem?

— Nie wiem o co chodzi—przerwała baronowa.

— Nie wiesz, bo serce masz dobre, i dlatego mi przebaczysz.

— Ależ, ojcze, cóż tu jest do przebaczenia?

— Co jest do przebaczenia? To, żeś nie była szczęśliwa.

— O — zaczęła; lecz prezes do słowa jej przyjść nie dał; mówił dalej, a wyrazy z ust płynęły mu szybko, jakby prześcigając się wzajemnie.

— Niebyłaś szczęśliwą, z mojej winy. Skojarzyłem cię bowiem z baronem, nie uprzedziwszy, że baron chory. Skojarzyłem cię, no, i co się interesu tyczy, interes zrobił się dobry. Ale robiąc dobry, bardzo dobry interes, nie wziąłem w rachunek tego, że do interesu tego wchodzi ty, osobą swoją, a przecie osoba twoja, osoba tak delikatna i tak tkliwa, powinna być w rachunek wzięta. No, opatrzyłem się, ale zapóźno. Posłuchałaś mnie, wyszłaś za barona i... O moje dziecko! Alboż to ty wyjść nie mogłaś za kogobyś zechciała? Widziałem wszystko... nie byłaś szczęśliwą. Przebacz-że mi, przebacz, Dolo!

Prosił, błagał, ręce składał i przymilał się.

— Mój ojczy, nie poczuwam się do prawa przebaczenia ci—odrzekła.

— Przebaczyć więc nie chcesz?—zapytał z goryczą.

— Wcale nie to. Słowa moje źle tłumaczysz sobie.

— Nie tłumaczę sobie słów twoich mylnie. Powiadasz: nie masz prawa, żeby nie powiedzieć: nie mam ochoty; nie mam zaś ochoty, dlatego że chowasz w sercu do mnie żal. A wierz mi... wierz mi — rzekł z przyciskiem — chciałem szczęścia twego, ale zdawało się mi, że... bogactwa... miliony... znaczenie... że to... tego... A!—dłonią czoło potarł—w głowie mi się kręci.

— Ojczy—odezwała się baronowa głosem do serca wnikającym.

— Przebacz mi!—zawołał prezes z uniesieniem.

— Za dobre chęci twoje? — odrzekła. — Gdybym miała prawo, to....

— Znów prawo!—podchwycił.—Prawo! Jeżeli się tobie wydaje, że prawa nie masz, to ja ci nadaję takowe. Nadaję ci je władzą moją ojcowską i oświadczam, że ztąd się nie ruszę, że znów na kolana padnę i będę przed tobą klęczał tak długo, aż uzyskam przebaczenie twoje.

— Przebaczam! przebaczam! — wykrzyknęła baronowa, widząc że ojciec wykonał ruch poprzedzający zgięcie kolan.

— Ano—odparł, rozjaśniając oblicze.—Bo to widzisz, jam zawinił tém, żem ciebie w rachunek nie wziął.

— A może i nie tém — wtrąciła baronowa z przymileniem.

— Nie czém inném—zaprotestował prezes.

— Mnie się rzecz ta w ten przedstawia sposób, żem wchodziła w rachunek zanadto.

— Zanadto? no jakto?

— Gdyby nie ja... wszak do układówby nie przyszło?

— No... tak...

— Nie przyszłoby przeto i do rachunku, który okazał się mylnym.

— No... nie okazał się on mylnym—zareplikował prezes.

— Co do mnie... co do osoby mojej..:

— No... tak.

— Nielepiej-że było nie brać osoby mojej w rachunek wcale?—zapytała.

— Jakto? co?—wrzasnął prezes. — nie brać w rachunek?

— Pozostawić mi samój stanowienie w kwestyi małżeńskiej.

— A! o! co do tego! — zawołał prezes.—Z tém ja właśnie przychodzę do ciebie, ażeby ci powiedzieć, że, co się tego tyczy, to... niech mnie pan Bóg broni! Jam ciebie nie zmuszał przecie iść za barona. Prawda, powiedziałem, poradziłem, ży-

czyłem sobie tego, na przyszłość jednak ani mówić, ani radzić, ani...

Tu się zaciął i tak minę nastroił komicznie, że baronowa, pomimo smutku jaki w jej sercu gościł i powagi jaka w treści rozmowy tkwiła, uśmiechnęła się. Prezes poprawił się i ciągnął, dłonią zlekka gestykułując:

— Co do życzenia, to nie, bo i dlaczegóż nie miałbym życzyć sobie, ażebyś ty, wyszedłszy raz za barona Grubenstocka, wyszła powtórnie za, na przykład... jakiegoś księcia Radziwiłła... jakiegoś hrabiego Zamojskiego.

— Za kogokolwiek—dodała.

— O! nie... Nie za kogokolwiek.

— Za człowieka coby mnie zajął, coby mi się podobał, do którego bym poczuła... sympatyą.

— No tak, zapewne.

— I któryby mnie zechciał.

— A któżby nie zechciał ciebie?—wykrzyknął prezes, tonem wątpliwości niedopuszczającym.— Ciebie ktoś miałby nie zechcieć? Ale ja pragnąłbym bardzo, ażeby ten ktoś był księciem albo hrabią tutejszym... tutejszym—powtórzył z przyciskiem.— Bo to widzisz, rzecz taka: trzeba się oglądać trochę. Myśmy się przecie tu, w tym kraju porodzeni, wychowali, no... toż do tego kraju...

— Czuć powinniśmy przywiązanie—dopowiedziała baronowa.

— Niech i tak będzie: powinniśmy czuć przywiązanie, a to tem bardziej, że nas do niego inte-

resa przywiązują. To tak. Chociażbyśmy przywiązania nie czuli, tośmy przywiązani. Ty to, jak widzę, rozumiesz bardzo dobrze i, co do mnie, ja tobie radzić już nie będę.

— W samém twojem życzeniu, ojcze, tkwi rada—wtrąciła baronowa.

— Jaka?—zapytał prezes.

— Podwójna; ta naprzód, ażebym za mąż szła.

— A!—rzucił się prezes, szeroko w zdumieniu oczy otwierając.—Czyż to być może żebyś za mąż nie szła?

— Przypuszczać przecie można zajście okoliczności, na przeszkodzie stawających.

— Przypuśćmy—odparł prezes z żartobliwym uśmiechem.—No... a druga rada?

— Ażebym szła za księcia lub hrabiego.

— Ja to tylko natracam ot tak sobie, od niechcienia, bo przekonany jestem że ty sama będziesz wolała zostać księżną, albo hrabiną, aniżeli tak sobie.

— Nie, mylisz się, ojcze—odparła, dłoń podnosząc z akcentem protestacyi — tytuły nie nęcą mnie zgoła, nie uważam bowiem, aby zdolne były pokryć nicość osłaniającą się niemi. Co mi po tytule, jeżeli pod nim niema człowieka!

— Zawszeć człowiek jest pod tytułem — zauważył prezes—prawda, trafia się niekiedy kławy, ślepy, garbaty...

— Ciemny, głupi, próżny, niepocziwy — do-
dała baronowa.

— Bywa i to. No, mniejsza jednak o to. Po-
wtarzam, com powiedział: radzić tobie już nie bę-
dę. Masz serce i rozum, radź się ich sama. Kogo
mi dasz na zięcia, tego przyjmę jak syna, chociaż-
by to był melamed z bóżnicy. To słowo moje
ostatnie. Masz wolę zupełną, niech ci Bóg bło-
gosławi!

Nie sama przeto śmierć męża była faktem, wy-
zwalającym młodą wdowę. Ojciec pozostawił jęj
swobodę kierowania się, jak się jęj podoba.
W dalszym ciągu przytoczonej powyżej rozmowy
zdał przed nią sprawę z jęj położenia majątko-
wego, które było bardzo świetne, zapewniające
dochód stały, pewny i doniosły. Następnie za-
proponował podróż za granicę. Propozycyą ba-
ronowa przyjęła z ochotą i w tygodni parę po
śmierci męża wyjechała w towarzystwie ojca.

Czy mamy ją śledzić za granicą, idąc za nią
krok w krok w wędrówce, którą odbyła? Możemy,
zdaje się, bez uszczerbku dla całości i cią-
gu opowiadania, zrobić w skróceniu sprawozda-
nie, dotykając tych tylko punktów, które posłu-
żyć mogą do scharakteryzowania ekscentryczki
naszej.

Wyobraźmy sobie motyla, przelatującego z kwia-
tu na kwiat, odpoczywającego raz na lili, znów
na róży, dalej na tulipanie, narcyzie, goździku;
tu upaja się wonią, tam zachwyca się blaskiem,

owdzie tonie w mięciuchnym puszkę, który zabiera w jednym kielichu i otrząsa w drugim; nawaćbyśmy mogli tę wędrówkę motyla wędrówką estetyczną. Podobną do niej odprawiała baronowa po Europie. Cała podróż jej polegała na tém, że poszukiwała piękna i gdy takowe gdzie odkryła, tam się zatrzymywała na dłużej lub na krócej, nasyciała się, rozkoszowała i leciała dalej. I tak krążyła wciąż dalej i dalej. Motyla ta wędrówka, która trwała dłużej aniżeli półtora roku, udawała się jej doskonale. Żyła ustawicznym zachwytem, który się utrzymywał w jednakowym stopniu nateżenia, pomimo zmiany przedmiotów. Kształty, barwy i dźwięki, sztuka i natura zlewały się dla niej niby w jedno i jednakowo działały na jej zmysł smaku estetycznego. W galeryach Luwru, gdzie przesuwaly się przed jej oczami arcydzieła mistrzów penszla, wobec katedry kolońskiej, łączaczej doskonałą harmonią linii z przepychem ornamentacyj architektonicznych, na wyżynach Rhigi, będących punktem środkowym najcudniejszych panoramicznych widoków, zatrzymywała się, doznawała czegoś nakszałt leciuchnego lechtania najdelikatniejszych włókienek nerwowych, pierś jej wzdymała się westchnieniem i westchnienie to pragnęła zatrzymać na życie całe, jako życia treść. Niestety, było to niepodobieństwem. Nie mogła, w posąg uniesienia zmieniona, pozostać nazawsze ani w Luwrze, ani w Kolonii, ani na Rhigi, ani ni-

gdzie; przenosiła się z miejsca na miejsce i niekiedy na myśl jęj przychodziło, iżby tak przeność się mogła dzień po dniu, tydzień po tygodniu, ażby ją gdzieś, w momencie zachwytu, śmierć zaskoczyła.

„Byłoby to prześlicznie — roila — umrzeć w egzaltacyi na szczycie Mont-Blanc na przykład. Ach! Mont-Blanc.”

Przyszło jęj to na myśl i wnet do prezesa się zwróciła.

— Wszak prawda, ojezulku, pójdiesz ze mną?

— Co tobie! Dolo, zlituj się!

— Idzie się pomalutku, noga za nogą, wpo-
czywając co chwila.

— Ależ przepaście, urwiska, śnieg, zimno...

— Jest na to wszystko rada: na przepaście i urwiska przewodnicy, na śnieg dobre obówie, na zimno ciepła odzież.

Na zachcenia tylko baronowęj rady nie było. Jęj „sic volo” stanowiło dla prezesa prawo, którego przełamywać nie próbował nawet, wiedząc iż córkaby mu ustąpiła, lecz ustępstwo jęj sprawiłoby mu zgryzotę sumienia, któraby go na dni parę i apetytu i snu pozbawiła. Na Mont-Blanc mu się serdecznie nie chciało. Znajdowali się w Chamounix, u podnóża olbrzyma orograficznego systemu Europy. Sam widok tych piętr górskich, spinających się jedno nad drugim, trwogą go przejmował. Wobec jednak zachcenia córki nie pozostawało mu nic innego, jak rezy-

gnacją się przejąć i odwagę sobie nakazać. Chodziło mu o to jedynie, ażeby jaknajlepsze i jaknajdokładniejsze powziąć informacje. Udał się więc do księgarni miejscowej i, zaopatrzywszy się w niej w przewodniki, opisy, sprawozdania, plany i rysunki, zaniósł to wszystko do córki.

— Masz oto — rzekł i westchnął z piersi głębi.

Baronowa szybko przerzucać i przepatrywać poczęła, to przebiegając oczami w książkach i broszurach, składających wycieczkową literaturę, po wiérszy kilka, to znów zatrzymując dłużej nieco wzrok na mapkach, przedstawiających nagromadzenie wyżyn, pokrytych lodem i śniegiem. Śród lodów i śniegów wykropkowane linie w zyg-zaki idące oznaczały ścieżki. Młoda kobiéta śledziła je uważnie, z uśmiechem na ustach, i odgadywać się starała rozkosze, jakie na nią czekały. Zkolei przeglądając się jęła rysunki: jeden, drugi, trzeci. Na trzecim zatrzymała uwagę dłużej nieco; twarz jęj sposepniała nagle, w oczach odmalował się wyraz nadziei zawiedzionęj. Cisnęła rysunek z niechęcią i rzekła:

— Nie, na Mont-Blanc nie pójdę.

— Nie pójdziesz? — odezwał się prezes drżącym od radosnego wzruszenia głosem.

— Nie, ojczulku, nie. O — na rysunek wskazała.

Prezes nie zrozumiał przyczyny tęg naglęj w postanowieniu zmiany. Prawdę powiedziawszy,

zrozumieć się onęj nawet nie starał, przypuszczając prosty kaprys, który w tym wypadku, ponieważ mu dogadzał, wydał mu się zupełnie usprawiedliwionym i wielce racjonalnym. Na rysunek spojrział zaledwie.

A przecież rysunek ów baronową zraził. Wyobrażał on turystkę w chwili, kiedy przebywała przepaść po pełniacęj funkcją kładki drabinie. Przewodnicy zgrupowali się po kilku na jednym i drugim przepaści brzegu i każdy z nich trzymał ręką za postronek, przewiązujący wpasie turystkę, która znajdowała się na środku rzuconęj horyzontalnie drabiny, stojąc na szczeblach nogami i trzymając się takowych rękami. Zawieszoną być w powietrzu, pomiędzy niebem a niewidomęm dnem przepaści. Czy można sobie wyobrazić coś poetyczniejszego? Poetyczność ta atoli, o ile poetyczną być mogła na niewidziane, o tyle traciła przez odwzorowanie jęj na rysunku, z zachowaniem realizmu w fakcie. Turystka na drabinie stała na czworaku. Dla kobiety pozycja podobna jest jedną z najmniej estetycznych. Żadna z przedstawiolek płci niewieścięj, co poczucie smaku posiada i siebie cokolwiek szanuje, za żadne świata skarby nie przybrałaby pozy tęj, tak niedogodnęj, a zarazem tak brzydkięj. Cóż dopiero baronowa nasza! Oceniała sytuacją od jednego oka rzutu. Wstręt ją przejął do głębi i zrzekła się spodzięwaných rozkoszy, mających być okupionemi taką ofiarą.

Fakt ten, acz drobny, maluje jednak dobrze heroinę naszą.

Próżna—powiécie. Hm — odpowiem — ciekawym człowieka, płci jednój lub drugiej, wolnego od tój nawskróś ludzkiej ułomności, która, jeżeli nie ogarnia duchowój istoty człowieczej całkowicie, bywa niekiedy zaczynem, dobre wydającym uczynki. Baronowa wzdrygnęła się przed stawaniem na czworaku śród wyżyn alpejskich, śród cudów przyrody, śród których ona, na drabinie, na postronku trzymana i czworonożne zwierzę udająca, psułaby ogólną piękną harmonią podobnej znieść nie mogła. Upokarzał ją jej upokorzenie zaś oznaczało rys jeden człowieka zasługujący na to, ażeby go zaznaczyć. Właściwie czyło ono, że w czysto umysłowój akcji pochłaniania piękna wogóle uważała osobę własną za część składową i domagała się dla części tój miejsca poczestnego, a przynajmniej odpowiedniego.

Pojęcia podobne wywierają wpływ przeważny na kierunek życiowy.

Chodziło o miejsce poczestne, a odpowiednie. Kwestya ta przedstawiła się wnet po zgonie barona, prezesowi zwłaszcza, zapatrującemu się na nią z punktu praktycznego. Baronowa zapatrywała się na nią inaczej, lubo i dla niej punkt praktyczny nie był tak dalece wstrętnym, ażeby go zgóry odrzucać miała. Różniła się z ojcem co do poprzedzających i otaczających takowy warunków. Miejsce poczestne i odpowiednie ro-

zumiała nie inaczej, tylko w sferze przesiąklłej pięknem, na które składać się było powinno wszystko, co się do trybu życia odnosi, wszystko, aż do szczegółów najdrobniejszych i najtajemniejszych, mających służyć jej za rodzaj piedestału, misternie wykończonego. Rzecz prosta i oczywista, że warunki podobne jeżeli nie absolutnie niemożliwemi, to niesłychanie do osiągnięcia trudnemi były w obcym świecie. Nie mogła poszukiwać ich ani w Paryżu, ani we Florencyi, ani w Wenecyi, tylko w Warszawie, na śmieciach własnych, gdzie nie było obawy, ażeby zaprezentowała się kiedy pod postacią analogiczną do postaci turystki na drabinie. Po półtorarocznej przeto wędrówce motyléj, z której tak pod względem umysłowym, jak imaginacyjnym, odniosła korzyści wielkie, zawitała do gniazda rodzinnego i niezwłocznie przystąpiła do uwicia sobie gniazdka odpowiedniego. Czynność ta odnosiła się zarówno do salonu, z którym już zaznajomiłem czytelnika, jakoteż do saloników, buduarów, gabinetów, biblioteczki i pokoju sypialnego, świecących smakiem wytwornym, elegancją i nieposzlakowaną czystością, zadającą kłam owemu dosyć międky niechętnymi nam cudzoziemcami rozprzestrzenionemu przekonaniu, jakoby w Polkach czystość była zaletą tylko zewnętrzną. Ją przenikała ona, rzecz można, na wylot, jaśniejąc tak na sprzętach i na ozdobach, jak po za niemi i pod niemi, zalecając się przytém symetria, gustem, doborem we

względzie kształtów, rozmiarów i barw. Wartość przedmiotów zależała nie od materiału, z jakiego zrobionemi były, ale od wdzięku, jaki z nich się wydzielał. Wyroby z gliny wyższe często w hierarchii estetycznej zajmowały miejsce, aniżeli wyroby ze złota. Śród nich ani domyśleć się było można, że je dobięrała, kupowała, rozstawiała, rozkładała i rozwieszała córka bankiera, niewiasta Izraela.

I uwiła sobie gniazdko cudne. I osiadła w niem. I czuła się w swoim żywiole, uzupełniając to, czego braknąć mogło, literaturą nadobną, której była czytelniczką rzeczy świadomą. Czytała i rozumiała; obcowiała z autorem, niby z równym sobie, wchodząc w istotę kreacyi, której poszukiwać należy w treści, w formie i w skojarzeniu jednej z drugą. Obok tego teatr i muzyka zajmowały ją żywo, jak wszystko inne, co się do rodzinnego miasta w znaczeniu estetycznym odnosiło. Czas miała zapełniony, tém bardziej że osoba jej była przedmiotem pragnień gorących ze strony tych, co do aspirowania o rękę jej upoważnionymi się czuli.

O! ci, choćby nie zajmowała się niczem, dawaliby jej do czynienia dużo. Bankierowicze zwłaszcza zgłaszali się do niej w liczbie niemaliej, żądni posiąść ten brylant, spoczywający na akcyach i obligacyach, tę gwiazdę, owianą obłokiem milionów, ten kwiat, wyrastający z gruntu, produkującego procenta i dywidendy. Znajdowali się

pomiędzy nimi ludzie różni: i starcy zgrzybiali, których spekulacya opierała się na tój nadziei, iż podobają się młodej wdowie jako parawany, i skończeni dandysi, którzy liczyli na prezencyą własną, i żonaci, rozwodzić się gotowi, i niepełnoletni nawet, za którymi wstawiali się rodzice, krewni lub spółnicy.

Baronowa wszakże, na jaknajwiększe wszelkich możliwych do ręki swojej pretendentów utra-
pienie, stworzyła sobie ideał człowieka, który wy-
tworzyła z pomiędzy przedmiotów imaginacyą jęj i serce zajmujących, i zaopatrzyła w warunki, nie-
mające nic wspólnego z warunkami, jakie przed-
stawiali bankierowie i bankierowicze. Ideał ów
był przedewszystkiem pięknym — pięknym atoli
w znaczeniu, którego zdefiniowanie nastęrczało
trudności nie do przełamania; owa bowiem pię-
kność idealna nie polegała na niczém, coby się
ująć i wytłumaczyć dało. Zewnętrzna, fizyczną,
miała za nic, bo nawet doznawała wstrętu bardzo
wyrażnie zaznaczonego do Apollinów i Endymio-
nów we frakach i rękawiczkach; co się zaś mo-
ralnej tyczy, ta obawą ją niemałą przejmowała,
ze względu na szlamazarność, o którą zgóry po-
dejrzywała młodzieńców cnotliwych. Przytém
cnotliwość... co to jest cnotliwość? Objaśnienia
wszelkie, jakie o pojęciu tęp dawali autorowie
których się radziła i jakie sama sobie dawała, nie
zadowalały jęj zgoła. Występek określonym jest
jaśniej; o cnotę toczą się spory, rozpoczęte jeszcze

za czasów mytologicznych i nierozstrzygnięte, od chwili wynalezienia listków winnej latorośli, po dzień dzisiejszy. Baronowa też — prawdę mówiąc — nad kwestyą tą nie zastanawiała się nader głęboko. Sądziła o niej wedle tego, co jej pod oczy podpadało: wedle okazów cnotliwości, podawanych za wzór; te zaś takie były jakieś nastrojone, sztywne i skrzywione i tyle o nich na stronie ciekawych szeptano rzeczy, że nie mógł się w niej wielki do cnotliwości wyrobić pociąg. Nie czuła do niej wstrętu — tyle tylko, miała ją nawet w poszanowaniu, lecz ani jej przez myśl nie przechodziło w szeregach jej małżonka wyglądać dla siebie.

Nastrój ten w córce sprawiał prezesowi niepokój wielki. Obawiał się jednej mianowicie rzeczy, ażeby się, broń Boże, nie wydała za aktora, za śpiewaka, za malarza lub za literata. Obawa ta zrazu bardzo była żywą. a to z powodu, że się na artyzm i na literaturę zapatrywał jako na fachowość, mającą dwie słabe strony: niepopłatność i nieherbowość. Zczasem obawa straciła nieco na sile, gdy się przekonał, że nieherbowość nie stanowi atrybucyi artystyczno literackiej nieodzownej. Dowiedział się, że karmazyny książki, że hrabiowie komedye pisują.

— A — powiedział sobie — jeżeli tak, to jest szansa niejaka, że Dola wrazie, gdyby sobie w tym fachu kogo upatrzyła, trafić może chociaż nie na hrabiego koniecznie, to przynajmniej na

szlachcica. A niech tylko trafi na szlachcica, to już jakoś tam będzie.

Dola wszakże nie trafiała ani na hrabiego, ani na szlachcica. Bujała w sferach ideału swego, z którym nie spotykała się na bruku warszawskim, nie tak przecie jałowym, ażeby się nie pojawiały na nim ideały, takie lub inne, stosownie do popytu.

ROZDZIAŁ VII.

Wrażenie.

Aż losy sprowadziły Adama.

Ujrzała postać jego, wraz z usłyszeniem przyłożonej do postaci tej kwalifikacyi: zbawca.

Zaintrygowało ją to wielce. Wpatrzyła się w Adama, jak się wpatrywać zwykła w przedmiot sztuki i, gdy jój z oczów znikł, zwróciła się do ojca z zapytaniem:

— Cóż-to za zbawca?

Prezes opowiedział jój w krótkości rzecz całą, którą, gdy do domu przyjechali, opowiadać musiał jeszcze poraz drugi i trzeci. Baronowa rozpytywała o szczegóły — chciała poznać najdrobniejsze i dlatego nie poprzestała na opowiadaniu ojcowskiem. Posłała do Kozubka służącego z biletem wizytowym, na którym dopisała ołówkiem: „Będziemy się widzieli w teatrze.” Kozubek stawił się na wezwanie, zasiadł z nią w łoży i przez cały akt pierwszy opowiadał jój o Jeżu,

rzucającym się pod koło lokomotywy, najeżdżającą na prezesa. Redaktor Gońca nadwiślańskiego trzymał opowiadanie swoje w tonie umiarkowanym, nie mógł wszakże zataić wielkiego niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował prezes, i równegoż, na jakie się naraził Adam.

— Odwaga niesłychana, szalona odwaga! — rzekła baronowa, w konkluzji do opowieści pana Kozubka.

— Tak, zapewne — odparł tenże.

— Nadzwyczajna.

— Nadzwyczajna nie — zaprotestował. — Nadzwyczajność byłaby cudownością, a cuda w wieku naszym?...

— Pan je przecie w Gońcu uznajesz i wyznajesz.

— W Gońcu, pani baronowo — odrzekł z przyciskiem znaczącym.

— Dla czytelników łaskawych — dodała młoda kobieta z przekazem.

Słowa te wymówione zostały w chwili, gdy, po skończeniu pierwszego aktu, kurtyna spadła. Rozmowę przerwał szmer, jaki w sali teatralnej powstał. W krzesłach panowie odwracali się w celu lornetowania łóż; w łóżach panie przybięrały pozy żołnierzy broń prezentujących. Do łóż baronowej weszło wizyt kilka. Rozmowa toczyła się o wypadku. Unoszono się nad łaskawością niebios, które tak wyraźnie zaopiekowa-

ły się drogiem prezesa życiem, i winszowano córce tak szczęśliwego obrotu rzeczy.

— Przyznać jednak należy — ktoś się odezwał — zuchwalstwo ogromne temu, co prezesa uratował.

— Prawda, panie?—odrzekła baronowa.

— Radbym oglądać zuchwalca tego.

— Nic łatwiejszego — odrzekł pan Kozubek, przez binokle patrząc—widzę go.

— Gdzie? gdzie?—zapytało osób kilka.

Baronowa zwróciła binokle swoje na krzesła parterowe i, wodząc niemi przez chwilkę, zatrzymała je w punkcie, w którym przed szklami ukazała się postać Adama. Uwagę jej postać ta pochłoneła tak dalece, że nie słyszała ani tego co przy niej, ani tego co do niej mówiono. Wyrazy obijały się jej o uszy, nie sprawiając na organie słuchu wrażenia najmniejszego. Brzmienia przesuwwały się poślizgiem, a to dlatego, że się oddała całkiem takiemu postaci Adama studyowaniu, jakiemu się oddaje miłośnik malarstwa, wobec zaleconego przez opinią publiczną obrazu. Badała rysunek i wyraz i, co się pierwszego tyczy, znajdowała w nim poprawność, trzymaną w granicach realizmu. Człowiek ani piękny, ani brzydki, nie atleta i nie mizerek. Co się wyrazu tyczy, we względzie tym zachodzi trudność niejaka, pochodząca od polaryzacyi szkieł, otaczających przedmiot pewnym rodzajem ramek tęczowych. Trudność ta jednak tém bardziej ba-

ronową do studyowania pobudzała. Wpatrywała się, postrzegając i ze spostrzeżeń sprawę sobie zdawała.

„Zamyślony, zdaje się. Ręce na piersiach skrzyżował; czy to efektacya, czy téż mimowolne złożenie rąk, spowodowane tém, że nie może z nich lepszego zrobić użytku? W ręce prawej binokle trzyma: dlaczegoż nie używa ich? Gołóm po łóżach prowadzi okiem: zapewne wzrok ma dobry. O, w tę stronę spojrzenie zwraca; gdy mnie wypatrzy — nastawiła się dla wyraźniejszego osoby własnej pokazania — gdy mnie wypatrzy, zatrzyma na mnie wzrok.”

Zdumilo ją, że spojrzenie Adama osobę jej ledwie musnęło. Do podobnego lekceważenia przyzwyczajoną nie była. Dotknęło ją to, niby obelga — od ocz binokle odjęła, zwróciła się do żurnalowego jakiegoś kawalera, co za krzesłem jej coś szczebiotał i, mowę mu przerywając, odezwała się:

— O nie... miała we włosach różę nie bengalską, ale herbacianą.

— Pani—odparł zagadnięty, pochylając się ku niej.

— Zauważyłam dobrze.

— Zauważyła pani? co?

— Że księżna Iza miała różę herbacianą we włosach, nie zaś, jak pan twierdzisz, bengalską.

— Ja twierdzę?—odrzekł elegant zdziwiony—
o księżnie Izie?://rcin.org.pl

— Wszak o niej była mowa.

— O niej?

— Ach! przepraszam. Była o niej mowa, ale nie z panem.

— Pani roztargniona. Ja mówiłem...

Powtarzał co mówił, lecz go baronowa nie słuchała. Znów binokle i uwagę na parterowe zwróciła krzesło, na to krzesło, które zajmował Adam. Znów go studyowała, pomimo że zajął postawę siedzącą; lecz, ponieważ krzesło jego było jednem z bocznych, łoża zaś baronowej znajdowała się w stronie przeciwległej, więc oblicze jego przedstawiało się w półprofilu i nadawało się do studyowania wcale dobrze. Baronowa, przypatrując się uważnie, badała wyraz. O wyraz jej chodziło. Chciała snadź wedle inego urobić sobie pojęcie o duszy. Skierowała wzrok na oczy, które widziała zukosa, i podchwytywała w nich przesuwające się niekiedy połyski.

„Zajmuje go sztuka — mówiła sama do siebie, widząc wzrok jego na scenę zwrócony — albo ma w niej zamiłowanie, tak jak ja, albo też jest to natura dziewicza jeszcze, garnąca się do tego co błyszczący i dzwoni.”

Nie był to jeszcze wyraz ów, o który jej chodziło.

Adam przyłożył do oczów binokle. Na scenie znajdowała się Modrzejewska.

Baronowa poczuła coś naksztalt zawiści. Uczucie to przyszło mimowolnie, a pochodziło zape-

wne ztąd, że człowiek, co ją zainteresował, zwrócił uwagę na inną, nie zaś na nią, czyli że nie odczuł interesu, jaki sam wzbudził. To także uważać można jako świadectwo próżności. Była to próżność w rzeczy samej, przywiązana do natury niewiasty wielkoświatowej. Przywykła do zwracania osobą swoją uwagi i do odbierania hołdów ze strony tych, co jej zgoła nie obchodzili, uczyła się w miłości własnej dotkniętą, gdy ominęła ją uwaga tego, co ją zajął. Zachmurzyło się jej w duszy. Chwilka atoli zastanowienia chmurę tę rozproszyła, wprowadzając na miejsce onęj nieokreślone jakieś pragnienie, które, nie będąc właściwie pożądaniem zawrócenia Adamowi głowy, pozostawało jednak w nader blizkiem z pożądaniem pokrewieństwie.

„Poczekaj tylko — szepnął jej w duchu głos tajemny — zobaczysz i przekonasz się, gdy porównasz.”

Szept ten odnosił się z jednej strony do Adama, z drugiej do Modrzejewskiej, postawionej obok baronowej.

Nie były to jednak myśli pięknej wdowy, te słowa które powyżej przytoczyłem. Były to tylko cienia jej myśli — cienia, które się lekko i niewyraźnie po głowie młodej kobiety snuły, przybierając postać dalekich mgławic.

I studyowała dalej.

Po drugim akcie Adam zwrócił się frontem znowu; znowu ręce na piersiach skrzyżował i przy-

brał wogóle poprzednią postawę. Tym razem baronowa dostrzegła to, czego nie dostrzegła poprzednio, a mianowicie że przedmiot jęj badań patrzy, nie widząc. Wzrok Adama błędził, w próżni niby. Łoże, zapełnione pięknym Warszawy światem, nie istniały dla niego; nie istniały tęż dla niego ściany sali teatralnej, oświecone kandelabrami i pająkami. Spoglądał gdzieś w dal. Obejmował zmysłem patrzenia szerokie jakieś horyzonty—i, rzecz naturalna, dzięki obejmowaniu temu, w oczach jego malował się wyraz, któryby nazwać można powagą zadumy. Wyraz ów uderzył baronową, nadawał się bowiem do obrazu.

„A—rzekła do siebie — pan ten, zbawca, figurowaćby mógł na piérwszym planie, na malowidle rodzajowém. Figurowaćby mógł tak jak jest, w tęj odzieży, w tęj postawie. Każdy, coby na postać tę okiem rzucił, powiedziałby: „zadumany” i zapytał: „nad czém?”

O to właśnie zapytywała i baronowa. Jako przedmiot przeto, nasz Adam czynił zadość warunkom sztuki, a to tębardziej, że w zadumaniu jego przebijał się spokój iście estetyczny. Było w nim cóś, co zdaleka przypominało wyraz, jaki Fidyasze starożytni nadawali posągom bohaterów, półbożków i bogów. Wyraz ten—powtarzam—przypominał się zdaleka, w przezroczu niby; nie neutralizowała go nowoczesność akcesoryów, sporządzonych przez krawca; dawał się widzieć mimo wszystko — czy wszystkim atoli?

Dostrzegła go baronowa przy końcu aktu ostatniego, w chwili, kiedy oblicze Adama widziała w profilu, i odkrycie to sprawiło jęj zadowolenie takie, jakby była matematykiem i rozwiązała zadanie bardzo zawikłane.

„Mam go, mam wyraz — śpiewało jęj w duszy.

Wyraz ten kto wie, czy nie stworzyła go sama? Być może. Przywidzenie jęj atoli, jeżeli się jęj w rzeczy samęj przywidywało, płynęło z naturalnych i czysto ludzkich pobudek i opierało się na podstawach takich, że, rzecz psychicznie biorąc, prawdą dla nięj nie być nie mogło. Odkryła w Adamie wyraz olympijski.

Nie dziwimy się jęj, znając bohatera naszego i porównywując go z bohaterami licznych romanśów, jakie się w oczach naszych, w tym wieku realistycznym, materyalistycznym i pozytywistycznym, klęcą codziennie, dostarczając dziennikom obfitego materyału do rozmaitości; każdy z romanśów onych posiada, rzecz prosta, bohaterkę i bohatera. O bohaterkach nie mówię, o młodzieńskich zwłaszcza, lecających niby motyle w ogień i opalających sobie skrzydełka w tym ogniu, który ani świeci, ani grzeje. W takich niepalących się ogniach ileż-to zginęło motyli o skrzydełkach jasnych! Bohaterami romanśów bywają najczęściej gamonie takie, że pozał się Boże! Owóz bohater nasz, jeżeli nie miał w sobie wyrazu olympijskiego, zasługującego na uznanie powszechne, to dalekim był od tego, ażeby wyglądał na gamo-

nia—przeciwnie: przypatrzwszy się mu dobrze, odkrywało się w nim wyraz nie boski wprawdzie, ale czysty spokojem sumienia, swobodą myśli i nieulekłością, nawskróś jednak ludzki, wyraz w którym była przejrzystość, pozwalająca widzieć dno duszy, tak jak lazururowe wody Lemanu pozwalają widzieć dno jeziora.

Baronową odkrycie to w najwyższym zadowoliło stopniu. Nastąpiło ono, jak rzekłem wyżej, pod koniec sztuki i wprawiło ją w humor dobry. Zwróciła się do pana Kozubka i wachlarzem nań skinęła.

— Co pani rozkaże?—zapytał.

— Zbięra mnie ochota drażnić pana.

— Proszę! I cóż tę ochotę sprowadza?

— Widok tego pana, tam... w krzesłach.

— Więc ja za panów w krzesłach mam odpowiadać?

— Mówiłeś z nim pan?

— Z kim?

— Z Jeżem?

Pan Kozubek spojrział na baronową wzrokiem wyrażającym zapytanie.

— Spojrzenie pańskie wyraża?—rzekła.

— Zdziwienie—odpowiedział.

— Z powodu?

— Zgwałcenia przez panią formy.

— Ach!—zawołała—powinna była wyrazić się: z panem Jeżem. Przepraszam i zapytuję: czyś pan mówił z panem Jeżem?

— Spędziłem z nim na rozmowie godzinę całą.

— I cóż?

— Hm. Mówiliśmy o...

— Nie pytam o treść rozmowy, nie obchodzi mnie to — przerwała z niecierpliwości akcentem.

— Ja-bo odgadnąć nie mogę, o co właściwie pani baronowej idzie.

Odpowiedź ta bardziej jeszcze zniecierpliwiła młodą kobietę. Odwróciła się, popatrzyła przez chwilę na scenę i, nie odrzekłszy, wybierać się poczęła z teatru. Nastąpiło to na minut parę przed ostatecznym kurtyny zapadnięciem. Po łóżach ruszano się już i baronowa nie jedna z najpierwszych teatr opuściła.

Nie możemy zataić tego, że nasz Adam wywarł na niej jedno z tych wrażeń, które, rodząc się nagle, nie znikają w jednej chwili. Wrażenia wszelkie rodzą się nagle. Na to, ażeby się one urobiły, nie potrzeba czasu długiego. Odbywa się to w ten mniejwięcej sposób, w jaki działają na nas obrazy w galeryi malowideł. Przechodzimy, oglądamy i zatrzymujemy się nagle, uderzeni szczegółem, który się nam niepospolitym wydał. Czémże są ludzie, przesuwający się przed oczami naszymi, jeżeli nie galeryą obrazów żywych? Tyśiące przechodzi i nie — aż pojedyncza jakaś osobistość zatrzymuje niespodzianie uwagę naszą na sobie. Zkąd się to wzięło? Psychologowie tłumaczą to zjawisko zapomocą sympatyi, która sama jest zagadką, będąc faktem o tyle pozy-

tywnym, że jest, że się powtarza, że postrzeżeniom podlega, że zatém istnienia jój zaprzeczyć niesposób. Fakt ten zmanifestował się za pośrednictwem baronowój, w odniesieniu do której naturalność onego, że ją tak nazwiemy, powszednią, wsparła silnie podnieta, tkwiąca w wypadku, który się na kolei zdarzył i w którym Adam odegrał rolę, bądźcobądź, bohaterską. Podnieta nie na tém polegała iż uratował życie prezesowi, ojcu baronowój, ale na tém, że się na niebezpieczeństwo naraził. Okoliczność ta, że wchodził tu prezes, pełniła funkcyą zapalnika, zapomocą której roznieca się ognisko. Gdyby uratowanym został kto inny, nie prezes, zmieniłoby to rzecz o tyle jeno, iżby utrudniło zejście się baronowój z Adamem i możeby wypadek bez następstw pozostał. Tak atoli jak się stało, działały naraz dwie podniety, moralna i faktyczna, które oddziaływując jedna na drugą, urabiały i potęgowały wrażenie, jakie osobistość Adama wywierała na baronowój.

Wrażenie to okazało się silném.

Baronowa, za powrotem do domu, poczuła potrzebę samotności. Służba, we względzie tym, wnet stosowne otrzymała rozkazy.

— Nie puszczać nikogo, z wyjątkiem pana prezesa.

Rozebrała się i położyła, sen atoli długo uciekał od jój powiek. Zasnęła późno, obudziła się wcześniej, nie wstawiała jednak z łóżka, co zaniepokoiło trochę prezesa, przyzwyczajonego do to-

warzystwa jej przy herbacie, którą razem pijali rano. Zażądał widzenia się z nią.

— Co tobie? czyś chora?—zapytał, wchodząc.

— Nie, ojezulku. Zachciało się mi poleżeć i leżeć.

— A—prezes na to—wola twoja.

— Spodziewałam się odwiedzin twoich, ojezulku.

— Powiedz raczej, żeś ich pewną była. Jakżebym ja nie odwiedził ciebie!

— Czy masz zamiar zaprosić kogo na śniadanie lub na obiad?—zapytała.

— Wyraźnego zamiaru nie mam, ale gdyby się kto trafił.

— Kto... na przykład?

— Ano, chociażby ów Jeź. Wypada, bo gdyby nie on... A ma przekazy na mnie. Gdyby przeto trafił się...

— Owóż tak—podechwyciła—jeżeli się trafi on, to wyjdę do stołu; jeżeliby zaś trafił się kto inny, nie wyjdę.

— A jeżeli się nie trafi nikt?

— To wyjdę także—odrzekła z uśmiechem.

— Jesteś więc niewidzialną. Czy nadługo?

— Ach! nie wiem. To zależy. W chwili téj widzialność przykrośćby mi sprawiała.

— Z wyjątkiem pana Jeża — wtrącił prezes z żartobliwym półprzekąsem.

— Naturalnie—odrzekła baronowa przeciągle, patrząc ojcu w oczy z rozkosznym uśmiechem.

— Tego jednak — zaczął prezes sentencyonalnie—że on mi życie uratował, nie bierz do serca zbyt gorąco. On sam sobie żadnej nie przyznaje zasługi; powiada że to się stało instynktownie, że rzucił się pod koła lokomotywy dla tój samej przyczyny, dla której kot rzuca się na mysz, że jest to sprawa nerwów.

— Tak on powiada? — rzekła baronowa nawpół do siebie.

— No tak, i mnie się zdaje że ma racją.

— Może. Nerwy? hm? Dowodziłoby to, że zachodzi pomiędzy nerwami w człowieku a kolo-rytem u malarza i muzyka analogia pewna. A więc—dodała głos podnosząc—c'est conve-nu, ojczulku. Widzialna jestem dla pana Jeża, dla nikogo więcéj.

Prezes, w zwyczajach którego nie było sprzeci-wiać się córce w rzeczach ważnych, nie sprzeci-wiał się i w drobnostce takiéj. Na odchodnem zapytał:

— W łóżku jednak nie pozostaniesz dziś przez dzień cały?

— O! nie. Wstaję niebawem.

Jakoż, po odejściu ojca, opuściła wnet pościel i, przywoławszy pannę służącą, rozpoczęła owe czynność codzienną, ubieraniem się zwaną, sta-nowiącą dla kobiety światowój zadanie wagi ogromnéj.

Mam-że opisywać tę czynność? Czybym potra-fił? Nie wiem—nie próbowałem się jeszcze w tym

względzie i próbować się nie będę, a to głównie dla jednéj racyi, która się dziwną nieco może wyda komu. Gdyby baronowa sztucznych jakich do toalety swojej używała środków, opisywałbym je z gustem. W sztuczności tego rodzaju jest coś narkotycznego, co drażni i autora i czytelnika, pobudzając do pisania i czytania. Stanowi to podniecie w swoim rodzaju. Gdy przeto podniety owój brak, czy warto opisywać? I co na przykład?— jak wyglądała przed zwierciadłem w negliżu; jak, gdy jęj fryzyerka warkocze rozplotła, okryła się włosami kruczemi, niby płaszczem; jak powoli, stopniowo, postać jęj zmieniała kształty i barwy, co wdzięków jęj nie podnosiło bynajmniej, zdaniem bowiem mojem piękniejszą była w rozebraniu, a niżeli w ubraniu — do twarzy jęj bardzięj było w bogato haftami okrytęj, cieniuchnej, śnieżystęj, żadnego z zagubów jęj ciała niewykradającęj bieliźnie, aniżeli w sukni modnęj, stawiającęj ją narówni z pospolitemi elegantkami. Szkoda. Cóż jednak!—rady na to niema. Moda włada despotycznie. Ulegać jęj muszą takie nawet chimeryczki, jak baronowa nasza, która mogła o nią nie dbać wcale. Dbala wszakże, jak się zdaje, z prostego nawyku, dzięki któremu nie wyobrażała sobie, ażeby mogła nie stroić się modnie i nie trawić codziennie godzin dwóch najmnięj na „robieniu toalety.” Z tém się żyła, tak się wychowała — zresztą nie przywiązywała do tego wagi takiej, jak te białogłowy, które w stroju poszu-

kiwać muszą wdzięków. Ona poszukiwała w nim nie wdzięków, ale harmonii, i umiała znaleźć taką we wszystkim, co na siebie kładła.

Dnia onego, w którym bohater nasz po Warszawie się uwijał, baronowa przy toalecie okazywała niecierpliwość, wprawiającą służebnice jej w zdziwienie. Znajdowała że fryzyerka czesze ją zadługo; panna, specjalność której odnosiła się do modniarstwa, ściągnęła gniew jej na siebie z powodu tuniki, niedosyć szybko upinanej; inna znów panna dopuściła się przewiny jakiejś przy sznurowaniu trzewików. Słowem, dla służebnic sądnym był dzień ów; z podziwieniem spoglądały jedna na drugą i poza plecami baronowej ramionami ścisnęły. Skończyło się jednak dla nich utrapienie. Baronowa ubrała się rychlej niż zwykle i do salonu wyszła.

Wyszła z pośpiechem, jakby jej na tém zależało, ażeby czasu nie tracić.

I o cóż chodziło?

W salonie, jak skoro próg przestąpiła, zrobiła minę taką, jakby doznała zawodu w oczekiwaniu — jakby spodziewała się zastać kogoś i nie zastała. Oglądnęła się dokoła, okiem powiodła po meblach, po obrazach, po frankach, postąpiła kroków kilka i zatrzymała się, nasłuchując niby. W apartamencie panowała cisza, maćcona tylko turkotem powozów przejeżdżających ulicą i gwarem głuchym, dochodzącym z miasta. Kiedy niekiedy odezwał się okrzyk jakiś — okrzyk piaska-

rza na przykład. Baronowa nasłuchiwała. Trwało to chwil kilka, po upływie których przeszła się wzdłuż salonu, przystanąła na moment, znów ruszyła i, zbliżywszy się do okna, wyglądała przez takowe czas jakiś na ulicę. Odstąpiła jednak od okna niebawem i zaśmiała się wgłos.

Powód śmiechu tego pozostałby zapewne dla niej saméj nazawsze tajemnicą, gdyby nie następujący monolog, który wygłosiła, ku otomanie idąc:

„Brakuje mi tylko w ręku stokrotki do obrywania listka po listku i mówienia kolejno: przyjdzie, nie przyjdzie... Ojciec jednak mówił, że przyjść musi, że przyjść powinien, posiada przekaz na bank. Przyjdzie więc, ale... do kantoru.”

Pośpiesznie do kominka się zbliżyła i nacisnęła palcem stojący na takowym dzwonek. Głos srebrzysty odezwał się i przywołał lokaja, który zjawił się we drzwiach, wyprostowany stanął i zapytał:

— Co jaśnie pani rozkaże?

— Czy pan prezes nie wyszedł, ani wyjechał nigdzie?

— Nie wiem, proszę jaśnie pani.

— Pójdź-że się dowiedz i, jeżeli jest w biurze, powiedz że go proszę do siebie na chwilkę.

— Słucham — odpowiedział lokaj, znikając.

„Do kantoru przyjdzie, przekaz zrealizuje i nie powróci więcej — powiedziała sama do siebie.

Po powiedzeniu tém niebawem słyszeć się dało chrząkanie prezesa, który też wnet wkroczył.

— Co mi pani moja do rozkazania ma? — zapytał uprzejmie.

— Przeszkodziłam ci, ojczulku drogi — była jej odpowiedź, z rozkoszném wyrzeczoną przymileniem. — Nie gniewaj się na mnie. Przebacz Doli swojej, która niekiedy okropne miéwa kłopoty...

— Na Boga! kłopoty? Co mówisz?

— O tak — odparła, minę seryo nastrajając — okropne.

— Przerażasz mnie. I cóż to takiego?

— Wyobraź sobie... ów Jeż... wszak tak nazywa się twój zbawca? ów Jeż ubliżył mi w sposób bardzo dotkliwy.

— Ubliżył? — wielkiego zdumienia tonem zapytał prezes — jak? kiedy? Czyżeś z nim się gdzie zesła?

— Spędziłam z nim wczoraj wieczór cały... w teatrze.

— Odwiedzał cię w łoży? Mówił z tobą?

— Właśnie też nie. Ani mnie odwiedzał, ani zemną mówił, ani nawet spojrział na mnie, jakbym nie istniała weale, jakby to miejsce, którem zajmowała, było próżnią.

— O — wtrącił prezes, tonem udanego przejęcia się sprawą — proszę!

— A co! Owóż ukarać go chcę. Chcę go zmusić, ażeby w oczy mi popatrzył. Do tego potrze-

buje pomocy twojej, ojezulku kochany. Czy gotów jesteś udzielić mi takowej?

— Najchętniej, jeżeli to tylko mocy mojej nie przechodzi.

— Urządź tak, ażeby on pieniądze za przekaz wziął nie z rąk kasyera, ale z twoich i... i... zatrzymaj go, chociażby przemocą.

Prezes się uśmiechnął i tonem łagodnym odrzekł:

— Będzie uczynioném, jak życzysz sobie, tylko—tu tonowi mowy akcent prośby nadał—ubliżenia, jakie ci Jeź wyrządził, nie bierz do serca żywo. Nie wiemy jeszcze, co to za jeden.

— Ja wiem!—podechwyciła.

— Wiiesz? zkąd?

— Wiem, ojezulku drogi. Przejrzałam go na wylot. Jest-to... jest-to... człowiek!

W wyraz ostatni włożyła akcent, taką powagą i pewnością nabrzmiały, że prezes nic na to do odpowiedzenia nie znalazł. Wzruszył tylko ramionami, zapewnił córkę że Jeża zatrzymać potrafi i do biura powrócił.

Baronowa resztę dnia tego i połowę następującego spędziła na wyczekiwaniu, które byłoby się jej dłużyło wielce, gdyby się nie zajęła porządowaniem sprzętów, salony jej zapelniających. Tyczyło się to przedmiotów sztuki. Przystawiała je ustawicznie, grupowała tak i inaczej i przypatrywała się efektowi, co miało taką minę, jakby się we względzie tym do egzaminu przysposabiała.

ROZDZIAŁ VIII.

Los Hrynenek.

I dopięła swego — ukarała Adama: zmusiła go, że jęj w oczy spojrział. Prezes przytrzymał go, nie potrzebując, jak wiemy, uciekać się we względzie tym do przemocy najmniejszej. Bohatér nasz dobrowolnie, bez przymusu, z przyjemnością nawet poszedł na karę — naraził się na niebezpieczeństwo, które bodaj czy większém nie było, aniżeli tamto na kolei.

Niebezpieczeństwo! — z czytelników niejeden ze zdumieniem zawołać gotów. Kobiéta piękna, młoda, bogata, starannie wychowana, wysoce wykształcona: któżby się z chęcią nie naraził na niebezpieczeństwo podobne?

To zależy. Na świecie wszystko jest względném. Niebezpieczeństwo... na czém właściwie polega pojęcie onego? — czy nie na utracie czegoś, co jest albo bardzo ważném, albo bardzo drogiém,

albo i ważn^{ym} i drogi^m? W sposób ten przedstawia się umysłowi naszemu pojęcie wyrazu „niebezpieczeństwo.” W niebezpieczeństwie przeto tkwi zagrożenie, mogące się zarówno odnosić tak do przedmiotów fizycznych, jakimi są: życie, zdrowie, majątek i t. p., jakoteż do moralnych, na przykład sumienie, rozum, uczucie i t. p. Co i czy co z tego wszystkiego zagrożon^{ym} być mogło w Adamie, przez sam fakt wejścia jego w sferę uroków bijących od baronow^{ej}? nie umiemy jeszcze na pytanie to odpowiedzieć z całą rzeczyświadością, a to dla t^{ej} przyczyny, że bohatera naszego znamy dopi^{er}o z widzenia.

Co to za jeden?

Wkrótkości zapytanie to zbywając, odpowiedziećbym mógł: syn Stanisława, synowiec Jana, wnuk Ksawerego, niegdys^z Hrynenek właściciela. Byłoby to wskazówką prawie dostateczną dla tych, co przypominają sobie opisywane przed laty w „Historii o pra-pra-pra-wnuku” stosunki i wypadki, dotyczące się t^{ej} rodu Jeżów gałęzi, dla któr^{ej} Hrynenki gniazdem były. Czy wielu jednak przypomina to sobie? Jak opowiadania, tak opisy z pamięci ulatują; całe zaś nowe czytelników pokolenie, które wciągu ostatniej ćwierci wieku narodziło się i wyrosło, ani wi^e o nicz^{ym}. Tak więc dla pokolenia tego, jak dla tych, co pozapominali, skrócić wypada w krótkości szczegóły, z których jedne będą przypomnieniem, inne wskażą sytuację ze strony całkowicie now^{ej}.

Ksawery (pan chorąży) umarł; Jan się zaprzepaścił, Stanisław — z nim nie powiodło się chorążemu dlatego, że obrał sobie drogę żywota nie taką, na jakiej ojciec widzieć go pragnął. Rzeczy to dawne, odnoszące się do czwartego dziesięciolecia wieku naszego. Stanisław był grubo od Jana starszy; kiedy ten ostatni na świat przyszedł, wówczas tamten odbył już kampanię turecką (1828—29) i schedę, jaka nań przypadła, dostał za życia ojca w gotówce, nie opuszczając szeregów wojskowych. Stosunki pomiędzy rodziną a nim zerwały się zupełnie. Zrazu pisywał do ciotki, panny Ewy, rodzonej pana Ksawerego siostry, która przy bracie mieszkając, synowcom matkę zastępowała; lecz i ta korespondencya czasem ustała i Stanisław znalazł się w położeniu człowieka, niemającego za sobą nic, przed sobą zaś drogę karyery, idącą wdał. Szedł nią. Szczęściło mu się. W wojsku awansował, dosłużył się stopnia sztabs-oficerskiego i pojął żonę na Litwie, gdzie z pułkiem przez zimę jedną konsystował. Ożenionemu poczęły się rodzić dzieci, z którymi niewygodnie było przerzucać się z miejsca na miejsce. Pomyślał o ustaleniu pobytu, postarał się o służbę cywilną, wziął z wojska dymisyą i osiadł w mieście, gdzie pełnił funkcją, odpowiednią randze jaką piastował. I na téj drodze szczęście mu sprzyjało. Karyera jego nie rozwijała się wprawdzie świetnie, lecz nie narażała go na przykrości żadne; awans szedł porząd-

kiem przepisany, nagrody honorowe nie omijały, pensya podnosiła się stopniowo i życie uregulowało się nakształt chronometru. General — stopień bowiem ojca Adamowego generalskiemu odpowiadał — o jednej zawsze godzinie szedł spać, o jednej wstawał; dzień spędzał częścią w biurze, częścią w domu, częścią w klubie, na grze w wista, który stał się dlań potrzebą życiową. Domem, urządzonym zasobnie, zawiadywała generałowa, przeciętna Litwinka, gospodarna i gościnna, umiejająca się do położenia stosować i pamiętna na to, że „Litwa jest jak zdrowie.” Nie zapominała ona o niczém, o czém się dowiedziała panną jeszcze, w domu rodzicielskim, i udzielała się dzieciom, których jój Pan Bóg dał troje: dwie córki i syna. W odniesieniu do dzieci była wszystkiém: i matką i ojcem. General nie mieszał się zgola ani nawet do syna; pozostawił dzieci wyłącznie na opiece matki. Więc ta wychowywała je i edukacyą ich kierowała, od pieluch aż do chwili, w której na ludzi powyrastały. Karmiła je chlebem i słowem.

W zachowywaniu się generała względem rodziny własnej to na szczególną zasługiwało uwagę, że nigdy słówkiem jedném nie wspominał jój ani o młodości swojej, ani też o stosunkach z krewnymi najbliższymi, jakimi byli rodzony ojciec i rodzony brat. Dzieci więc nie wiedziały ani o dziadzie, ani o stryju, nie wiedziały nic o Hrynenkach, ani o niczém co się odnosiło do takowych. Pokrewieństwo ze strony ojcowskiej nie istniało

dla nich; istniało tylko ze strony matki, która im przy sposobności każdój opowiadała o rodzicach swoich, o braciach i siostrach rodzonych, o stryjach i wujach, o ciotkach, o stryjecznych i wujecznych, bliższych i dalszych powinowatych, i opowiadaniem temi przenosiła je na litewski grunt, do szlacheckiego dworu, pomiędzy ludzi tamtejszych, do atmosfery odmiennej. Nie czyniła ona tego z naciskiem szczególnym, ale odniechcenia niby. Opowiadania jej wszakże nie przemijały bez śladu. W umyśle dziecinne wpadały ziarenka i z ziarenek tych wyrastały rojenia, a z rojeń kierunki, popędy pewne, które się objawiły naprzód w córkach, gdy na te, starsze od brata, przyszła pora zamaż iść. Panny posażne — kłopotu z nimi nie było: kawalerowie zgłaszali się i, odpalani, odchodzili, aż trafił się rotmistrz od huzarów, posiadacz wioski w powiecie telszańskim. Ten przyjęty został; wziął żonę i dymisy i na gospodarstwie osiadł. Za przykładem siostry jednej, poszła druga, co przyszło jej z łatwością wielką: pojechała do siostry starszej na chrzciny i znalazła sobie kawalera, któremu się podobała, który się jej podobał i z którym koniec końcem na ślubnym stanęła kobiercu. Dwie przeto Jeżanki uszczęśliwiły dwóch Telszanian i zamieszkały w sąsiedztwie, wśród jezior i jeziorzek, w okolicy rybniej, grzybniej, produkującej zboże, konopie i len i zbywającej płody swoje w Połędzie.

Wesele Jeżanki starszój odbyło się w domu rodziców panny młoděj; wesele młodszėj w domu siostry starszėj. Generałowa wielką miała ochotę być obecną na ślubie drugiej córki, lecz poprzestać musiała na przesłaniu jėj błogosławieństwa listownie. Do zjechań na ślub przeszkodę najpierwszą, chociaż nie najważniejszą, stanowiła odległość. Ważniejsza polegała na zdrowiu generała, które od czasu jakiegoś poczęło szwankować, budząc obawy mniejwięcej uzasadnione i czyniąc konieczną obecność generałowej przy mężu. Z powodu obaw onych i Adam, który właśnie rozpoczął studia uniwersyteckie, nie mógł obecnym być na weselu siostry. Nie przeszkodziło to jednak weselu. Ojca zastępował szwagier, matkę siostra starsza; družbów i družek dostarczyła okolica w ilości większej, niż potrzeba wymagała; gości zjechało się huk; odbyło się wszystko w porządku należytych i, kiedy weselna przeminęła wrzawa, dwie Jeżanki, czyli Jeżówny, osiadły w Telszańszczyźnie na gniazdach, w charakterze matek dwóch rodów litewskich, zasiliwszy rody te posagami, jakie im bank w gotówce wypłacił.

Na punkcie posagów zaszło było pomiędzy generałem a generałową nieporozumienie, ale zdziwienie, ale coś, co na nieporozumienie zakrawało, a w zdziwienie się odziało. Zdziwienie to było jednostronném, opanowało bowiem generałową tylko, która, znając wysokość kwoty złożonej przez męża w banku i wiedząc, a raczej

domyślając się, że kwota owa pójsć ma pomiędzy dzieci w podział na trzy części równe, zdumiała się, gdy przy wypłacie posagu córkom, podział okazał się innym. W banku dla syna pozostała część dziewiąta.

— Krzywda!—zawołała.

Generał uśmiechnął się.

— Krzywda!—powtórzyła. — Tak się nie godzi. Niech nie będą pokrzywdzone córki, ale dlaczegoż pokrzywdzonym ma być syn?

Generał głową zlekka pokiwał.

— Stanisławie, na to pozwolić nie mogę.

— Jak ci się podoba.

— Ja matka. Mam prawo i powinność o syna się upomnieć.

— Ano... widzisz, stało się.

— Kocham córki, jednak niemniej kocham i syna.

— O tém nie wątpię.

— Dlaczegoż go krzywdzisz tak dotkliwie?

— Słyszałaś—odparł generał z akcentem zapytania tonem półzartobliwym—o Krzywoustym, co to, dzieląc kraj pomiędzy pięciu synów, wyznaczył części dla czterech, piątemu zaś nie dał nic, mówiąc że mu się i tak dostanie wszystko?

— Czyżbyś miał liczyć na to, że posagi, któreś wydzielił córkom, dostaną się Adamowi? — zapytała generałowa tonem niepewnym.

Niepewność tonu pochodziła ztąd, że w chwili tej w głowie jej błysnęła myśl, nabrzmiała posądzeniem męża o lekkie na umyśle pomieszanie. Przypomniała się jego w odniesieniu do dzieci obojętność, niedopuszczająca faworyzowania jednych kosztem drugich. Wiedział zaledwie, że jest ojcem. Daleko więcej interesował się wistem wieczornym w klubie, w którym regularnie w dniu każdym spędzał godzin parę, aniżeli dziećmi. Zkąd-że to nagłe przechylenie się na stronę córek? Czy nastąpiło to dla tej przyczyny, że się wydały z pod dachu rodzicielskiego? Ale i Adam także w oddaleniu się znajdował. Myśli te zaniepokoiły generałową w stopniu wysokim i to sprawiły, że, pomimo iż fakt nierównego podziału majątku rozdrażnił ją, potrafiła nad rozdrażnieniem zapanować. Zamilkła na chwilkę, odkalsznięta razy parę i odezwała się:

— Chcesz zapewne, ażeby Adam sam na siebie zapracował?

— A — generał na to. — Byłoby to pięknie, ale... on się obejdzie bez tego. Jeżeliby zaś pracować zechciał, to... niech pracuje. Zaszkozić mu to nie zaszkodzi, a co się pomocy tyczy, hm... praca bodaj rozrywkę przyniesie, jeżeli dla rozrywki nie będzie wolał czego innego. Zależy to zupełnie od gustu jego.

— Więcbyś życzył sobie, żeby do służby wstąpił? — przerwała generałowa.

— Wcale nie — odpowiedział flegmatycznie.

— To i jakże?—ofuknęła się.—Dziewiąta część majątku, rubli tysięcy parę z czémś; nawet nie będzie miał rąk zaczepić o co!

— Będzie miał... ho — odparł, dłoń podnosząc dogóry.—Powiadam ci: Bolesław Krzywousty, dzieląc pomiędzy synów kraj...

— Siostry obedrze chyba—przerwała kobieta, niecierpliwością tonem.

— Obejmie Hrynenki—rzekł generał.

— Jak? zkąd? jakim prawem?

— Prawem spadku.

Generałowa, zdziwiona, szeroko otwartymi oczami w męża się wpatrzyła. Rzecz zrazu nie do uwierzenia sięj jej wydała, powoli wszakże sprawa się wyjaśniła. Majątek, po zaprzepaszczeniu się Jana, bez właściciela pozostał tak lata całe. Rządziła nim i administrowała panna Ewa w imieniu i na rachunek synowca. Działo się to *bona fide*. Nie było znikąd skarg, zażaleń ani protestacyj żadnych; powinności skarbowe, jakie na majątku ciążyły, nie doznawały zwłoki, ani mitregi najmniejszej: nie wglądano przeto w położenie, podstawy prawnej pozbawione. Stan ten atoli trwać nie mógł długo. Zaszło zdarzenie jakieś, w którym właściciel majątku powinien był we własnej stanąć osobie i pokazało się, że właściciel ów nie istnieje. Władza zarządziła dochodzenie, rezultat którego w ten wyraził się sposób, że majątek przyznany został najbliższemu w linii prostej spadkobiercy, to jest generałowi Sta-

niślawowi Jeżowi. O rezultacie tym poszło do generała zawiadomienie urzędowe i ten przyjął je do wiadomości, nie czyniąc kroków żadnych w celu objęcia Hrynenek w posiadanie faktyczne. Nie powiedział nawet o tém ani żonie, ani dzieciom. Ztąd poszło, że postać rzeczy na gruncie nie zmieniła się zgoła. Panna Ewa zarządzała i administrowała nadal, pomimo że majątek uważał się urzędownie za własność nie Jana już, lecz Stanisława. Staruszka nie wiedziała o tém.

Zaszła w punkcie tym osobliwość jedna, na za-
karbowanie zasługująca.

Panna Ewa nie wiedziała o zmianie urzędowej.

Jak się to stać mogło?

Stało się to za wolą Stanisława i na wyraźne jego żądanie.

Skoro tylko zawiadomienie go doszło, natychmiast pocztą odwrotną napisał do kogo należało, ażeby ciotki nie turbowano w niczém.

„Niech rzeczy pozostaną jak są, aż do przybycia mego.”

Taką była treść rozporządzenia jego.

O przybywaniu jednak do Hrynenek ani myślał.

Dokumenty, dotyczące się prawa własności, spoczywały w biurku, obok innych dokumentów. Generał nie interesował się tém napozór. Pełnił, jak zwykle, biurową swoją czynność, wracał do domu na obiad, po obiedzie spoczywał, następnie szedł do klubu, zgrywał robrów ilość zwyczajną, kładł się spać, wstawał i nikt ani się domyślał,

że w majątkowej jego sytuacji zaszła zmiana tak znaczna. Ukrywał się z nią.

Ukrywanie faktu podobnego wobec swoich zalicyć tylko można na karb fantazyi. Tak mu się podobało. Podobało mu się także ludziom się nie chwalić. Fantazyja tego rodzaju da się wytłumaczyć i zrozumieć. Co atoli do zrozumienia jest trudnym, to niekorzystanie z majątku, nieużywanie fortuny, która mu się prawnie dostała. Cóż to znaczyć mogło? Generałowa, dowiedziawszy się o spadku, wnet zapytała:

— I kiedyż to nastąpiło?

— A, lat już kilka temu.

— Co mówisz, Stanisławie! jakże?

— No... tak. Nastąpiło to lat kilka temu.

— Majątek w dzierżawie zapewne?

— Wcale nie.

— W zastawie przeto? zadłużony?

— Długu ani grosika.

— Pozostaje więc od lat kilku na łasce ludzkiej?...

Ton, jakim ostatnie te zapytanie wygłoszonym zostało, był tego rodzaju, że służył jako przezroczyta osłona wszelkich najgorszych przypuszczeń i posądzeń, które w jednym streszczają się wyrazie: złodziejstwo. Złodziejstwo przedstawiło się wnet generałowej w całej rozciągłości swojej. Okiem ducha ujrzała dzieło zniszczenia, dokonywane w rozmiarach jaknajobszérniejszych, i dzie-

ło to dotykało dobra jęj syna. A! gniew ją srogi przejął.

— Stanisławie!—wybuchnęła —toć przecie tak się nie godzi.

— Co?—zapytał generał obojętnie.

— Tak nie dbać o dobro dziecka rodzonego.

— Ha—odparł generał, ramionami ruszając.

— Trzebaż do Hrynenek pojechać.

— O!—podchwycił—ja tam nie pojedę.

— Więc mogę pojechać ja?

— Ani ty... Jak długo żyję, niech rzeczy pozostaną jak są; po mojęj zaś śmierci Adam postąpi sobie, jak mu się będzie podobało.

Wyrzekł to tak stanowczo, że generałowa zawołać tylko mogła:

— A toć to dziwactwo!

— Dziwactwo... hm... Niech i tak będzie. Do dziwactwa tego dołączę jeszcze życzenie jedno, to jest ażebyś o tém Adamowi nie wspominała ani słowa.

— I dlaczego?—zapytała z przekąsem niejakiem.

— Wszak on się uczy?

— Od lat trzech już przecie jest na uniwersytecie.

— Niech więc sobie głowy rzeczami ubocznymi nie zaprzęta.

— Jemuby to nie przeszkodziło—wtrąciła generałowa rozdaśana.

— Ale czyby pomogło?

Generałowa nie miała co odpowiedzieć na to.

— W tém grunt — rzekł generał. — To co nie pomaga, zaszkodzić może, a zatém niech się sobie Adam uczy, po mojej zaś śmierci dostanie się mu wszystko, czego nie dałem córkom, i on z tém wszystkiém robi, co mu się spodoba.

— Jeżeli mu się dostaną ruiny — spróbowała generałowa jeszcze — to co on z tém pocznie?

— Co pocznie? to co się z ruinami? pocznyna zawsze: użyje ich jako materiału surowego i postawi z nich nowy budynek.

Generałowa ramionami wzruszyła.

Nie chciała ona mężowi za wygraną dać, w pewnych więc czasu odstępach po razy kilka wznawiała przedmiot rozmowy powyższej i spotykała ze strony generała jednakowy zawsze upór we względzie wstępu do wglądania w sprawy majątku, co się mu w spadku po ojcu, a raczej po bracie dostał. Uporu tego żadne przełamać nie mogły perswazye. Że nie chciał samjechać, to się tłumaczyło: ocieżał, przyzwyczał się do poważnego życia trybu, uregulowanego jak zegarek; zdrowie mu zresztą nie dopisywało. Że na odbycie podróży tej żonie nie zezwalał, to także do zrozumienia było: obawiał się narażać ją na trudy drogi bardzo dalekiej, a niewygodnej. Że atoli nie chciał nawet dowiadywać się, zapytując kogo listownie, to się już pojąć nie dawało. We względzie tym upór jego wydawał się generałowej czémś więcej, aniżeli dziwactwem. Posądzała w duchu męża o pomieszanie zmysłów na

tym punkcie i z tego powodu powzięła zamiar działania poza plecami jego. Cóż jednak? Powzięcie zamiaru przyszło jej z łatwością, w wykonaniu atoli onego natknęła się na trudności nie do przełamania. Napisać chciała: do kogo wszakże? dokąd? Wiedziała że Hrynenki leżą gdzieś w guberniach zachodnich, gdzieś pomiędzy Kijowem, Kamieńcem a Łuckiem, i tyle. Dalej nie sięgała świadomość jej co do położenia geograficznego wsi, w której mąż jej na świat przyszedł. Jakiż, na podstawie tej, adres na liście napisać miała? Następnie na przestrzeni tej pomiędzy Kijowem, Łuckiem a Kamieńcem żywej duszy znajomej nie miała. Zamiar przeto spełznąć musiał na niczém, ustępując miejsca ustawicznemu niepokojowi, wyrażającemu się zapomocą wyglądania osób, przybywających z gubernij zachodnich. Stało się to w poczciwej generałowej istną manią. Skoro tylko nową jakąś osobistość spotkała, wnet do niej zwracała się z zapytaniem:

— Nie przyjeżdżasz pan (lub pani) z gubernij zachodnich?

Zdarzali się tacy, co przybywali ztamtąd w rzeczy samej.

— Ano—podchwytywała natychmiast—to panu znanemi być muszą Hrynenki. Powiedz-że mi co o nich.

Najczęściej w ten sposób zaczepiony nie umiał żadnego dać objaśnienia. Trafiały się atoli i nieporozumienia. Jednemu, na przykład, z zapyta-

nych, pewnemu Sergiuszowi Iwanowiczowi przesyłało się; wziął Hrynenki za Hrybenki i podał o miejscowości téj kilka szczegółów, pomiędzy którymi najbardziej podniósł ten, że tam co niewiasta, to piękność.

— Nie widziałem nigdzie nic podobnego — mówił.

— A gospodarstwo?—generałowa na to.

— Jakie gospodarstwo?—odrzekł zaczepiony.

— Zauważyłeś pan ład, czy nieład?

— To jest... nie zauważyłem ja innego nic, tylko co się która pokaże, to choć maluj. Co za oczy! co za lica! co za postawy! W oczach mi się ćmiło, w głowie powstał nieład. Jechałem w pilnym bardzo skarbowym interesie, ale zagapiłem się i o małym nie naraził interesu na szwank. I teraz jeszcze, gdy przypomnę sobie te dziewczęta i te młodyce, ha! czuję wnet, jak krew rozgrzewa się we mnie.

— Ale jak tam idzie gospodarstwo? czy orzą? czy sieją? czy zbierają?

— Chyba że ani orzą, ani sieją, ani zbierają, a tylko gapią się wszyscy na dziewczęta i na młodyce, które...

— Czyś bawił pan w Hrynenkach długo?—przerwała generałowa zniecierpliwiona.

Sergiusz Iwanowicz, biorąc zawsze Hrynenki za Hrybenki, odpowiedział:

— Godzin ze trzy. Jechałem pocztą, przeprzęgano mi tam konie.

— Więc to na pocztowym trakcie?

— Jużci.

— W którym mianowicie miejscu?

Zapytany jął przypominać sobie i taką wkońcu dał informacją:

— Na drodze z Białejcerkwi do Kijowa, w wasylkowskim, jeżeli się nie mylę, powiecie.

— Jest tam stacya pocztowa?

— Jest, a jakże. Przeprzęgano mi tam konie i podczas kiedy mi je przeprzęgano, chciałem sobie rozprostować kości i zagapiłem się.

Generałowa pomyślała sobie:

„Jest tam stacya pocztowa, a zatém jest i pocztmistrz. A gdybym téż do pocztmistrza napisała?”

Napisała, zaadresowawszy w sposób następujący: „W gubernii kijowskiej, w powiecie wasylkowskim, na drodze z Białejcerkwi do Kijowa, we wsi Hrynenki.”

Na odpowiedź czekała długo, aż wreszcie otrzymała takową: na kopercie listu własnego. Zarząd pocztowy kijowski uwiadomił ją, że w powiecie wasylkowskim, na drodze z Białejcerkwi do Kijowa, miejscowość nosząca nazwę Hrynenki nie znajduje się.

Odpowiedź ta odjęła jęj ochotę działania poza plecami męża. Czekala z przymusową cierpliwością na rozstrzygnięcie téj dziwnéj sprawy, czekała lat trzy z okładem i doczekała się rozstrzygnięcia, ale nie sprawy.

Sprawa ta trapiła ją srodze. Nie mogła, jak to powiadają, rady sobie dać. Co się uspokoiła trochę, to za lada okazyą stawało jej w oczach rozdrapywanie fortuny syna i wnet gorączkowy opanowywał ją niepokój. Gnięwała ją szczególnie absolutna, niczém niezachwiana obojętność męża, który wiedzieć o niczém nie chciał i niechcienia tego racyi nie dawał. Przez pryzmat gniewu zapatrując się na towarzysza życia swego, odkrywała w nim przywary, których dawniej nie widziała. Wydał się jej niedołągą skończonym, myślącym jeno o żołądku i wygodach. We względzie tym nie myliła się zresztą. Generał w rzeczy samój o nic nie troszczył się bardziej, jak o to, ażeby na stole jego panował porządek regulaminowy, wymagający pojawiania się w dniach pewnych pewnych ściśle przepisanych potraw. W piątek na przykład musiał mieć bliny z kawio-rem, w niedzielę barszcz zabielały z rurą i kołduny, we środę kaczkę pieczoną z buraczkami i t. p. Generałowa wielkiej doznawała przyjemności, że nie powiemy rozkoszy, w dogadzaniu mu w tym względzie. Od czasu atoli, gdy jej Hrynenki w oczach stanęły, regulaminowość stołowa męża przedstawiać się jej poczęła ze strony złej i coraz to gorszej, obok niej zaś i inne jego nawyki podobnemuż uległy losowi. Że atoli nawyki odnosiły się do osobistości, więc i ta ostatnia, niegdyś taka piękna, jasna, posągowa, spadała stopniowo z pierwotnego piedestału, na którym

w oczach jęj stała, aż spadła do znaczenia flejtucha.

Biedną kobietę rozpacz ogarnęła.

Nastąpiła chwila, w której pożałowała tego, że losy swoje w takie powierzyła ręce.

„Nielepiej-żeby mi było nie znać go, nie widzieć nigdy!” powiedziała sobie.

Martwiła się i gryzła.

Zmartwienia i zgryzoty trawiły ją i strawiły.

Zachorowała i umarła.

W chwilę śmierci znajdował się przy niej syn. Generał był w klubie. Dano mu znać że żona konająca. Poszedł do domu i zastał ją już martwą.

— Skonała—rzekł do Adama, który płakał.— Skonała... Cóż robić?..

Poszedł do sali jadalnej, spożył wieczerzę i poszedł do łóżka, nie prędzej i nie później, jak dnia każdego. Pogrzeb nawet nie naruszył regularności trybu życia, jaki pędził. Przez dni kilka tylko powtarzał kiedy niekiedy:

— Umarła... hm...

Powtarzał wyraz ten coraz to rzadziej, wkońcu powtarzać go zaprzestał i zdawało się, że zapominał o żonie, z którą przeżył lat czterdzieści bez mała.

ROZDZIAŁ IX.

Rojenia młodociane.

Powszechném było przekonanie, że generał uprzedzi generałową w wymarszu na świat tamten. Ona taka była zdrowa; on zaś zapadał niekiedy i wyglądał wcale nieobiecująco, pomimo że obléwał go tłuszcz, powstały z karmienia się sumiennego. Jadał dobrze, dużo i wedle reguł, przepisywanych dla tuczenia istot z rodzaju ssących, to jest jadał, ale ruchu sobie odmawiał, pędząc żywot siedzący. Siedział w biurze, siedział w klubie, siedział w domu. Przenoszenie się z jednego miejsca na drugie nie stanowiło agitacyi, albowiem biuro, klub i dom znajdowały się tuż obok siebie. Nie fatygował się więc zbyt. Z tego powodu ociężał, policzki mu obwisły, cerę miał blado-żółtawą, wyglądał niby opuchły i jakby ustawicznie zaspany.

Po śmierci żony w trybie życia jego ta tylko zaszła zmiana, że przy stole miejsce generałowej

zajął Adam, który, gość przedtém w domu, osiadł przy ojcu stale. Uczynił to na wyraźne ojca żądanie.

— Zostań—rzekł ten ostatni, po pogrzebie generałowej w dni parę — jeżeli ci wszystko jedno mieszkać tu, lub gdzieindziej.

Adamowi wszystko było jedno.

Z nim ta działa się osobliwość, że ci, co zboku nań patrzyli, powiadali jednogłośnie: „Próżnuje;” ci zaś co zblizka go znali, oddawali mu świadectwo gorliwego pracowania. To i jakże—próżnował i pracował zarazem? W rzeczy samój było coś podobnego. Próżnował w tym sensie, że nie torował sobie karyery; pracował w tém znaczeniu, że poszukiwał wiadomości, gromadził je i w umyśle szykował. Do poszukiwań służyły mu środki i sposoby rozmaite: książki, postrzeżenia, rozmyślania, doświadczenia. Nie uciekał się do nich w pewien zgóry obmyślony sposób; brał to, co mu się nastrecało samo, co, że się tak wyrazimy, na podoręczu znalazł. Wyobraźmy sobie człowieka, krocącego pociemku, z ręką naprzód wyciągniętą. W ten sposób kroczył Adam, pomimo, a raczej dlatego może właśnie, że uniwersytet skończył. Otaczały go ciemności, usiłował wydostać się na jaśnię i drogi znaleźć nie mógł.

Osobliwe też z nim działały się rzeczy.

Pierwszemi, jak wiemy, krokami jego na drodze wychowawczej kierowała matka. Pod okiem

jój wyrastał od pieluch, od niej najpięrszą otrzymał naukę:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego amen. Przeżegnaj się, Adasiu... sam... tylko sam.

Chłopus żegnał się, a widząc jak się matka modliła, klękał i rączęta składał. Nauczył się od niej pacierza, dalej liter na alfabecie, sprowadzonym z Wilna, następnie czytania. W pisanie wprowadził go Wileńczyk pewien, który zabłąkał się przypadkiem do miasta, gdzie przemieszkiwał generał z rodziną. Wileńczyk ów przez lat kilka rzędu pozostawał przy chłopaku, w charakterze domowego nauczyciela naprzód, korepetytora następnie, udzielając mu, obok nauki urzędowej, programami szkolnemi przepisanej, naukę, że się tak wyrażę, podaniową, polegającą na relacjach o tém, co czytał, słyszał, widział i czego sam doznał. Dwie nauki te uzupełniały się wzajemnie. Chłopak lgnął do jednej i do drugiej, bardziej atoli do téj ostatniej, co pochodziło ztąd zapewne, że Wileńczyk, nie będąc pedagogiem z rzemiosła, przedmioty programowe wykladał sucho, podaniowe zaś ożywiać umiał akcentowaniem z serca idącym. Generała nie obchodziło to zgoła, generałowa zaś pomagała improwizowanemu nauczycielowi pośrednio, zawsze potakując, niekiedy zaś, gdy syn powtórzył jój usłyszane opowiadanie słuchając takowego ze łzami w oczach. W ten sposób chłopca otaczała atmosfera moralna, przyniesiona niejako zdaleka, a odmienna od téj, któ-

ra na miejscu znajdował. Wyróżniał się też wśród towarzyszy szkolnych. Bywał zamyślony, roz-targniony, w inne aniżeli oni wpatrywał się hory-zonty. W wyższych klasach gimnazyum miej-scowego ściągnął na siebie podejrzenie, jakoby więrsze pisał. Podejrzenie to jednak słusznem nie było. Nie pisał on więrszy, tylko był jakby nabrzmiały poezją, nadającą mu powagę nad wiek, a zwracającą umysł jego ku celom wyra-źnym, które w głębinach duszy chował i piasto-wał, niby skarby jakie.

W nastroju takim ducha gimnazyum skończył i do uniwersytetu wstąpił. Ważny to jest wo-góle dla młodzieńca moment. Uniwersytet, to już jeden z owych szczeblów wyższych, na których głowa się niekiedy zawraca i świat wydaje się nakształt doliny u nóg się ścielącój. Młody czło-wiek, przekraczając próg wszechnicy, uważa się za rodzaj wybrańca, mającego prawo przez ramię na tłumy spoglądać. Zazwyczaj w momencie tym spływają nań rady i przestrogi rodziców, wskazujących niebezpieczeństwa, zachęcających do wytrwałości i zaklinających o umiarkowanie. Nie zbrakło na takowych i Adamowi naszemu, ale ze strony matki tylko, która, we względzie tym, okazała się niezupełnie kompetentną. Gene-rałowa nie pojmowała istotnych zadań nauki. Uniwersytet, w mniemaniu jęj, był to rodzaj no-wicyatu, ułatwiającego karierę służbową. Cho-dziło jęj o to, ażeby Adam nauki skończył i dy-

plom dostał, dlatego że do dyplomu uniwersyteckiego przywiązane są prerogatywy pewne, odnoszące się do kierunku w świecie. Wypuszczając go z pod bezpośredniej opieki swojej, oddawała go pod opiekę własnej jego ambicyi. Ukazywała ona w perspektywie przyszłość świetną.

— Będziesz służył — mówiła — i dosłużysz się. Bierz przykład z ojca twego, który, od najniższych zacząwszy stopni, doszedł wysoko i byłby doszedł wyżej jeszcze, gdyby rozpoczął był karierę z temi zasobami, w jakie się ty zaopatrzysz, gdy nauki odbędziesz.

Odbycie nauk wydawało się jej prologiem, bez którego w ostateczności obyćby się można, który jednak wielce jest pomocnym do zaokrąglenia dzieła.

Wydawało się jej to podobnym tém bardziej, że generał nie zgromadził majątku tak znacznego, ażeby ten przyszłość syna ubezpieczył bezwzględnie. Adam sposobić się potrzebował do pracy; lecz na pracę zapatrywała się generałowa z punktu, z którego takowa przedstawiała się jej w znaczeniu naciągnięciem trochę. Ani przypuszczała, ażeby syn jej do roboty się miał wziąć, jak pracownik zwyczajny. Ewentualność podobna do głowy jej wcale nie przychodziła. Za pracę brała ona publiczną, w zawodzie bądź wojskowym, bądź cywilnym, służbę uregulowaną nakształt zegarka, a niosącą korzyści i zaszczyty, potęgujące się latami. O tego rodzaju pracy myślała ona dla

syna. Do nięj pragnęła ażeby się usposobił. Z zapatrywaniem się na nią udzieliła mu macierzyńskich rad i przestroóg, gdy go do Kazania wyprawiała, mówiąc:

— Dziecko moje, pomnij na to: jak sobie poświęcesz, tak się wyśpisz. Wystrzegaj się złego, idź drogą cnoty, strzeż się towarzystw gorszących i oszczędzaj grosz, którego ci dostarczać nie możemy w ilości znacznej.

Przy błogosławieństwie zawiesiła mu na szyi medalik Matki Bożej Ostrobramskiej i zaleciła nie zapominać o odmawianiu rano i w wieczór pacierza.

Powiedzieć nie można, ażeby Adam nasz nie poszedł za radami matczynemi, co się tyczy kierunku ogólnego, jaki przyjął. Nie stosował się jednak do nich literalnie, zwłaszcza we względzie wystrzegania się złego. Złe wogóle posiada urok tajemniczości, zgłębienie której wydaje się niejednemu z młodych ludzi potrzebą nieodzowną. Jest to nie co innego, tylko prosta ciekawość — ciekawość poznania nieprzyjaciela, spojrzenia mu w oczy. Historia o skosztowaném przez Ewę jabłku powtarza się w nieskończoność. Ciekawość jest podniętą bardzo silną. Ulegając onęj, bohater nasz potknął się raz niejednym — przykładał do ust mętami słodkimi napełniony kielich, pociągał z onego, zachłysnął się razy kilka, lecz w brudach nie zasmakował. Nie zasma-

kował w nich dla jednej głównie racyi, wykazanie której wydaje mi się rzeczą ważną.

Racya owa tkwiła całkowicie w wiedzy, której bohater nasz był żądnym. Pożądlivość ta neutralizowała w nim zadaleko idącą ciekawość złego, pomimo że i ta ostatnia była wiedzą także, ale w sensie ujemnym, niemogącą jako taka gościć się z tamtą dodatnią. Dodatność i ujemność wykluczały się wzajemnie—kiedy przeważała jedna, cierpiała druga; że jednak pierwsza posiadała w sobie uroki, wywierające pociąg nieprzeparty, druga zatem pierwszeństwa ustąpić jej musiała. Można fakt ten wytłumaczyć inaczej, zrozumiałej, dotykalnie niemal. Zajęcia naukowe, które Adam umiłował, przeszkadzały mu rozsmakować się w życiu wietrzném, lekkim, rozpuśtném. Nie miał na to czasu, krótko mówiąc. Uwagę miał zwróconą na co innego.

Owo zaś „co innego” odbiło się na nim w sposób dwojaki: inaczej w początkach, inaczej później.

W początkach przystąpił do nauki, wedle wskazówek matczynych, jak do nowicyatu zakonu karyerowego. Nawskrós niej widział promocyą, przedstawiającą mu się jako główny cel życia, póki nie rozpoznał istotnego nauk zadania, wobec którego promocyja najświetniejsza zmalała do rozmiarów bardzo małuczkich. Podporządkowywanie jej nauki wydało się mu profanacją. Oburzył się na to.

— Nie! — z głębi duszy zawołał. — Nauka nie na to, ażeby z niej szczeble strugać. — Na cóż tedy? — zapytał sam siebie, gdy pierwotny przemiął zapał.

Zapytanie to stało się dlań ogniskiem, które długo, długo zasyczał myślami. Sylogizmował, kombinował i wahał się; zaczął kolegów, profesorów i poza uniwersytetem stojących ludzi światłych i nie umiał sobie rozwiązać zagadki, która mu w mózg zapadła. Zabrało mu to czasu niemało. Z zagadką tą w głowie pojechał na wakacje do rodziców i razu pewnego, siedząc z ojcem i z matką przy stole, rzucił ni z tego ni z owego zapytanie następujące:

— Rzecz ciekawa, na co służy nauka?

— Na co?... he, he — zaśmiał się ojciec — powiadają że na to, ażeby człek wiedział, jak mało umieć.

— Na to, ażeby być pożytecznym drugim i sobie — podchwyciła matka.

Adam na matkę ze zdziwieniem niejakiem spojrział. Nie spodziewał się z ust jej odpowiedzi podobnej, pamiętając powód, dla którego do uniwersytetu go oddała. Miało to pozór zmiany opinii, zastanowiło go więc. Odezwał się:

— Pod pożytecznością drugim i sobie rozumié mama zapewne służbę, zapomocą której człowiek do wielkiego doszedłszy znaczenia, może dobrze czynić innym, nie krzywdząc siebie.

— Służbę?—odparła generałowa.—Rzecz ściśle biorąc, niema człowieka, któryby nie służył... Któż nie służy?

— Tak, to prawda—odpowiedział Adam.—Mama jednak dawniej rzecz tę określałaś ściślej.

— Ściślej? może — odrzekła generałowa—nie pamiętam dokładnie. I dawniej jednak, gdybym o to zapytaną była, odpowiedziałabym, że na to ażeby służyć, niekoniecznie potrzeba wstępować do wojska, do sądu, albo do administracyi.

— Mama mi atoli wstąpić radzi.

— Bynajmniej. Wstępuj, jeżeli czujesz pociąg lub powołanie.

— Oho!—podchwycił Adam.—Powołania, pociągu nie czuję w sobie zgoła.

— W razie takim nie wstępuj. W społeczeństwie są inne jeszcze pola działalności, na których użyteczność okazać się może.

— Na przykład?—zapytał młody badacz.

— Chociażby, dajmy na to, ziemiaństwo.

Czytelnik domyśla się, że zmiana ta opinii zaszła u niej wskutek powzięcia świadomości o majątku, jaki drogą spadku generałowi się dostał. Adam o tem nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Tem też mocniej dziwił się nagłemu na punkcie karyery zubożeniu matki, która ze swojej strony uciekać się musiała do wszelakich dyalektycznych subtelnosci, ażeby i tajemnicy nie zdradzić i zaszła w zapatrywaniu się swoim zmianę wytłumaczyć. W tym celu odwołała się do przy-

kładu wuja swego, dawno już ze świata zesłego, niegdyś pana i dziedzica na Kukuliszkach, i jąta opowiadać o nim.

— Oto—mówiła.—twój dziad, a matki mojej brat rodzony... znakomitością nie był żadną, majątku nie posiadał wielkiego... wioska mała, wśród trzęsawisk położona, a przecie pożytecznym być umiał i sobie i drugim.

— Dusząc chłopów i karmiąc bracię szlachtę.

— Przepraszam ciebie—zaprotestowała.—Dla poddanych był ojcem... pożyteczność zaś jego polegała nie na okarmianiu gości, na których mu nie brakło i których przyjmować lubił, ale na dawaniu z siebie dobrego okolicy całej przykładu.

— Łatwo mu to było — wtrącił Adam — przy pomocy pańszczyzny.

— Zapewne, pańszczyzna stanowiła ułatwienie wielkie, dzięki któremu gospodarstwo szło samo przez się. Zato też teraz służyć okolicy za przykład jest i sztuką i zasługą większą. Potrzeba więc więcej umieć i lepiej własne rozumieć położenie. Cóż-bo to jest wieś?

— Wieś... to państwo — odrzekł Adam, odpowiadając na pytanie matczyne tak, jakby je sam sobie zadał—państwo z jednej bezpośrednio rozrosłe rodziny i służące za etnograficzny, społeczny, ekonomiczny i polityczny zarodek państwowym całokształtom. Bez wsi nie byłoby ustrojów narodowych. Wszystko ze wsi się poczyna i na wsi opiera. <http://rcin.org.pl>

— A tak—odrzekła generałowa, nie rozumiejąc dobrze wykładu syna, zaczerpniętego zapewne z dzieła jakiegoś uczonego — a no, więc widzisz, można i ze wsi pożytek ciągnąć.

— Hm—mruknął Adam, tém mruknięciem, co to oznacza zakarbowanie idei.

Jakoż to, co mu matka na myśl nasunęła, zakarbował sobie w myśli jako ideę i począł na nią łowy urządzać. Właśnie téż wpadła mu w ręce książka podróżnika pewnego, który zwiędzał kraje słowiańskie i przebywał czas niejaki w Czechach. Podróżnik ów (1) zdawał relacją ze znajomości, jaką zabrał z chłopem uczonym. Był to ni mniej ni więcej, tylko doktor filozofii, który, po ukończeniu nauk i wzięciu dyplomu, osiadł na ojcowiznie, orał, siał, zbierał, śledził za ruchem umysłowym i literackim ojczyzny swojej i zadziwiał gości rozległością wiedzy i trafnością poglądów. Chłop ten głowę bohaterowi naszemu zawrócił; stał się dla niego na czas długi wzorem, wedle którego przyszłe życie swoje układał. Na następne wakacje stanął przed matką z gotowym już planem.

— Życie na wsi ma dla mnie ponęt wiele — odezwał się do niej.

— Jest-bo ponętném w rzeczy samej — odparła.

(1) René Taillandier.

— Oto... jak skoro uniwersytet skończę, wnet się na wieś wybiorę.

— Jakże to—zapytała—czy może... ojciec?

Myślała że generał synowi tajemnicę odkrył.

— Zawadza mi to tylko, iżbym się od was nadto oddalić musiał. Gdyby nie to, nabyłbym sobie w Telszańskim gruntu morgów kilkanaście, pobudował chałupę, zaprowadził gospodarstwo i...

— Et, roi się tobie—przerwała generałowa—jeszcze czego nie stało! Byłoby to głupstwo, w rodzaju swoim pierwsze i jedyne...

— Ani pierwsze, ani jedyne—odrzucił.

I opowiedział matce relacją podróżnika o chłopie filozofie.

— Jeżeli to prawda tylko—zauważyła.—Ale przypuszczając że prawda, to nie wiész chyba, że uprawa roli wymaga sił i wprawy.

— Co do tego, są to rzeczy do nabycia. W przewidywaniu téż, że mi je nabywać przyjdzie, ćwiczę się w gimnastyce, przysposabiając zawczasu mięśnie swoje do pracy fizycznej i do wytrzymałości w trudach.

— Ależ... zastanów się... sam jesteś—reflektowała.—Gospodarstwo tego rodzaju wymaga rąk kilku i dozoru gospodyni.

— Ożenię się, rzecz prosta.

— Z kim? Którażby panna wyjść za ciebie chciała?

— Panna?—podechwycił.—Naco mi na żonę panna! Ożenię się z chłopką

— Jezus Marya! — krzyknęła generałowa.—
Żenićbyś się miał z chłopką... ty? Jeź? general-
ski syn? A toć byłoby to chyba świata skończe-
nie! Ludzieby się na ciebie patrzeć nie chcieli...
Siostry rodzone wyrzekłyby się ciebie.

— I cóż z tego że chłopka?

— Co z tego? To naprzód, iżbyś ją nieszcze-
śliwą uczynił, to następnie iżbyś unieszczęśliwił
siebie. W małżeństwie panować powinna harmo-
nia, opierająca się na jednakowości wychowania.
Chłopka nie rozumiałaby ciebie, ani ty jej.

— Zniżyłbym się do niej w tym celu, ażeby
ją podnieść do siebie i w ten sposób po nieja-
kimś czasie dostroiłbym wszystko do potrzebnej
harmonii—odrzekł Adam pół-żartem.

— Ot, nie mówmy lepiej o tém—odfuknęła ge-
nerałowa—bo mnie to gniewa, że ci pomysły po-
dobne do głowy przychodzą... Co za koncepta!
Czyby się kto, słysząc ciebie z takimi wyjeżdża-
jącego konceptami, domyślił, żeś w uniwersytecie
na kursie ostatnim?

— Mnie się zdaje, że gdybym w uniwersytecie
nie był, toby mi koncepta podobne do głowy nie
przychodziły.

— Winszuję ci. Jest-to wymówka wprost we
mnie godząca.

— W mamę? i zkad-że to?

— Ztąd, że nie kto inny, tylko ja oddałam cię
do uniwersytetu. Ojciec o tém ani myślał. Sko-
roś gimnazyum skończył, zapytywał mnie razy

parę, kiedy się w junkry oprzedzisz. Pokazuje się, że ojciec miał racya. Gdybyś był lat cztery temu do wojska wstąpił, byłbyś już dziś oficerem i nie roiłoby ci się po głowie żenić się z chłopką. W Bogu jednak nadzieja, że ta ochota odpadnie ci kiedyś... Spodziewam się tego... A zresztą...

Uśmiechnęła się. Na języku wisiały jej Hrynenki; powściągnęła się jednak.

Nie ulega wątpliwości, iżby się Adam na wsi był osiedlił i z chłopką ożenił, gdyby naprzód nie zachodziła różnica znaczna pomiędzy powzięciem zamiaru, a wykonaniem onego, i gdyby powtóre nie zachodziły warunki, czyniące to wykonanie trudnem. Warunków było trzy głównych: skończenie uniwersytetu, bezpieczeństwo i wzgląd na rodziców. Do tych dołączały się i inne jeszcze, których nie wymieniamy, a które jednak wpływały na to, że wykonanie zamiaru odłożonem być musiało na później; zostawszy zaś odłożonem, dostało się pod wpływ czasu, w którym przedmioty wszelkie, należące do świata czy to fizycznego, czy moralnego, modyfikują się, zmieniają i przeobrażają pod działaniem dojrzewania. Niektóre z nich, te zwłaszcza co w stanie zamiarów pozostają, obracają się w nic. Takich atoli stosunkowo jest mało. Zamiar wszelaki jest wynikiem takiego lub innego nastroju ducha, nastrój zaś zależy od wyobrażeń pewnych, zwanych pospolicie zasadami, będącymi owym płynem, o którym

prysłowie powiada, że gdy się nim skorupka za młodu napoi, to na starość trąci. Zasady od człowieka nie odczepiają się tak łatwo, jak się komu wydaje. Mówię, rzecz prosta, o zasadach seryo, powziętych, obmyślonych przez przetak krytyki, przesianych i ukochanych. Te stają się nałogiem moralnym, odzywającym się wówczas nawet, gdy człowiek, dzięki słabości ducha i przemocy okoliczności, zapiéra się onych. Odzywają się nakszałt wyrzutów sumienia, przesładują niby z mory, obsiadają duszę i męczą ją. Szczęśliwy, kto w życiową wędrówkę wybiera się bez zasad żadnych! Takiemu nie nie cięży. Taki posia da wolność ptasią, nieograniczoną czém inném, chyba troską o wyszukiwanie gałązki na spoczynek i ziarenek na pożywienie. Szkoła pewna, naturalistyczną zwana, upomina się o wolność tego rodzaju, przyjmując bezzasadność za zasadę. Bohater nasz jednak nie należał do adeptów tej doktryny; urabiał sobie punkt wychodni dla wędrówki życiowej i na punkcie tym gromadził zasoby, pod postacią zamiarów, nie zasad. Zresztą Adam nie odstąpił od zamiaru całkowicie; spęknienie onego odłożył tylko na później, tymczasem zaś przysposabiał osobistość własną do zajęcia stanowiska rolnika-obywatela. W tym celu rozwijał i doskonalił władze swoje cielesne i moralne, łamiąc się z trudnościami, które spotykał na miejscu. Najlepiej zamiarom jego odpowiadającym byłoby wstąpienie do szkoły jakiejś rolniczej. Po-

wziął był myśl tę, lecz odstąpić od niej musiał. Od chwili, jak siostry jego za mąż powychodziły, uszczupliły się znacznie środki pieniężne, jakich mu rodzice dostarczali, tak że zniewolonym się ujrzał ratować się udzielaniem lekcyj prywatnych. Dochody, jakie ztąd ciągnął, skromne zresztą, obracał na książki. Prostu przeto nie było za co jechać do szkoły rolniczej. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak wyobrażenie o rolnictwie formować sobie zapomocą książek. W ten sposób wytwarzał sobie pojęcia ogólne, ukazujące mu szczegóły, wymagające studyowania specjalnego. Do tych ostatnich zastosowywał metodę podwójną: doświadczalną o tyle, o ile pozwalały na to uniwersyteckie laboratoria, gabinety, zbiory i ogrody, i postrzegawczą, wmiarę jak mógł, przebywając kiedyniekiedy na wsi w okolicach Kazania, przypatrywać się jak Tatarzy ziemię uprawiają, bydło hodują i produkta rolne zbývają. Rolnictwo, samo przez się niejako, przedstawiło się mu jako nauka, jako praktyka i jako przemysł—i zajęło go mocno.

Niech to nikogo nie dziwi. Czyż Litwin ów, co go czytać uczył i w pisanie wprowadził, a przytém dawał mu relacye o tém co czytał, słyszał i widział, nie zwrócił uwagi jego na rolę? Czyż matka opowiadaniem o wuju, dzieźciu Kukuliszek, nie nastroiła wyobraźni jego na nutę rolniczą? Przypuścić zresztą godzi się powołanie, ów w duszy szepł tajemniczy, podpowiadający czło-

wiekowi temu to, owemu owo, i prowadzący ludzi za rękę niejako, drogą najbardziej usposobieniu ich odpowiednią, najbardziej zamiłowaniom dogadzającą.

Dlaczego nasz Adam nie rwał się na żołnierza, księdza, inżyniera, lekarza?... Dla racji bardzo prostej: nie miał do tych życia zawodów powołania — powołania, które, pomijając relacye Litwina i opowiadania matki, obudzić się w nim mogło prawem dziedziczności, po dziadku, pradziadku, po prapradziadku. Wszyscy w linii prostej przodkowie jego, od protoplasty zaczynając, a jednego tylko ojca wyjmując, rolnictwem się trudnili. Wobec prawa tego, które nauka nowoczesna odkryła i stwierdziła jako fakt pozytywny a naturalny, relacya Litwina i opowiadania matki odegrały rolę zapalnika, pod palne podłożone materiały. Dzięki zapalce tej, obudziło się w Adamie powołanie naturalne, które, kto wie, ażali nie byłoby się obudziło i bez niej.

Ostatnie to przypuszczenie wielce jest prawdopodobnem. Bohatér nasz zastanawiał się nad stosunkiem jednostki człowieczej do społeczeństwa i drogą rozumowania doszedł do prawa pożyteczności wzajemnej, do reguły udzielania się ekonomicznego, opartego na równowadze pomiędzy tém co jest wkładem, a tém co stanowi zysk. Możliwość zastosowania prawa tego przedstawia się najprościej w najelementarniejszej formie uspoecznienia ludzkiego, jakim jest zbiorowisko lu-

dzi, trudniących się rolnictwem. Około roli zgromadzili się najpierwotniejsi przodkowie nasi. Myśl przeto Adama mogła, i bez pomocy zapalek żadnych, zwrócić się do niej, budząc powołanie, które nań spadło prawem dziedziczości naturalnej, po tym Kuźmie Jeżu, co się z Lisowskim przyjaźnił.

Tak tedy Adam nasz, w owioniętej jeszcze mgłą przyszłości, postawił przed sobą wytyczną i ku niej zdaleka się kierował.

Skończył uniwersytet, wziął dyplom, Kazania jednak nie opuszczał. Potrzebował jeszcze uzupełnić wiadomości, jakie powziął na fakultecie, na który uczęszczał. Mógł to czynić, mając dochody zapewnione. Dawał lekcye prywatne, czytał, notował, w laboratorium doświadczenia robił i wybrawszy sobie na różnych wydziałach, na prawnym, na medycznym, na fizycznym, przedmioty, znajomość których potrzebną mu się wydawała do świadomego, a należytego pełnienia obowiązków obywatelskich, słuchał takowych. Śród pracy tej, która pracą była nielada, przyświecała mu w perspektywie... chałupa. Przy wyrazie tym z czytelników niejeden rozjaśni fizyognomią uśmiechem ironicznym. Wygląda-bo ona w naszym pozytywistycznym i realistycznym wieku jak coś ultra-poetycznego i ultra-idealnego, coś niby sielanka, wzięta ze świata nigdy nie bywałego. Z tego wytłumaczę się tak. Naprzód chałupa owa istnieje dopiero w perspektywie da-

lekiiej, w zamiarze, który może do skutku nie przyjdzie nigdy; powtóre, biorąc ją nawet jako zamiar seryo, to dla młodzieńca, nieczującego w sobie powołania ani do wojskowości, ani do inżynieryi, ani do medycyny, ani do prawa, ani do sukienki kapłańskiej, ani do rzemiosła żadnego rękodzielnego, ani téż do ożenienia z panną posażną — dla młodzieńca takiego chałupa owa była jedynym pozytywnym realizmem, jakiego z czystym sumieniem chwycić się mógł. I cóżby miał poczynać innego? Gdyby dziwaczna fantazyja ojcowska nie zasłoniła była przed nim Hrynenek, miałyby w perspektywie majątek ziemski, któryby mu służył jako punkt oparcia w jego planach na przyszłość. Nie mając atoli w perspektywie majątku ziemskiego, punkt oparcia umieścić nie w żadnym zamku na lodzie, lecz w gospodarstwie rolném, którego nabycie i zaprowadzenie znajdowało się w ścisłym ze stanem kieszeni jego stosunku. Poezya wobec kieszeni skrzydła składa, idealizm lot zniża. Czy chałupa owa, gdyby do niej przyszło, byłaby się utrzymała—to kwestya inna. Gdyby mnie kto w kwestyi téj zapytał, odpowiedziałbym: „Nie wiem.” Zaznaczyłem chałupę dlatego jedynie, ażeby wykazać drogę psychiczną, jaką przechodził bohater nasz, podążając naprzód w pochodzie życiowym.

Chałupa!... Komuż z ludzi młodych, pracujących myślą i wyobraźnią, a kierujących się pobudkami szlachetnymi, nie roilo się coś podobne-

go? W rojeniach tego rodzaju poetyczna onych strona nie jest ujmą żadną, nadając im owszem wdzięk młodociany, którego by bez niej nie miały. Zresztą poezya czyż nie jest faktem pozytywnym, wkluczonym w naturę człowieczą?

ROZDZIAŁ X.

C h a ł u p k a.

Poetyczność bohatera naszego wyraża się pod postacią chałupy wieśniaczej, położonej w powiecie telszańskim, a więc daleko, daleko, tak od Kazania, jakoteż od miejsca, w którym przebywali rodzice jego. Szczegół ten notuję, jako jedną z ważniejszych trudności, przeszkadzających mu do urzeczywistnienia zamiarów, jakie w myślach jego pokutowały. Gdyby nie chodziło o powiat telszański, rzecz byłaby o wiele łatwiejszą. Gdyby zamiast nad Minią albo nad Bartawą, toczącymi wody swoje do Bałtyku, chciał się nad Kamą lub Wietługą osiedlić, rzecz dokonałby się mogła z dziś na jutro. Ale ciągnęło go tam, na zachód—co? Co mianowicie wywiérało nań tę siłę przyciągającą? Siostry zapewne. Może. A może też dziwactwo, pokrewne temu, skutkiem którego generał w tajemnicy chował fakt spadku majątkowego. Nie będziemy jednak wchodzić

w tajemnicze pobudki, któremi się kierował, a natomiast opowiemy naprzód, jak chałupa owa wyglądała, następnie zaś dodamy i dowiedzimy, że nie była ona jedynym poetyczności Adama wyrazem.

Jak wyglądała chałupa owa? Dla nas, znających rzecz, jeżeli nie inaczej, to *de visu* bodaj, pytanie to jest całkowicie zbytecznym. Wiemy przecie, jak wyglądają chałupy włościańskie nad Wisłą, nad Niemnem, nad Dnieprem, na całej słowem przestrzeni, zamieszkałej przez ludy, zbliżone jedne do drugich właściwościami etnograficznymi i warunkami ekonomicznymi. Dla Adama było to rzeczą niewiadomą. Nigdy tam nie był i nie widział; z niczego przeto budowaćby musiał chałupę swoją, modelując ją chyba wedle wzorów, jakie mu się przedstawiały w izbach i jurtach tatarskich, gdyby nie to, że w Kazaniu miał sposobność spotykania się z ludźmi pochodzącymi z zachodnich prowincyj cesarstwa. Od przybyszów z tamtych stron dostawał wskazówki ustne, niekiedy sprzeczne, które uzupełniał i sprawował zapomocą wizerunków, znajdujących się pomiędzy drzeworytami pism ilustrowanych warszawskich, w ilości pewnej egzemplarzy aż do Kazania się dostających. O, jakże on pisma te błogosławił!... z jakąż niecierpliwością wyglądał poczty, wiozącej pakiet Tygodnika, dzierżącego, bądźcobądź, miejsce naczelne, i dotychczas jeszcze przez spółzawodników niezdetronizowanego! Je-

den z najpiérwszych w Kazaniu rzucał się na pisma te, szukając w nich przedewszystkiém drzeworytów, pomiędzy temi zaś wizerunków i widoków osad wiejskich. Niezawsze poszukiwania jego pomyślny wieńczył skutek. Znajdował wszakże niekiedy, chociaż, niestety, wskazówki tylko pisma bowiem nasze ilustrowane zaniedbują bogatą kopalnię etnograficzną, dotykając jój mimochodem tylko, pomimo że kopalnia ta, gdyby z niój czerpać, dostarczyłaby nietylko rysunków ciekawych w ilości nieprzebranój, ale i opisów, interesujących bezpośrednio naukę. Do niój należą miasta i wsie i wszystko co ich mieszkańców dotyczy: pomieszkania, zagrody, chlewy, szopy, wewnętrzny rozkład izb, płoty, wrota, przełazy, sprzęty domowe, naczynia, dalej odzież i stroje, następnie typy ludowe, pod względem wzrostu formacyi czaszek i wyrazu oblicza. Cóż to dla ilustracyi za bogactwo niewyczerpane, rozsypane na przestrzeni ogromnój od Bałtyku do morza Czarnego, od gór Olbrzymich do wyżyn wałdajskich!

Szczegółów tego rodzaju Adam nie znajdował, poprzestawać więc musiał bądź na widokach, mających wartość pejzażową, bądź też na reprodukeyach pałaców, zamków, ruin i kościołów, tulących przy sobie chaty włościańskie. Z tych, niby drugi Cuvier, co z jednéj kości odbudował szkielet mamuta, odbudowywał zagrodę wiejską. Studyował szczegóły najdrobniejsze i prznosił tako-

we na papier ołówkiem, znacząc starannie w rysunkach rozmaitych, do bardzo odległych nieraz części kraju się odnoszących, różnice, podobieństwa i tożsamości. W ten sposób stworzył chałupę, która była średnią proporcjonalną chałupą na Litwie, w Koronie i na Rusi. Wedle rysunku zrobił model, z zagrodą, z ogrodem, z sadem, z polem orném, z łąką, z lasem i z wodą w studni, czerpaną zapomocą żórawia. Była to chata idealna, wygodna, przestrona i warunkom higienicznym odpowiadająca, a taka przytém, iż na nią szukające piękna oko spoczęłoby z przyjemnością. Nie brakowało ani lipy na podwórku, ani bociana na dachu, obok komina, ani nawet słupa z wbitemi oddołu dogóry kołkami, służącego do suszenia. Słupa tego Adam nie wziął z rycin lecz z opisów, wspartych wskazówkami ustnemi. Model ten stał w pokoju jego na komodzie, zawsze na widoku; Adam w nim ustawicznie szczegóły różne modyfikował, poprawiał i zmieniał.

Bawił się—powieście. Ha! niech i tak będzie. Zawsze każdy to przyzna, że zabawka tego rodzaju lepszą jest, aniżeli zabawka w karty, w kieliszek i w inne rzeczy, prowadzące doświadczenie życiowe odmienną od obranej przezeń drogą.

Lecz i pod inną jeszcze postacią wyraziła się poetyczność jego.

Kazań, miasto wielkie, handlowe i przemysłowe, posiada téż życie towarzyskie, w odniesieniu do którego młody człowiek obcym zupełnie pozostawał.

stać nie mógł. Życie atoli towarzyskie kazańskie tak jest różnorodnem, jak różnorodną jest ludność tój jednéj z ważniejszych w porzeczcu Wołgi metropolij. Tatarzy, Persowie, Turkiestani, Sybiryacy, Rossyanie stykają się ze sobą tylko na polu interesów, udział w których biorą także i przybysze z zachodu dalszego: Polacy, Niemcy, Francuzi, Włosi i t. p. Poza sferą interesów mieszanina ta rozpada się i dzieli na kółka wyosobnione, ściśle w sobie zwarte. Te ostatnie wytwarza pozycya socyalna, zależna od skali urzędowego lub majątkowego znaczenia. Ztąd pełno kólek, kóleczek, i byłby genialnie zręcznym ten, ktoby potrafił tak sobą kierować, ażeby stosunk towarzyskie utrzymać zdołał w kilku kółkach naraz. Bohatér nasz ani starał się o to. Jako szlachcic z rodu, jako syn generała, miał wprawdzie prawo do występowania na salonach wysokich dostojników. Lecz prawo to zależało od stanu kieszeni. Na bywanie w salonach trzeba było i odzieży wytwornéj, i rękawiczek zawsze świeżych, i pomad, i perfum, i pojazdu i różnych innych wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych których on ponosić nie mógł. Zrzekł się więc prawa i kwestyą stosunków towarzyskich pozostawił naturalnemu biegowi, który mu nastrecał znajomości przypadkowe. Te, po większej części, były natury przemijającej i dorywczej, ograniczając się na uściśnieniu dłoni przy powitaniu, krótkiej rozmowie i długim pożegnalnym uścisku.

Odnosiły się one do przechodniów, pomiędzy którymi zdarzyło się niemało takich, co na wymienienie nazwiska Jeż wołali:

— A! znam Jeża... znam!

Tyczyło się to bądź tego Jeża, co relacją ni-niejszą spisuje, a właściwie pism jego, bądź też właściciela Hrynenek, spoczywającego pod darniną zieloną na cmentarzu wiejskim, bądź też Jana. O nieboszczyku chorążym, dziadku jego rodzonym, odzywano się, jako o obywatelu wzorowym, o Janie, jako o człowieku zdolności niepospolitych, złamanych przedwcześnie. Dodać należy, iż opinie te nie przemijały bez wpływu na kierunek wyobrażeń Adama. Uczuwał się niejako pod władzą wysterczającą z grobu prawicy i słyszał wyrazy:

— Wnuku... pamiętaj!

Z dorywezych a przemijających znajomości tych pozostawało tyle tylko. Znaczyło to niemało, nie stanowiło atoli stosunków towarzyskich, do których potrzeba było mieszkańców stałych. Tych ostatnich, do polskiej należących narodowości, znajdowała się w mieście ilość pewna, dosyć nawet znaczna, lecz w całości prawie zaabsorbowana troską życiową, włożona w koryto specjalności jakiejś, niepozwalającej od siebie uwagi odrywać. Ten był inżynierem, ów lekarzem, inny urzędnikiem, jeszcze inny w handlu lub w przemysłowym pracował zawodzie i pchał taczkę swoją, nie oglądając się w prawo, ni w lewo. Nie-

którzy z nich mieli żony i dzieci. Byli i tacy, co zdobyli sobie byt niezależny i radzi przyjmowali spółziomków u siebie. Schodzono się do nich na wieczory. Cóż jednak... Na wieczorach tego rodzaju panowała czezość, człowieka myślącego o rozpacz przyprawić mogąca. Mężczyźni zasiadali do kart, kobiety do plotek, gdy zaś płcie obie przy stole się łączyły, zawiązywała się wymiana conceptów wątpliwęj wartości, krzyżujących się nakształt strzelaniny tyralierskiej.

Adam bywał na wieczorkach takich, bywał często dosyć i znajdował względy u gospodarstwa domów, takich zwłaszcza, co mając na wydaniu córki, widzieli w nim młodzieńca pięknych nadziei, opartych na protekcyach, na jakie liczyć mógł, dzięki zajmowanemu przez ojca stanowisku; lecz nie zadziwimy nikogo, gdy powiemy, że bohaterowi naszemu zebrania te do smaku nie przypadały. Nie znajdował w nich treści, której one nie posiadały i posiadać nie mogły, ulegając wpływowi otoczenia, stanowiącego rodzaj atmosfery ciężkiej i dusznej. Mówić nie było o czém.

Towarzystwa, chorujące na brak materyi do mówienia, zmieniają się w ciała bez duszy, którą zastępować potrzeba surogatem sztucznym, zaprawianym niekiedy na ostro. Za zaprawę tego rodzaju służyła niejaka pani Brawska, kobieta w latach podeszłych, wdowa od lat kilkunastu, żyjąca z procentów, jakie pobierała od złożonego w banku kapitaliku, pozostałego po mężu, który

na przedsiębiorstwach budowlanych zebrał był sobie grosza nieco. Było tego niewiele, wdowa atoli niedostatku nie cierpiała, tém bardziej iż tak się kierować umiała, że połowa, najmniej zaś część ezwarła dochodów pozostawiała zaoszczędzoną z roku na rok. Sposób na to miała prosty: jaknajrzadziej w domu jadła; wychadzała sobie śniadania, obiady i wieczerze i tylko w ostateczności za własne kupowała je pieniądze.

Znała się z całą kolonią polską; przyjmowano ją wszędzie, umiała bowiem stać się potrzebną, jako ożywienie, którego postacią swoją, ruchami i sposobem mówienia była wcieleniem. Wzrostem niewielka, szczupła, zwinna, ubierająca się bez przesady, ale wedle mody, gdy kto, nie widząc jój z przodu, szedł za nią, kiedy ulicą przechodziła, czyniła wrażenie kobiety młodej. Zdarzały się też z tej racyi częste Lowelasom kazańskim rozczarowania. Trapił ją niejeden i, gdy w oczy zajrzał, uciekł.

Ponętą nie była; nie była jednak odrażającą. Zachowała, pomimo starości, blask w piwnych oczach, odbijających ciekawie od żółkłej cery i pomarszczonej skóry. Pochodziła z krajów, pozostających pod panowaniem rakuzkiem; czy jednak była Polką, czy też Czeszką, Morawianką, Szlązaczką lub Słowaczką, stanowiło to zagadkę, o rozwiązanie której nie chodziło nikomu. Przyjmowano ją taką, jaką się przedstawiała, to jest bezimienną pod względem narodowości, i okazy-

wano jej uprzejmość, na którą w zupełności zasługiwała, pomimo bowiem że językiem meła ustawicznie, mielenie to nie szkodziło nikomu, ze względu na to, że jak ognia wystrzegą się obmowy. Stanowiło to zaletę jej wielką i z nią, niby członko tkackie, prześlizgiwała się pomiędzy niemi osnowy stosunków towarzyskich, jakie pannaowały w Kazaniu, w łonie kolonii polskiej. Wszędzie było jej pełno — i tu, i tam i owdzie. Wieczorek żaden obejść się bez niej nie mógł; na imieninach zaś, na chrzcinach i na okazyach wszelakich dostawała się jej rola mistrzyni ceremonii, którą pełniła z zadowoleniem wszystkich razem i każdego z osobna. Do wszystkich, coram populo, przemawiała „ty,” do księdza nawet, proboszczującego przy kościele katolickim; na osobności wszakże, we cztery oczy, tytułowała każdego wedle stopnia, z nieodłącznym dodatkiem „dobrodzieju.”

— Panie sowiecniku dobrodzieju .. panie konsyliarzu dobrodzieju .. księżę proboszczu dobrodzieju.. i t. d.

Do bezrangowych przemawiała do starszych „dobrodzieju,” do młodych „kochanie.” Ten ostatni jednak wyraz oznaczał już sympatyą pewną, którą nie obdarzała pierwszego lepszego.

Adam tak był szczęśliwym, że odrazu „kochaniem” jej został.

— Ty, kochanie, pójdiesz wysoko, o! wysoko — oświadczyła mu przy pierwszej sposobności. —

Popłyniesz jak okręt, co ma żagle szerokie i wiatr pomyslny...

I interesowała się nim.

Bohater nasz, w początkach pobytu swego w dawniej stolicy chanów, posiadał dochody dostateczne, które zeszcuplały następnie. Pani Brawskiej wnet to w oko wpadło. Domyśliła się o co chodzi i nie czekała na zwierzenia z jego strony.

— Kuso koło ciebie, kochanie... A mogłoby być nie kuso, gdybyś zechciał jeno...

— Jakże to?—zapytał młody człowiek, uczuwszy nagle gorąco w twarzy.

— Ih... jak! Sposobów tyle, co liści na drzewie. Przyszłość twoja jest ewikcyą pewną, na którą zaciągać możesz śmiało pożyczki.

— A!—rzucił się Adam.

— Cha! cha!—zaśmiała się.—Wydało ci się zapewne, że mówię o pożyczkach z kieszeni do kieszeni? Gdzież tam! Mówię o kredycie, jaki ci nadaje ta okoliczność, że posiadasz plecy potężne. Plecy takie, to kapitał, kochanie. Możesz od kapitału tego pobierać procenta mniejsze lub większe, stosownie do tego, jak nim obracać potrafisz. A że procenta te rachują się na przyszłość, więc to pożyczka... pożyczka bezzwrotna. Rozumiész, kochanie?

— Rozumiem trochę, ale...

— Masz skrupuły — podchwyciła. — Skrupuły to rzecz bardzo piękna, mało użyteczna jednak, przeszkadza bowiem pomagać sobie, nie szkodząc

innym. Gdyby nie skrupuły twoje, zaprowadziła-
bym cię do Piotra Pantaleonowicza. Znasz go?—
zapytała.

— Nie—odparł Adam.

— Handlarz łojem; fabrykę ma nad Kazan-
ką... trzynaście milionów w ruchu, bogacz, ha!
Twarz rumiana, broda gęsta, jakby na wojłok
ubita; natura szeroka i słuch ostry. Słyszy jak
trawa rośnie; to dosyć!

— Cóż mi potem! — rzekł Adam, uśmiechną-
wszy się na to zobrazowanie bogacza.

— Przyprowadziłabym cię do niego i powie-
działa mu: Oto, Piotrze Pantaleonowiczu, Adam
Stanisławowicz Jeż, syn Stanisława Ksawerowi-
cza, generała. Chłopiec stateczny i rozważny, ale
kuso koło niego. Piotr Pantaleonowicz ma synka
lat ósmiu i córkę lat jedenastu. Od synka, gdybyś
się jeno zdaleka patrzył na niego, zapewniłby ci
dochód nietylko w uniwersytecie, ale na życie
całe; od córki...

— Zkąd-że od córki?—przerwał młodzieniec.

— Proszę, jakie to niewiniątko z niego! Czyż
nie wiesz że się od córek posagi daje?

— Od jedenastoletnich?

— Nie słuchałam matematyki, wiem jednak,
że dodawszy do jedenastu cztery, będzie piętna-
ście; zkądinaż znów wiem, że kupiectwo rade wy-
daje córki za stołbowych, dodając do nich
kwotę pewną. Piotr Pantaleonowicz doda z pe-
wnością milioników z pięć, jeżeli nie więcej, a to

dlatego, kochanie, że ty na generała patrzysz. Zięć generała. . . Bożeż ty mój! Handlarz łoju dałby sobie za to ucho urznąć. Dla ciebie zaś... co? Dziewczyna łojem nie cuchnie, przeciwnie, kwiatek, istny kwiatek, krew z mlékciem... Z czasem będzie tłusta, ale... co ci to szkodzi? Lepiej niech będzie tłusta, aniżeli, nie przymierzając, taka jak ja.

Adam się uśmiechnął.

— Cóż ty na to? — zapytała.

— Nic — odpowiedział. — Dziękuję pani za troskliwość o losy moje.

— Mogę więc Piotra Pantaleonowicza zdaleka przysposabiać?

— Nie, pani łaskawa, dziękuję.

— Ależ... przyznam ci się otwarcie, on już przez pół przysposobiony.

— To niech połowa ta pozostanie sama, pani łaskawa — rzekł Adam z dość wyraźnym nieukontentowania akcentem.

— I cóż ty, koniec końcem, myślisz sobie? — zapytała pani Brawska.

— Ja myślę, że nicuczciwością jest na posag żony spekulować.

— O la la! — zawołała. — Poezya, kochaniel! Spekulować na posag żony? Jakże to pięknie brzmi, a jak w tém sensu mało! Przecież posag ów dostać się komuś musi: nielepiej-że, ażeby dostał się tobie, aniżeli komu innemu? Ty zresztą masz coś, co równoważy szalę posagu.

— Cóż ja mam?

— Protekcyę.

— Z których nie myślę korzystać.

— Zwaryowałeś chyba!

— Nie zdaje mi się. Mam siebie za człowieka przy zmysłach zupełnie zdrowych.

— Nie — zaczęła pani Brawska — ta młodzież dzisiejsza, dalibóg, ani do tańca, ani do różańca. Dawniejszemi czasy, gdyby któremu, co nie nie ma, pokazać było w perspektywie dziesiątą, setną część tego, co pokazuję tobie... a! skoczyłby, ażby nogi połamał.

— Dawniej nie znano wartości pracy, uważano ją za poniżenie.

— Niby to dziś uważają ją inaczej. At, fantazyje! Pamiętaj jednak i zakarbij to sobie: Eudoksya Piotrówna rośnie dla ciebie, ale, kochanie, do pewnego tylko czasu. Jeżeli się po nią nie zgłosisz, nim ona skończy lat piętnaście, to będzie może zapóźno. Zanotuj to sobie i więdz, że stara Brawska jest zawsze na rozkazy twoje.

Adam podziękował babinie i z usług jęj korzystał, ale w innym względie. Ona to stręczyła mu po większję części lekcyę prywatne. Czyniła to w sposób uprzejmy a przyjacielski, nie przypominając nigdy Adamowi Piotra Pantaleonowicza, którego Adam poznał z widzenia i nie poczuł wcale do niego pociągu, nakazującego życzyć go sobie na teścia. Poznał też i Eudoksyę Piotrównę, również z widzenia. Pani Brawska nie

przesadziła, opisując ją. Dzieweczka wyglądała, niby jagódka dojrzewać poczynająca, świeżo, jędrnie i wcale ponętnie: nosek miała zadarty nieco, usteczka koralowe, oczęta błękitne, włosy lniane, oblicze jęj jaśniało wyrazem uradowania, oznaczającego zadowolenie wewnętrzne, odnoszące się do nięj samej, do życia, do świata, do wszystkiego. Na widok jęj bohater nasz ramionami tylko wzruszył i roić począł o wybrzeżach Minii, o tamecznych łąkach i gajach, których w życiu nie widział nigdy, i przyplątały mu się na myśl wyrazy:

„W gaiku zielonym dziewczę rwie jagody.“

Przedstawiła się wyobraźni jego dziewczyna, również świeża, jędrna i ponętna, jak Eudoksya Piotrówna, ale nie ona.

„Ona? — powiedział sobie — nie chcę jęj, chociażby mi miliardy pod stopy sypała. Szacował bym się na miliardy i stracił szacunek sam dla siebie.“

Szacunek dla samego siebie, rzecz to bardzo droga, pomimo że, o, jakże często fałszywie pojmowana! Inny na miejscu Adama, przez szacunek dla samego siebie, czołgałby się lata całe przed Piotrem Pantaleonowiczem dla milionów Eudoksyi Piotrówny. Adam ani próbował zbliżyć się do bogacza. Szedł drogą swoją: lekcyedawał, uczył się i model chaty wiejskiej wykończył.

Gdy uniwersytet skończył, a trybu życia nie zmieniał, pani Brawska napadła nań we własnym

jego pomieszkaniu. Wizyta jęj zdziwiła go; okazał zakłopotanie niejakię, które ona wnet poznała.

— Myślisz sobie: czego baba chce odemnie?— rzekła, siadając i po pokoju się rozglądając — he? co?...

— Myślę niezupełnie to, ale cós podobnego — odrzekł.

— A no... widzisz... tak wypadło. Zachciało mi się we cztery oczy pogadać z tobą.

— Słucham pani łaskawęj.

— A... cóz tu u ciebie książek!—odezwała się, tłumacząc w ten sposób podziw, jaki wzbudził w nięj widok półek, zapełnionych oddolu dogóry.—Jeżeliś przeczytał to wszystko, to można powinszować tobie.

Adam nic na to do odpowiedzenia nie miał.

— Powiedz prawdę: przeczytałeś to wszystko?

— Mnięj więćej.

— Mnięj więćej; to znaczy w połowie przy-najmnięj. Hm, nieźle i to .. Rozumu, kochanie, masz tyle, żebyś mógł nim dziesięciu obdzielić i jeszczeby każdy miał dosyć. Otóz dla tego właśnie rozumu twego pozwól, że zapytam ciebie: Co myślisz czynić?

— Odpowiedziałbym chętnie na zapytanie pani, ale nie rozumiem go dokładnie.

— Czyżem nie wyraźnie zapytała?

— Niezupełnie. Nie wiem o co właściwie pani łaskawęj chodzi.

— Chodzi mi o to, że uniwersytet skończyłeś, rozumu nabyłeś huk, zdobyłeś sobie prawo na sześciomiesięczny termin służby junkierskiej i żadnego z tego wszystkiego nie robisz użytku... pleśniejesz.

— Pracuję potrosze.

— I, co to za praca! Zjadłeś obiad i po obiedzie orzechy gryziesz.

— Uczę się.

Baba ramionami rzuciła.

— Cóż warta nauka, która ci już żadnego, najmniejszego prawa nie nada?

— Wartość nauki nie w prawach, ale w niej samą spoczywa.

— Wartość jest wartością wówczas, kiedy się opłaca. Opłaciż się tobie że nad książkami ślęczysz? Pożółkniesz, zzieleniejesz i tyle.

— Dlatego też, ażeby nie pożółkł i nie zzieleniał, gimnastykuję się.

— Wstąp do wojska, to będziesz miał gimnastyki po uszy.

— Nie ciągnie mnie tam serce.

— To podaj się do służby cywilnej, do kancelaryi gubernatorskiej, albo do sądownictwa.

— Nie czuję powołania w sobie.

— Czujesz więc powołanie do zmarnowania się? Chybaż rodzice o ciebie nie dbają, kiedy pozwalają ci trwonić lata... najpiękniejsze lata młodości... na czém? na niczém. Ani życia nie używasz, ani drogi sobie w świecie nie torujesz... To

źle, kochanie, bardzo źle. Przyszłam umyślnie powiedzieć to tobie, powiedziałam i...

Dodać chciała: „bywaj zdrów,” podniosła się z siedzenia, rzuciła okiem na komodę, ujrzała model chaty i ze zdziwieniem zapytała:

— A toż co?

— Jest-to model włościańskiej litewskiej chaty.

— Model? chaty?—mówiła pod nosem, przypatrując się okazowi--chaty?... To dworek szlachecki... Gdzieżby tak wyglądały chaty włościańskie! Zkądżeś to dostał?

— Zrobiłem sam.

— No widzisz. Otóż czém ty się bawisz. Wierz mi: zaprzatanie sobie głowy rzeczami podobnemi nie doprowadzi cię do niczego.

Adam, spotkawszy się z krytyką dzieła swego, chciał z takowój skorzystać i poprosić pani Brawskiej, ażeby mu udzieliła wskazówek, wedle których mógłby poprawić, co w modelu niedokładnym było. Lecz krytyka jęj należała nie do tego rodzaju co poprawia, ale do tego co obala.

— To nie doprowadzi do niczego — prawiała dalej.—Chaty? chatki? chałupki? to sentymentalizm, kochanie... Sentymentalizm taki uszedłby, gdybyś zajmował stanowisko wysokie i miał dochodu dwadzieścia pięć tysięcy rubli przynajmniej. Wielkim panom wolno się bawić... w chałupki nawet. Ale ty... ty zostań wielkim panem pierwój i... nie gniewaj się na Brawską.

— Pani—odparł Adam uprzejmie.

— Gniewasz się jednak... co?

— Bynajmniej. Gniewałbym się może, gdybym nie wiedział, z jakich słowa pani płyną pobudek.

— Z najszczerzego serca—podechwyciła pani Brawska—o! tego pewnym być możesz. Nie chwając się, nie należę do rodzaju istot szkodliwych. Czy nie uznajesz tego?

— O, pani łaskawa!—odrzekł Adam, wzruszony reklamacyą staréj kobiety, która, w rzeczy samej, oddawała tylko usługi i na którą nikt uskarżać się nie mógł, najmniej zaś on sam, doznawszy z jéj strony pomocy niemałej.

— Owóż, widzisz—prawiła—nie jestem istotą złą, ani złośliwą. Gdy mogę komu dogodzić, idę bez pytania ni proszenia; gdy zaś mnie kto prosi, wówczas odmówić nie umiem. Zachodzi właśnie okoliczność taka. Proszą mnie i ja, ażeby prośbie téj uczynić zadość, zwróciłam oko na ciebie.

— I dobrześ pani uczyniła—z pośpiechem odrzekł Adam.

— Pokaże się to dopiero. Tymczasem powie-
dzieć ci muszę, o co chodzi.

— O co?—zapytał młody człowiek.

— Czytałeś gazety?

— Czytuję je, ale pobieżnie.

— Nie zauważyłeś przeto może zapowiedzi przybycia do Kazania fortepianistki, koncertantki...

— Francuzki jakiegóś—podpowiedział Adam.

— Tak. Francuzki z imienia i nazwiska. Adelina de Lapotière. Owa Adelina jednak jest ro-

daczką naszą. Otrzymałem o nią list, w którym proszą mnie, ażebym ją w obcym świecie zapewniła otoczenie spółziomków, żeby się nie znalazła sama, jak palec. Nie wiem co to za jedna; w każdym jednak razie nie godzi się odpychać jej...

— A nie—wtrącił Adam z wyrazistym akcentem.

— Mówiłam o tém z Szałackimi, z Bzikstami, ze Skorabiewiczostwem, nie odmawiają osłony; wiesz jednak, będzie to osłona zalekka, niewystarczająca młodéj i, kto wie, pięknej może kobiety...

— Jeżeli zamężna, to mąż z nią przyjedzie za pewne.

— Piszę się w gazetach mademoiselle, a i w liście piszą mi o pannie... i wyraźnie donoszą, że będzie sama, to znaczy bez matki, bez siostry, bez ojca, bez brata... Siórota może...

— W razie takim, rozporządzaj mną pani. Oddaje się na jej usługi.

— Tylko się nie złap, kochanie.

— Jakto?

— A no... jeżeli to taka, co to umie na młodych chłopców jedwabne zamotać siatki.

— Niech już pani co do tego spokojną będzie. Na siatki tego rodzaju posiadam talizman.

— Jaki? w czém?—zapytała Brawska.

— O — odpowiedział Adam, ukazując na model chaty włościańskiej.

ROZDZIAŁ XI.

Panna Adelina.

Panna Adelina de Lapotière nie przybyła tak zupełnie samą, jak się zapowiedziała, przyjechała z nią bowiem służąca, wabiąca się Fanny, czystej krwi Francuzka, niemiejąca z polskiego i rossyjskiego języków jak parę wyrazów—wodi, kleba, etc. — ale zato doskonale rozmawiająca się na migi. Była to subretka skończona, lat około trzydziestu, zgrabna, żywa i niebrzydka, umiejąca uśmiechać się zalotnie, zpod oka zérkać i przybierać miny niewinności nieprzystępnej. Pani jej różniła się od niej, niezupełnie atoli. Układ miała poważny, niekoniecznie harmonizujący z postacią drobną i na pierwszy rzut oka nie nader powabną, pomimo że nie razila ani zbytęczną rysów nieregularnością, ani wyrazem odpychającym, ani żadną wadą organiczną — owszem, odznaczała ją kształtność, użytkowywana umiejętnie. Ta-t^o umiejętność sprawiała, że niepowabna za pierw-

szym oka rzutem, za drugim wydawała się miłą, za trzecim ponętą, za czwartym pociągającą. Stopniowanie to odbywało się napozór samo przez się; wysiłek z jej strony nie dawał się dostrzec aż do końca. Rozwijala uroki, jak paw rozwija ogon gwiazdzisty, co, gdy nastąpiło, wówczas oblicze jej, naznaczone zielonawymi oczami, niziutkiem czołem, mięsistymi ustami i uczesanymi w sposób rozczochrany popielatego koloru włosami, nabrało promienności olśniewającej prawie. Nożyła się modnie. W Kazaniu w najpierwszym stanęła hotelu i, jak skoro numer zajęła, niezwłocznie o przybyciu swoim zawiadomiła panią Brawską, która też wnet do niej przybiegła i zastała ją w łóżku.

— Cóż?... jakże? — były najpierwsze usłużnej kobiety pytania.

— Ach! pani kochana... skołatana jestem, rozbita, roztrzęsiona...

Organ głosu jej miał w sobie dźwięk metaliczny, lekko przygłuszony.

— Zmęczyła cię podróż.

— Myślałam że już chyba nie dojadę nigdy. To tak daleko, tak daleko... ten Kazan!

— O, daleko, kochanie...

— Czy to godzi się wznosić miasto na tyle od świata mil? Przecież miasta istnieją dla ludzi, nie zaś ludzie dla miasta.

— Nie kto inny, jeno ludzie Kazan założyli.

— Tak, ale... jacy!... jacyś Czeremisi, jacyś inni jeszcze, w podobne przystrojeni nazwy... Co to za ludzie!...

— Niebardzo różniący się od nas. Zresztą nie oni tylko Kazań zaludniają.

— Słyszałam że jest tu towarzystwo?

— Ano... jest, wykwintne nawet, składające się z wysokich urzędników, z bogatych kupców, z uczonych, z właścicieli fabryk i majątków ziemskich.

— Młodzież jednak, jakem słyszała, wynosi się do stolicy — wtrąciła artystka.

— Niekoniecznie... i niewszystka. Jedna z Kazania wynosi się do stolicy, druga ze stolicy do Kazania. To zależy... Z tém dzieje się jak zwykle po miastach gubernialnych.

— I nie są to sami Czeremisi, Czuwasze, Tatarzy?

— Ale gdzieżtam!... Któż ci podał te wiadomości?

— Czytałam... Wybierając się tu, szukałam informacyj w książkach i, przyznam się, jechałam z wielkim, z bardzo wielkim strachem. A nuż, myślałam sobie, zamiast koncerta dawać, będę musiała koncertów słuchać.

— A... obawiać się, kochanie, nie masz czego. Zresztą list otrzymawszy, porozumiałam się tu z Polakami... zapewniłam dla ciebie domów kilka dla opieki ogólnej, dla bliższej zaś młodego jednego, bardzo przyzwoitego człowieka.

— O, jakże ja wdzięczną jestem pani kochanej! Naturalnie... w domach tych będę musiała wizyty złożyć.

— A no, tak.

— Niech tylko po podróży wypocznę pierwej — rzekła panna Adelina, wyciągając się nieco pod kołdrą i dłonią czoło sobie przyciskając.

— Czy głowa cię boli, kochanie? — zapytała pani Brawska troskliwie.

— I głowa, i ręce... i nogi wszystko... a przytém czuję w ciele dreszcze.

— Gorączka może... Czy nie wypadłoby ci lekarza się poradzić?

— Są-że tu lekarze? — odparła Adelina, tonem prostoty naiwnej.

— Jest fakultet medyczny, przy uniwersytecie tutejszym.

— A!... chwała Bogu. Doprawdy, lekarz przydałby mi się może.

— Pójdę i wnet sprowadzę — odrzekła pani Brawska, wstając.

— Nic nie nagli, pani kochana... proszę siadać. Po lekarza poszlę nierychlej, aż zmiarkuję, że niedomaganie moje jest to coś innego, aniżeli proste zmęczenie. Proszę mi tylko co do lekarzy udzielić informacji niejakich.

— Bardzo chętnie — odrzekła pani Brawska.

I wymieniać poczęła lekarzy jednego po drugim. Zamierzała, jak się zdaje, wyrecytować nazwisk kilka czy kilkanaście, lecz przy pierw-

szém powstrzymała ją artystka rozpytywaniem o szczegóły, dotyczące się długości praktyki, wieku, wziętości, specjalności i tego, czy żonaty, czy kawaler. Był to istny egzamin, któryby zdziwił panią Brawską, gdyby nie to, że młoda chora zgóry oświadczyła, iż nie ma zwyczaju powierzać się pierwszemu lepszemu. Egzamin ten ciągnął się dosyć długo. Staruszka podawała kolejno nazwiska wszystkich znanych sobie uczniów Eskulapa i, wyczerpawszy registr, przypomniała sobie jeszcze jedno, należące do lekarza wojskowego.

— A! — podchwyciła panna Adelina — więc jest tu i wojsko?

— Jest... czyżby się bez wojska obejść mogło?

— Interesuje mnie to, pani kochana, ze względu na orkiestrę — tłumaczyła artystka. — Orkiestra potrzebna mi do akompaniamentu w koncertach... Tylko że to trudna sprawa, wymagająca kołatania do pułkowników, generałów, za pośrednictwem oficerów i adjutantów, z którymi wdawać się niezawsze miło.

— Ułatwi ci to Adam Jeż. •

— Adam Jeż... Cóż to za figura?

— To ten młody, przyzwoity człowiek, o którym ci wspominałam.

— Wojskowy?

— Nie... a raczej jeszcze nie. Syn generała, z bardzo dobrego rodu; ojciec jego wielkić używa powagi; on zaś sam uniwersytet tutejszy chlubnie skończył i...

— Życia używa—podechwyciła panna, nadając przy wymówieniu dwóch tych wyrazów, oczom połysk, który się po takowych przelotem przesunął.

— To bardzo, bardzo przyzwoity młodzieniec— odparła pani Brawska.

— Czy wie o przybyciu mojem?

— Nie zdaje się... Ale nie łatwiejszego, jak dać mu znać. Gdy się dowie, nie omieszka odwiedzić ciebie, tylko zapewne nie chcesz, ażeby odwiedziny jego nastąpiły dziś.

— Czemu nie!—odrzekła z akcentem protestacyi.

— Choraś... w łóżku leżysz.

— Ach! to prawda. Otóż i bięda. Leżąc w łóżku, nie przyjąłabym, z wyjątkiem lekarza, żadnego mężczyzny, młodego czy też starego, za żadne świata skarby. A tu tymczasem jest tyle do obmyślenia i do zrobienia rzeczy naglących!... reklamy, publikacye, anonsy, bilety... a sala!... a fortepian!.. Wszystko to zwłoki nie cierpi. A ja w łóżku... Och! Boże mój!

Oczy zmrużyła i w obie dłonie twarz sobie ujęła, tak że koniuszeczki tylko nosa z pomiędzy małych wyglądał palców.

Pani Brawska patrzyła na nią z wyrazem współczucia żywego i, namyślając się nad sposobami zaradzenia złemu, usta już otwierała, kiedy artystka, nagłym ręki rzutem kołdrę odchylając i na łóżku siadając, zawołała:

— Ha! precz choroba!... Artystom pieścić się niewolno. Z łóżka się zwlokę i niech pani ko-

chana uwiadomi o przybyciu mojem pana Zwierza i prosi go, ażeby był łaskaw przyszedł do mnie.

Zwracam uwagę czytelnika na to, że nazwisko Jeż przekreśliła na Zwierz. Ubliżyła tém nietyłe Adamowi, ile mnie autorowi. Któs, na pocieszenie moje, powiedziéć gotów, że ubliżyła ona sobie. Być może i to. Rzecz o pretensyi i o ubliżeniu rzucam mimochodem, nie bez zamiaru jednak scharakteryzowania przez nią artystki, która, odrzucając precz pieszczoty, wyskoczyła z łózka w obecności wybiérajacéj się od niéj pani Brawskiej.

— Dobrze, dobrze — mówiła ta ostatnia, ku drzwiom się kwapiąc — natychmiast ci go przyszlę, kochanie... Bylebym go w domu zastała.

— Pani kochana! — zawołała panna Adelina na panią Brawską, gdy ta już za drzwiami była.

— A co? — zapytała kobiéta, na progu się w pół odwracając.

— Niech pan Zwierz przyjsé raczy nad wieczorem... w porze herbacianéj.

— Ot, to i lepiej. Wrazie gdybym go w domu nie zastała, zostawię mu słów kilka.

Pani Brawska odeszła. My za nią nie pójdziemy, wiedząc zgóry, co i jak uczyni. Pozostaniemy raczéj z panną Adelina, przygotowującą się na przyjęcie Zwierza.

Artystka chwilki nie pozostawała samą. Zjawiła się wnet obok niéj Fanny i usiadła na stoliku, obok stojącego pod oknem stolika.

Przez chwilę w izbie panowało milczenie. Przerwała je służąca.

— Z pyszną na pierwszy wstęp miałaś do czytania sowa—odezwała się.

— Ha! są to przykrości do zawodu przywiązane.

— Dobrzeż przynajmniej odegrałaś rolę kapłanki sztuki, mocą ducha pokonywającej dolegliwości ciała?

— Zdaje się—odrzekła panna Adelina, wciągając pończochę i zapinając elegancką podwiązkę.—Czyniłam wszystko com mogła. Stara wysła wzruszona.

— Byle jeno scenę tę roztrąbiła po mieście.

— Opowiadać ją będzie przyozdobioną w arabski — odparła, drugą wkładając pończochę.— Tego pewna jestem.

— To wszystko, czego na ten raz potrzeba... Cóż dalej?—zapytała Fanny.

— Ma przysłać mi młodego człowieka, nazwiskiem Zwierz.

— Dżw... dżw—poczęła ćwierkać Fanny i dodała:—drôle de nom.

— Tém zabawniejsze, że znaczy animal — dodała panna Adelina.

— To Tatar? Czeremis? czy co?

— Polak, moja kochana... spółziomek mój... jakiś bardzo przyzwoity młody człowiek. Przyjdzie nad wieczorem, w porze herbacianej; spró-

buje na herbatę go zatrzymać. Potrzeba, żebym się mu sprezentowała pod bronią.

Rozmowa pomiędzy panią a służącą toczyła się w języku francuzkim. Dziwna jednak rzecz: pani się ubierała, służąca zaś żeby też się ruszyła ku pomocy jej. Panna Adelina usługiwała sobie sama; z waliz podróжных wydostawała bieliznę i odzież, wdziewała je na siebie, przeglądała się w zwierciadle i tylko kiedyniekiedy rzucała zapytanie:

— A co?

Fanny, z miejsca się nie ruszając, jedno pochwalała, drugie ganiła.

Z powodu mączki różowej wywiązała się sprzeczka krótka. Fanny tego była zdania, że artystka zamało się nią posypała; ta zaś ofuknęła się:

— Nie chcę twarzy mojej czynić trupio-białą!

— Nie chodzi o białość trupią, ale o białość, świadczącą o delikatności cery.

— Chodzi o bladość, a tę, zdaje się — rzekła, przyglądając się w zwierciadle — doprowadziłam już do stopnia dostatecznego. Stopień jeden więcej jeszcze, a będzie już trupiość,

— Prawy policzek... od dołu — baknęła Fanny i dodała, wstając: — czekaj.

Wstała, z puszki z proszkiem wyjęła kwacz puszysty i poczęła nim zlekka prawy artystki policzek tynkować. Ta tynkowała, owa zaś ścięrała miękką serwetką. Operacya ta trwała niedługo i po zakończeniu onęj Fanny, włożywszy kwacz do puszki, na dawne swoje powróciła miejsce.

Rozmowa wszczęła się nagle.

Przed przytoczeniem z onęj szczegółów, które mi się potrzebnymi do powieściowej historyczności wydają, zaznaczę ton, iż tak pani do służącej, jakoteż służąca do pani przemawiały „ty.” Szczegół to jeżeli nie charakterystyczny, to ciekawy. Coby on oznaczać mógł? Etnograf, znający w porównawczym sensie zwyczaje narodów różnych, domyślałby się z tego, że dwie te kobiety pochodzą ze Wschodu, że są conajmniej Słowianki południowe, Serbki albo Bulgarki. Na Zachodzie, w stosunkach pomiędzy służbowcami a służbobiorcami nie dopuszcza się poufałości tego rodzaju. Ze zaś, z wyjątkiem poufałości tej, nie innego o południowo-słowiańskim nie świadczyło pochodzeniu, przypuszczać więc należy, iż łączył je węzeł osobliwy jakiś, zmieniający się, inny bez ludzi, inny przy ludziach. Nie wchodźmy jednak w to. Bierzmy fakt wedle tego, jak się wyrażał, podczas kiedy panna Adelina toaletę robiła, a Fanny na stołku siedziała.

— I cóż ten Dżżżwiż ma za funkcyą pełnić? — zapytała ta ostatnia.

— Przedewszystkiem obrońcy niewinności mojej, poza tém zaś będzie to, jeżeli mi się go zażyć uda, trochę impressario, trochę reżyser, a najwięcej faktor.

— Do herbaty cośby trzeba dać kazać.

— Obwarzanków, bułek, masła i owoców... śmietanki i araku.

— Jak też to ja u licha posługaczom na migi wytłumaczę?— rzekła sama do siebie, zamyślając się na chwilę.— Owarzanki? a... wiem już.

Zrobiła z palców kółko i przypatrywała się onemu.

— Bulki? klib... klib... tak: gdyby mi zaś zwykłego tutejszego żytniego chleba dawano, wraze takim będę kiwała tak długo, aż dostanę białego. Z masłem pójdzie mi łatwo, wezmę nóż i będę naśladowała smarowanie. O woce?... z niemi będzie kłopotu niemało, zanim wytłumaczę za pomocą dziesięciu palców przedmioty takie, jak jabłko, gruszka, śliwka... Śmietanka... hm?... chciałabym śmietankę umieć nazwać. Jak—zapytała—śmietanka po rossyjsku?

— Śliwki — odpowiedziała wciąż toaletą zajęta panna Adelina.

— Będziem więc mieli herbatę kompletną dla gościa. Był tylko gość ów przydał się na co i byle nie był przy apetycie wielkim, boby nam zrobił podryw fatalny.

— Ha! ryzyko, nakład—bąknęła panna Adelina, która w tej chwili przed zwierciadłem w spódnicy bez gorseta stojąc, miała podjęte dogóry ręce obie, zatrudniona przy upinaniu na głowie warkoczy przyprawnych.

Rozmowa się przerwała, Fanny w zamyśleniu się pograżyła i po czasie niejakiem, zrywając się nagle, zawołała:

— Pora już na mnie!

Odnosiło się to zapewne do tego, że wieczór zbliżał się i trzeba było o herbacie pomyśleć.

Artystka toaletę skończyła prawie, była bowiem ubraną całkowicie, z wyjątkiem okrycia zwierzechnego. Kibić uciskał jej gorset, okryty białym, suto haftowanym kaftanikiem, otwartym szeroko pod szyją; ku dołowi spływała również biała i również suto haftowana spódnica, zpod której wyglądały aksamitne, złotem naszywane pantofelki. Na szyi chusteczka jedwabna, od niechcenia niby zawiązana, świadczyła o troskliwości panny Adeliny o zdrowie własne. Rękę zdobiła bransoleta z paciorków naśladowujących perły.

W izbie panował nieład. Panna Adelina zawinęła się koło uporządkowania sprzętów i gratów i w krótkim czasie przeciagu ułożyła je tak, że i oko bawily i uwagę ściągaly. Na stole pojawiło się książek parę, album, nuty, brosza, wachlarz, pozłociste podełeczko z pastylkami i w białej oprawie binokle, a na tém wszystkim kapelusik ze skrzydłem ptasiem, szpinką złotą przypiętę. Złoto, rzecz prosta, było imitacyą. Na jednem z krzesel rzucony był szal, na drugiem narzutka o jedwabnej podszewce. W pokoju unosiła się subtelna ess—bukietu woń, która gdy zapachniała, artystka włożyła na siebie *peignoir* z ogromnie długim trenem, przysunęła do stolika pod oknem fotel, na fotelu usiadła, na stoli-

ku książkę nowiutką, z włożonym w środek nożem kościanym do rozcinalnia kartek położyła, i przybrała postawę spoczywającej po wielkiem znużeniu.

W postawie tej zastał ją bohater nasz, który przyszedł o zmierzchu.

— Panna Adelina de Lapotière? — zapytał po polsku.

— Kogóż mam zaszczyt? — odparła, głosem ciągnionym.

— Adam Jeż.

— Ach, jakżem szczęśliwa! Proszę pana. Dobra pani Brawska nie omyliła się, mówiąc o gotowości pańskiej niesienia pomocy zagnanej w to zaświecie artystce. Niechże pan usiąść raczy.

— Pani odbyła podróż uciążliwą.

— O! i jak uciążliwą, a daleką. Bez wytechnienia prawie jadę z Paryża.

— To daleko, w rzeczy samej. Z Paryża wprost do Kazania...

— Pan słusznie dziwisz się, zkąd mi przyszła myśl ta. Nie dziw się pan jednak. Pomysły podobne, to treść artystycznego życia, to spadkobierstwo po trubadurach i minnesingerach. Pędzi nas siła tajemnicza w światy dalekie i my siłę tej oprzeczności nie możemy. To dziwactwo, ale... cóż, rady na nie niema. Puściłam się w światy nieznanne, w celu zaniesienia z Paryża do Kazania dźwięków kilku. Przyjechałam i... oto jestem. Spadam panu na barki.

— Pani... jakże spadnięcie to jest mi miłym! — zareplikował Adam.

— Miłym, bo nie znasz pan jeszcze ciężaru, jaki mu przynoszę w osobie swojej.

Adam spojrział na osobę, lecz jój dokładnie widzieć nie mógł. W pokoju zapanował już zmrok. Panna Adelina spostrzegła się niby na tém i krzyknęła:

— Na Boga! ależ my pociemku. Czemu światła nie przynoszą! Fanny! — zawołała — Fanny!

— Mademoiselle! — odezwał się głos od progu.

— Zapomniałaś o świetle.

— Nie zapomniałam, ale wiem że panna, kiedy cierpiącą jesteś, lubisz zmrok wieczorny.

— To prawda, moja kochana, alem nie sama.

— Jeżeli pani światło szkodzi — odezwał się Adam — to...

— Światło mi nie szkodzi — odparła. — Lubię zmrok wieczorny, dlatego że lubię... lecz, musimy przecie w oczy spojrzeć sobie.

W chwili téj zabłysło światło. Fanny postawiła na stole dwie świece stearynowe i, oddalając się, zapytała:

— Pozwoli panna, ażebym herbatę podała?

— Dziękuję ci, żeś mi to przypomniała. Pozwolę, i owszem, podawaj. Spodzielam się, że pan Zwierz nie odmówi mi téj grzeczności i podzieli skromny posiłek ze mną.

Adam nie miał słusznego powodu nie przyjmować uprzejmego zaproszenia.

Panna Adelina podziękowała mu serdecznie i, podziękowawszy, zaczęła:

— Sprawiasz mi pan przyjemność podwójną: i ugoszczenie u mnie przyjmujesz, i dajesz mi sposobność spędzenia chwil kilku w towarzystwie spółrodaka. Nie znam rozkoszy większej nad dźwięk mowy rodzinnój wśród ludzi obcych. Jest to niby echo, dolatujące nas od ogniska domowego. Czyś pan dawno z Polski?

— O—zaczął Adam, któremu przykro było przyznawać się do tego, że nie znał kraju polskiego.

Szczeńciem dla niego, artystka, nie czekając na odpowiedź, inne zadała pytanie.

— Czy znajdę—zagadnęła—w Kazaniu fortepian dobry?

— Nie wątpię o tém—odpowiedział z pośpiechem—fortepianów tu niemało.

— Pan sam muzykalny?

— Uczyłem się i od biedy zagrać potrafię mazurka.

— Mazurka! Szopena może! — podchwyciła. — Usłyszysz pan, jak ja grywam mazurki Szopena. Zagranie jednego przeznaczam dla pana wyłącznie. Chodzi mi tylko o to, żebym miała fortepian dobry. O, gdybym była mogła wziąć mój ze sobą! Chciałam, bardzo chciałam, jużem go nawet pakować kazała; lecz zapewniano mnie, że w Kazaniu znajdę i Pleyele i Erardy.

— Zdaje się. Doskonały instrument posiadają państwo Gruszkostwo.

— Kto, proszę pana?—podchwyciła.

— Państwo Gruszkostwo.

— Cóż to za nazwisko?

— Gruszka.

— A! cóż to za osobliwa nazwisk polskich kolekcya! Oto słyszę Gruszka; pan nazywasz się Zwierz...

— Jeż—poprawił Adam z uśmiechem.

— Jeż? a toć to owo zwierzątko z kołcami? nie prawdaż?

— Prawda, pani.

— No, widzi pan, to z panem na ostrożności mieć się potrzeba, artystce zwłaszcza.

— Może być pani zupełnie o siebie spokojną— odrzekł tonem żartobliwym.

— Ja pod kołcami rozumiem krytykę, obchodzącą się często z nami niemiłosiernie. Gdybyś przeto pan, jako jeż, wziął do ręki pióro i zaostrzył je nakształt kołców...

— Moznaby z przypuszczeniem tem zwracać się do kuzyna mego, co powieści pisuje, nie do mnie, którym do druku dwóch wierszy nie podał jeszcze. Ze strony mojej nie spotka pani krytyka inna, chyba ustna, i to ostrożna, nie będąc bowiem sam muzykiem, na muzyce się nie znam i nie śmiałybym wydawać sądów surowych.

Wczynie, kiedy Adam mówił, panna Adelina, wpatrzona weń, namyslała się. Wpadła jej wia-

domość, jako Jeż jeden powieści pisuje. Przypominała więc sobie naprzód, azali się z tém nie zdradziła, że wiadomość ta przed chwilą była jęj obcą zupełnie; układała sobie następnie, jakby to z kolizyi tęj wyjść jaknajzręczniej. Proces namysłu odbył się szybko. Gdy Adam skończył, podchwyciła:

— I jakżeż ja mogłam tak obrzydliwie przekrećić nazwisko pańskie, kiedy powieści Jeża znane mi są doskonale! To pani Brawska temu winna. Ona mi tego Zwierza w ustach ulokowała. Kuzyn pański pisze znakomicie: co za styl! co za werwa! Świetnie pisze. Jest to jeden z najulubieńszych autorów moich. Powieść jego ostatnia, której tytuł... tytuł? jakże tytuł?

— Dersław z Rytwian—podpowiedział Adam.

— A tak, Dersław z Rytwian, do lez mnie nieraz wzruszała.

— Krytyka uważa tę powieść, jako jeden ze słabszych jego utworów.

— Co krytyka! Krytyka ma sobie za obowiązek ganić wszystko i wszędzie, a ja panu powiadam, że jest to jedna z najznakomitszych Jeża powieści. Co za kolizye! co za sytuacye! Wprawdzie nie doczytałam jęj, tak wyjeżdżać musiałam nagle. Chciałam dla nięj wyjazd o dni parę opóźnić.

— Czytałaś ją pani w oryginale, czy w tłumaczeniu?—zapytał Adam.

— W oryginale. Nie wiem o tłumaczeniu—odrzekła. — Któs, jak widzę, uprzedził mnie, ja

bowiem chciałam przetłumaczyć ją, ażeby pokazać Francuzom, jakich-to my autorów posiadamy.

— W razie takim nie uprzedził pani nikt, tłumaczenie bowiem wyszło w języku rossyjskim.

— A no, toś mnie paa pocieszył. Jak skoro powrócę, zabiorę się do pracy natychmiast. A nawet—dodała, zamyślając się na chwilę—naco odkładać? Jeżeli mi pan powieść dostawisz, będę ją tłumaczyła tu, dans mes moments perdus. Sainte-Beuve nieboszczyk powiadał, że posiadam la phrase facile et coulante; nie tłumaczę, ale przekładam z języków obcych na francuzki.

W chwili tej weszła Fanny i, przybierając postawę subretki, z panią swoją spoufaloną a nadąsaną, oznajmiła, że służbie hotelowej żadną miarą wytłumaczyć nie może jabłka, ani gruszki, ani wogóle owoców.

— Nie wiem już, co począć, doprawdy—skarżyła się—dawano mi zrazu jaja zamiast gruszek, a wkońcu jaja zmieniono na rzepeę. Rozpacz!

— I cóż ja poradzę na to, moja Fanny!—odparła panna Adelina.

— O, toć rada się znajdzie—podchwycił Adam, wstając i ku drzwiom się mając.

Z nim razem wyniosła się Fanny i gdy on wyłożył służbie o co chodzi, zwróciła się doń z podziękowaniami przesadnemi. Dziękowała, jakby jój conajmniej życie uratował. Nazywała go do-

broczyńcą swoim i umotywowala tytuł ten w sposób następujący:

— Nie możesz bowiem, drogi panie, wyobrazić sobie, jak pani moja jest wybrédną, jak ona lubi nowalie i przysmaki, zwłaszcza zaś des chos ses croquantes. W głowę zachodzę, co ja nieszczęśliwa pocznę, ażeby jej dogodzić.

— Będę paniencie pomagał—odrzekł Adam.

— O dziękuję, dziękuję!—zawołała subretka na schodach.—Staniesz się pan dla mnie opatrnością prawdziwą.

W czasie nieobecności Adama panna Adelina, wyciągając się w fotelu i odetchnąwszy z głębi piersi, w taki sama do siebie odezwała się sposób:

— Aha. O małym się nie splątała pomiędzy Jezem a Zwierzem i nie utknęła na Derślawie z Rytwian. Wywinełam się jednak nieźle. Młodzieniec, jak się zdaje, adoruje kuzynka autora i adoracya ta stanowi jego słabą strunę. Mam go już więc. Zobaczymy, có się z tego zrobić da! A panie!—zawołała, ton zmieniając, gdy ujrzała Adama z powrotem — czyż godzi się, ażebyś pan tyle czynił dla mnie? Ta Fanny! zburezę ją, nieogłędna dziewczyna.

— Pani, to drobnostka taka—usprawiedliwiał się Adam, siadając.

Podano herbatę. Artystka podniosła się z fotelu i, wlokąc za sobą tren, przeszła przez pokój, powiodła okiem po sprzętach i zajęła miejsce naprzeciw gościa.

— Nie wiem, doprawdy, jak mi pójdzie rola Heby herbacianej—zaczęła głosem znękanym—tak się czuję znużoną i osłabioną. Jeżelibym się dopuściła niezgrabności jakiej, przepraszam pana zgóry. Nie czuję prawie sił do utrzymania w ręku imbryczka.

— Niech-że mi pani pozwoli wyreńczyć siebie—odparł Adam na to.

— Nie mam odwagi odmówić panu.

Adam więc zajął się naléwaniem herbaty.

Przy herbacie wytoczyła się na stół kwestya koncertu, kwestya rozległa, skomplikowana, poprzedzona długim szeregiem czynności przygotowawczych, opierających się o miejscowe władze porządku i bezpieczeństwa, o nauczycieli muzyki, o księgarzy, o osobistości wpływowe i o mnóstwo innych szczegółów, które artystka podnosiła i roztrząsała z rzadką rzeczy świadomością, przekonującą o praktyce jej w tej mierze. Załatwienie części większej i ważniejszej szczegółów tych spadło na Adama. Bohater nasz podejmował się tego tém chętniej, że panna Adelina zrobiła na nim wrażenie wcale dobre. Przedstawiła się mu ze strony artystycznej, wydmuchniętej trochę, przez to atoli tém bardziej powabnej. Sprawę powodzenia jej na kazańskim horyzoncie wziął więc gorąco do serca i po herbacie wychodził od niej z postanowieniem pomagania jej siłami całemi.

ROZDZIAŁ XII.

S z t u c z k a.

Artystka porobiła wizyty wydatniejszym członkom kolonii polskiej i wszędzie wydała się jak najlepiej. Jój treny, jój zbyt przesadne może trochę gorsowanie się, jój ekstrawagancya w czesaniu włosów na głowie raziły, ale nie gorszyły, nie gorszyły zaś dlatego, że umiała ona wystawę z siebie czynić. To sztuka, i wielka, artyzm w rodzaju swoim, niekażdej dostępny.

— Artystka — powiadano o niej.

Powiedzenie to zawierało w sobie usprawiedliwienie, to zaś ostatnie szło tak daleko, że sensaci nawet i rygoryści odzywali się o niej z pobłażliwością. Znajdował tylko nagannem ten i ów nierachowanie się jój z wydatkami. W hotelu zajęła numer z salonem, umeblowany wykwintnie.

— Grubo za to zapłaci — zauważył ktoś.

— Wié ona, co robi — odrzekł na uwagę tę ktoś inny. — Jak cię widzą, tak cię piszą... Po-

trzebaż jój i ludzi u siebie przyjmować, i mieć gdzie fortepian postawić.

Gadanina o niej krążyła po mieście, poprzędzając jój przed publicznością wystąpienie, dzięki któremu nasz Adam znajdował się w ruchu ustawicznym, od rana do wieczora. Ruch ów miał na celu negocyacye rozmaite, z których jedne kończyły się odrazu, inne wymagały konferencyj długich i nudnych, inne znów ocięrały się o chciwość oburzającą. Dla bohatera naszego był to rodzaj ćwiczenia w stosunkach, mających interes za dźwignię. Znał je w teorii; dotknął się ich teraz palcem, że tak rzekę. Nie było to bez niejakiój dlań korzyści, témbardziej że chodziło nie o niego samego, ale o osobę trzecią, która go nieograniczoną swoją zaszczycała ufnością. Chodził więc około interesów jój z całą gorliwością, umawiał się, ujadał, przestrzegał drogi prostej i doprowadził do tego, że koncert piérwszy odbył się i... nie powiódł. Sala w połowie zaledwie zajęta była. Łoże świeciły pustkami. Oklaski odbywały się z umiarkowaniem. Nie było nawet tego, co Francuzi nazywają succès d'estime — słuchacze, wczasie wykonywania sztuk koncertowych, wychodzili, wchodzili i rozmową się zabawiali.

Był-li temu winien koncert? Nie. Artystka wywiązała się z zadania swego jaknajzupełniej dobrze; grała poprawnie i biegle; w graniu jój była i werwa i lotne pokonywanie największych lisztowskich trudności; zmuszała fortepian raz do

szczebiotania, znów do ryku grzmotowego; a mimo to wszystko, po opłaceniu nakładów, pozostało jęj w zysku zaledwie rubli kilkanaście.

— Pięknie nas wykierował ten bardzo przyzwoty młody człowiek—powiedziała Fanny, gdy wespół z panią swoją uczyniła obrachunek ogólny wydatków i dochodu.—I z czegoż tu opłacić hotel i podróż?... Chyba się ztąd wyniesiemy, jak z Kaługi.

Panna Adelina ramionami wzruszyła i z głębi piersi odetchnęła.

— Czy myślisz próbować jeszcze?

— A cóż!... Trzeba szansę wyczerpać do dna, wszystko bowiem jedno, czy się wyniesiem dziś, czyli też o parę tygodni później... Rzecz nie zmieni się na gorsze; zmienić się jednak może na lepsze. Przyrost długów nie frasuje mnie.

— Ani mnie—odrzekła Fanny z grymasem odpowiednim, z którym jęj do twarzy było.

— Jeż poręczył w hotelu... wiész?

— O? tém lepiej... Więc masz dać jeszcze koncertów?

— Dwa na siebie i jeden na ubogich... Dni dziesięć mamy przed sobą do fortuny, lub do odwrotu.

— W foyer, po koncercie, otoczyli cię oficerowie.

— Prezentowali się mi... Dziękowałam adjutantowi za orkiestrę, on jednak oświadczył, że podziękowania mego nie przyjmie inaczej, jak

w pomieszkaniu mojem, jeżeli mu pozwolę wizy tę mi oddać.

— Pozwoliłaś, oczywiście...

— Naturalnie... Wyglądam panów tych lada chwila.

— Nie samego więc adjutanta?

— No... nie... Nastawiała się mi gromadka umundurowanych elegantów, brząkających w ostrogi.

— Tém ci lepiej... tém lepiej—powtórzyła Fanny dwukrotnie.

Zaledwie słowa te wymówiła, kiedy w korytarzu słyszeć się dało poszczekiwanie szabel. Fanny pierzchła, wyskakując do przedpokoju, gdzie niebawem odezwała się w języku francuzkim głosna rozmowa, z której wyrazy pewne, jak *votre maîtresse, la belle enfant*, dochodziły do uszu panny Adeliny. *Votre maîtresse* stosowało się do tój ostatniej; *la belle enfant*—do Fanny. Po chwili Fanny przedstawiła artystce trzy karty wizytowe; na jednéj z nich figurował tytuł: *prince*.

— Proś tych panów — rzekła panna Adelina, karty okiem przebiegając i z fotelu się nie ruszając.

— Gdyby przyszedł Jeż—szepnęła Fanny, dodając gest wyrazisty.

— To się rozumié—odparła artystka.

Fanny odstąpiła, drzwi na ścieżaj otworzyła i do salonu jeden po drugim wkroczyło trzech młodych oficerów, z szablami przy boku i z kaskami w ręku.

Każdy z nich szarmancki pannie Adelinie złożył ukłon, na który ona odpowiadała głowy skinieniem.

— Wybacznie mi, panowie — zaczęła — czuję się, doprawdy, złamaną.

— Choraś pani? — odezwał się jeden z nich, z akcentem spółczucia.

— Chorą, *précisement*, nie jestem... ale... zmęczenie... irytacja... publiczność kazańska tak mnie przyjęła!...

— A, to było niegodnie! — podchwycił inny — intryga!... kabała!...

— Mnie to ostatecznie nie nie szkodzi... Reputacja moja...

— Ale to wstyd i hańba dla takiego jak Kazań miasta! — przerwał jeden. — Z tym wstydem i z tą hańbą solidaryzować się nie chcemy. my, oficerowie... i dlatego przyszliśmy do pani we własnym i w kolegów imieniu, wyrazić jej, wraz z ubolewaniem naszym, uczucie uwielbienia dla niezrównanego jej talentu.

— Tego mi dosyć — odparła — to mnie zadowala zupełnie... Dziękuję panom i proszę, w imieniu swoim, podziękować kolegom waszym... Sztuka i boleści i rozkosze sprawia, gdy zaś naraża na zawody, te zawsze w sposób niespodziany... Nie spodziewałam się, ażebym, okrywana okłaskami w stolicach, wysykaną prawie została w Kazaniu.

— Pani—tonem protestacyi odezwał się jeden z młodych rycerzy—nie sykał nikt prawie.

— Sykał—odparł ksiązę.

— Nie słyszałem.

— Jam słyszał... Wiem nawet kto... Nie zrobił on tego w złej intencyi, bo chciał milczenie rozmawiającym nakazać.

— Któż to? Sasza Michajłowicz?

— Nie... Adam Stanisławowicz... Jeż... ten Jeż... wiész?...

— A... to mu się udało, pomimo że tak wysoko wykształcony.

— Pan Jeż przysłużył mi się — odezwała się panna Adelina.

— O, niechże mu pani wybaczy, ze względu na intencyą, która była jaknajlepszą.

— Dobremi chęciami piekło brukowane.

— To prawda... jednakże...

Rozmowa z tonu tego snuła się czas jakiś i wyczerpawszy się, przeszła w ton weselszy. Poczęły strzelać dowcipy. Za dowcipami wślad poszły dwuznaczniki. Panna Adelina, odcinając się świetnie, placu dotrzymywała. Wizyta trwała, ile trwać była powinna, gdy zaś młodzi ludzie żegnali piękną gospodynię, jeden z nich, dłoń jej ściskając, wystąpił z zapytaniem:

— Kiedyż pani powołasz nas znowu na ucztę muzyczną?

— Nigdy może—odpowiedziała.

— A! — zaprotestowali wszyscy trzej głosem jednym.—To być nie może... nie... nie.

— Pani nie masz prawa nas, talentu jej wielbicieli, karać za innych.

— Poruszymy niebo i ziemię i zmusimy towarzystwo kazańskie... czołem przed tobą uderzyć.

Molestowali, zaklinali i uzyskali obietnicę koncertu za dni kilka.

Po odejściu ich przyszło dwóch innych młodych oficerów; później znów dwóch innych; dalej trzech—luzowali jedni drugich. Wizyty te ustały dopiero o zmroku, w porze dnia, w której zwykle podają się świece.

— Nie przyjdzie już chyba nikt — rzekła panna Adelina, znużona gadaniem ustawicznem.

— Przyjdzie jeszcze nasz bardzo przyzwoity młody człowiek — odrzekła Fanny. — Odprawiłam go odedrzwi razy trzy... Była też i ta dama... Brawska.

— Ta dama już nam na nic, ale tego młodego człowieka przyjąć trzeba.

— A i nacóż on?... nato chyba, żeby znów na fiasco naraził?

— Ułożyłam sobie planik, do którego mi on właśnie jest potrzebny... Zobaczysz.

— Więc przyjąć go, gdyby dziś raz jeszcze przyszedł?

— Dziś?... poczekaj — pomyślała przez chwilę.—Położę się w łóżko... Albo nie... Zasiądę przy biurku... przedemną świece, papier zapisany, atra-

ment, pióra i Dersław z Rytwian; w pozycyi téj będę nań czekała... Gdy przyjdzie, wpuść.

— Wrzucę mu w ucho od siebie słówek kilka.

— C'est ça.

Wnet artystka zabrała się do artystycznego przysposobienia sceny: sama świecę pozapalała, sama na biurku przyrzędy do pisania poustawiała, oryginał powieści o postumencik oparła i pozę zagłębionęj w pisaniu przybrała.

Przewidywania Fanny ziściły się. Adam przyszedł raz jeszcze. Subretka w ucho mu wsunęła wyrazy następujące:

— Ach! dobrze żeś pan przyszedł... Pani moja wpuszczać nie kazala nikogo, ani pana nawet... Nie wpuściłam téż pana trzy razy. Teraz wpuszczę jednak... Niech się stanie co chce... Pani moja zabija się pracą... Chodź... zobaczysz... idź jeno pocichu, pocichuteńku.

Za rękę go ujęła i, przodem idąc, doprowadziła do biurka, przy którym pochyłona i w pisaniu zatopiona, siedziała panna Adelina. Nie słyszała przyjścia dwojga ludzi, nie odwracała uwagi—spoglądała na oryginał i szepejąc pod nosem frazesy, szykowała je na papierze. Adam przez czas jakiś patrzył na nią. Rzewność nieopisana pierś mu napełniła. Nie śmiał przerywać; dech w sobie tłumił, wydawało mu się bowiem, że oddycha głośno, i byłby tak długo w niemém pozostawał zapatrzaniu, gdyby Fanny znaku mu nie dała.

— Pani—odezwał się głosem wzruszonym.

— Ach!—rzuciła się panna Adelina, końcem pióra o papier uderzając.

— Czy to się godzi?

— To pan?—ręce wzdłuż kolan spuściła i od-
dychać, jak po przestrichu, poczęła.

— Pani dzień dzisiejszy spoczynkowi poświę-
cić powinnaś była.

— Któż panu mówił, żem nie spoczywała?

— Ja — odpowiedziała Fanny.—Zgwałciłam
rozkaz pani mojej kochanej, przyprowadziłam pa-
na Jeża, ażeby widział co pani robi i dowiedział
się, że robota ta trwa bez przerwy od wczesnego
rana, rozpoczynając się wczora jeszcze z wieczora.
Tak, pani, powróciwszy z koncertu, zasiadła do
pisania i pisała nie wiem jak długo, bom spała.

— Fanny!... co ci się stało?... milcz! — prze-
rwała panna Adelina.

— Nie będę milczała... O!... To nietylko tu
dzieją się sceny takie, powtarza się to wszędzie.
Pani zatapia się w książkach polskich i spędza
nad nimi dni i noce... Od książek przechodzi do
fortepianu, od fortepianu do książek. Jeżeli nie
gra osiemnastu godzin na dobę, to osiemnaście
godzin czyta i pisze.

— Fanny, jak widzę, będziemy musiały roz-
stać się z sobą.

— Tém lepiej. Wolę panią opuścić, aniżeli
patrzeć na rzeczy takie. Ja prosta dziewczyna,
ale mnie serce boli, gdy widzę jak się pani truje

trucizną powolną. Panie Jeż — zwróciła się do Adama—czy nie mam racyi?

— Po stronie téj panny słuszność zupełna— przemówił Adam do Adeliny.

— Ha! zmowa przeciwko mnie, więc ustąpić muszę—odrzekła panna Adelina.—Pióro odkładam i... proszę pana usiąść.

Adam miejsce zajął.

— Pisanie nie męczy mnie — ciągnęła—przeciwnie, sprawia mi zadowolenie.

— W gruncie atoli rzeczy jest to praca, a praca męczy i, gdy się jéj nadużywa, szkodzi.

— A! gdybyśmy unikać mieli wszystkiego co szkodzi, w cóżby się obróciło życie nasze? Szkodzą wszystkie porywy, wszystkie uniesienia, wszystkie zachwyty. Po przegraniu każdego ze znakomitych utworów wielkich mistrzów tonów, czuję gorączkę w sobie. Powinnabym przeto muzykę zarzucić. Powinnabym jeszcze zarzucić i pisanie. No? pytam pana: naczóż żyć?

— Należy harmonii przestrzegać pomiędzy porywami ducha, a siłami ciała.

— Ech, panie Jeż—odparła—czy się pan sam téj reguły trzymasz?

— Ja, pani, żaden poeta, żaden artysta, ja człek poziomy, ziemski, zapatruję się na życie zdołu, z punktu obowiązków powszednich, iz punktu tego poetów, artystów podziwiać tylko mogę. Nie znam ich jednak zblizka. Panią najpiérwszą z nich na drodze mojej spotykam i szczerze wy-

znam — tu głos jego wzruszeniem zadrżał — dałbym za to wiele, ażeby istotę, pojmującą sztukę tak jak pani, uchronić od spalenia się przedwczesnego.

— A jakieś to pan wyraził poetycznie! — zaawazyła artystka.

— Może, alem nie winien temu.

— Właśnie niewinność ta poetyczność stanowi. Jesteś pan poetą, o! jesteś... poetą w duszy.

— Poetą takim jest człowiek każdy.

— W stopniu mniejszym lub większym, ale w panu poetyczność manifestuje się w stopniu...

— Dajmy pokój temu — przerwał Adam — gotówem jeszcze uwierzyć w to, co się pani wydaje, i zapomnieć o tém, z czém przychodzi.

— A no, z czém? — zapytała ciekawie.

— Z największemi, a jaknajserdeczniejszymi przeprosinami.

— Za co?

— Za koncertowe niepowodzenie, któremu ja winienem od początku do końca.

— I! proszę pana! O tém już ani myślę. Było mi przykro trochę wczora; gdym jednak oto tu przyszła, przed biurkiem stanęła i na mego Derśława spojrzała, wnet mi z myśli uleciał koncert, wraz z niepowodzeniem.

— Ale mnie on na sumieniu ciąży.

— Nie bądźże pan dzieckiem. Co na sumieniu pana ma ciążyć?

— To, zem się do rzeczy wziąć nie umiał; ponarażałem, poobrażałem ludzi.

— Co tam! Dam koncert drugi i trzeci i poobrażanych do oklasków zmuszę.

Adam zamilkł na to. Nie spodziewał się postanowienia takiego.

— Pan-eś ustawił i nakręcił maszynę — kończyła panna Adelina — ona teraz pójdzie już sama. Chodzi tylko o afisze i o to, ażebym wystudowała baladę Szopena, którą cisnę w słuch melomanom kazańskim. Zasiądę do studyowania dziś jeszcze i będę grała, grała, jutro i pojutrze. Proszę mi nie przeszkadzać—dodała z przymileciem.

— Nie przyjdę — podchwycił Adam.

— Czemu nie? odwiedźaj mnie pan wieczorami, o szarój godzinie, może co się zdarzy do zrobienia lub poprawienia.

— A, tak, poprawiać winien, kto popsuł.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się panna Adelina—przyplątało się ze świata kobiécisko jakieś, usiadło panu na barkach i kłopotów narobiło.

— Kłopoty to rzecz najmniejsza, gdybym był bąków nie nastrzelał.

— Włącznie z tym, któryś pan ustrzelił na koncercie samym.

— Jaktó?—zapytał.

— Syknałeś.

Adamowi do twarzy płomienie uderzyły. Ani wiedział, jakićj dopuścił się herezyi.

— Prawda — rzekł po chwili milczenia, głową kiwając. — O toż ze mnie...

— Wedle zamiarów sądzicie je, podobno w biblii napisano, a pan chciałeś przecie do milczenia zmusić rzesze gadające.

— A! — zawołał, zrywając się i za głowę się chwytając — to już i na koncert pani nie pójdę!

— Panie — tu podeszła panna Adelina i za rękę go ujęła — panie Adamie, sprzeciwiasz się sam sobie. Prawiłeś mi przed chwilą kazanie o umiarkowaniu, a teraz ja to samo kazanie zwracam do pana. Karać mnie chcesz za otwartość moję? Mówię z panem, jak siostra z bratem.

— I wybaczasz mi? — zapytał.

— Z całego, z najszczerzego serca — odpowiedziała z prynciskiem.

Młodzieniec rękę jej, co w dłoni jego spoczywała, do ust poniósł, złożył na niej pocałunek i nie puszczał jej z dłoni swojej. Panna Adelina się ku niemu podała. Zbliżali się ku sobie, jakby ciągnięni siłą nieprzepartą. Przestrzeń piersi od piersi dzieląca zmniejszała się coterceya. Chwileczka jeszcze, a byłaby się artystka znalazła w objęciach Adama, gdyby chwili tej nie uprzędziła rzuceniem się w tył i odskoczeniem nagłym.

Adam, niby wryty, na miejscu pozostał.

Panna Adelina żywo, z niepokojem, krążyć poczęła po salonie, chodziła, chodziła, nagle przed Adamem stanęła i w następujące doń przemówiła słowa:

— Nie, kto sztukę ukochał, ten serce dla innych uczuć zamykać powinien, chociażby miał sam sobie gwałt najsroższy zadawać. Kapłanka sztuki niepokalana być, jak Westalka, musi. Panie Jeżu, chcesz mi być przyjacielem, bratem?

Rękę mu podała. Adam dłoń jej w milczeniu uściśnął.

— Siadaj-że pan — odezwała się, skinieniem mu na krzesło wskazując i sama siedzenie zajmując. — Dawno nie widziałam pani Brawskiej; co staruszka porabia?

— Interesuje się panią żywo.

— Poczciwa kobięcina.

— Bardzo poczciwa — potwierdził Adam.

— Pan roztargniony, jak widzę, idź już sobie, idź — rzekła, rękę wyciągając i tak wyrazom jak gestowi nadając akcent lekko zalotny. — Do widzenia się z panem, do jutra, do wieczora. Spodziewam się, że przez godzin dwadzieścia cztery ochłoniesz nieco i uspokoisz sumienie, sprawiające ci wyrzuty niesłuszne. Jakoś to tam będzie. Rzeczy się naprawią same. Dobranoc!

Bohater nasz na ulicę wybiegł we wzburzeniu, jakiego w życiu nie doznawał nigdy; udał się wprost do domu, ale do domu nie trafił. Zamiast przed pomieszkaniem swoim, zatrzymał się przed drzwiami meczetu i zapytał sam siebie:

— Gdzie jestem?

Od zapytania tego rozważać począł i rozważając, bardzo prędko doszedł do wniosku, że krok,

jaki już... już postawić miał, byłby zburzył i w niewecz obrócił wszystkie zamiary jego. Przyszła mu na myśl chałupa włościańska. Wyobraził sobie w chałupie téj pannę Adelinę, przechodzącą od pisania do grania, od grania do pisania. Ani przypuszczał bowiem, ażeby, gdyby się była w objęcia jego oddała, co innego ztąd wywiązać się mogło, jak postawienie jęj przed ołtarzem na ślubnym kobiercu. Zostałaby małżonką jego i nastąpiłoby jedno z dwojga: alboby ona ustąpić musiała jemu i sztukę zarzucić, alboby on ustąpić musiał jęj i rzec się ideału, który ukochał. Przypuściwszy zaś, iżby jedno ustąpiło drugiemu, w coby wtedy obróciło się pożycie małżeńskie? Czy nie w piekło? Na myśl tę, zimne mrowie po za skórą mu przeszło.

„O, jakże ona dobrze zrobiła!” — zawołał w głębi duszy.

Przyznawał jęj moc ducha większą aniżeli sobie.

„Gdyby nie ona, byłbym zabrnał po same uszy... i...”

Czuł dla nięj wdzięczność nieograniczoną, tém większą, że, porównywając ją ze sobą, widział różnicę ogromną, taką jaka zachodzi pomiędzy dwoma instrumentami, nastrojonemi na tony całkowicie odmienne. On mógł ją podziwiać tylko, jako deskonałość w rodzaju swoim, ale czyby mógł ją pokochać? Pokochać? Próbował analizować miłość, lecz mu to jakoś nie szło; analiza

bowiem, jak skoro ją zaczynał, wnet zwracała się do tego momentu, w którym, trzymając pannę Adelinę za rękę, znajdował się od niej tak blisko, tak blisko, iż ciepło z niej odbijało się o niego i otaczało go atmosferą woni jakiegóś bardzo subtelnej, a w uszach słyszał coś nakształt bębnienia przyspieszonego. Czy i ona doznała tego samego? Nie chyba, gdyby bowiem doznawała, to nie byłaby się zdobyła na moc odskoczenia wtył. To zaś, czego doznawał on, czy była to miłość? I to nie—miłość bowiem byłaby z nim wyszła na ulicę i nie pozwoliła mu rozważać, wglądając w następstwa. Był to więc szal, zawrót głowy, który przyszedł, jak przychodzą gorączki, i przeminął pod wpływem chłodnego powietrza. Niemniej przeto uczuwał dla panny Adeliny sympatyą wielką, którą potęgowała wdzięczność i akcentowało przekonanie o jej wyższości duchowej.

To przekonanie sprawiło, że, ażeby jej dorównać, nazajutrz, pomimo że go do niej ciągnęło, nie poszedł. Byłby nie poszedł jeszcze i w dniu następnym, gdyby nie to, iż mu się wydawało, że potrzebnym być jej może. Jakoż nie omylił się. Na samym wstępie do salonu poznał, że zaszło coś niezwykłego. Zastał pannę Adelinę we łzach.

— Co to? — zapytał ze spólcuciem. — Pani? co się stało?

Chodziła po pokoju i nie odpowiadała. Zwrócił się z zapytaniem do Fanny, lecz gdy ta usta

do dania odpowiedzi otwierała, artystka krzyknęła na nią:

— Fanny, ani słowa! milcz, nakazuję ci!

Dziewczyna odeszła, ramionami wzruszając i pod nosem mruczając.

— Czy wiadomość jaka? czy co?—odezwał się Adam.

Odpowiedzi nie było żadnej.

— Zbytecznym jestem, jak widzę, odejść.

— O! — odparła wreszcie płacząca — gdybyś mnie był na całych dni dwa nie opuścił, toby się to było nie stało.

— Cóż przecie?

— Co! och! Ale co ja panu mówić mam! Czém ja, przybłęda jakaś, jestem dla pana?

— Pozwoliłaś mi siebie uważać za siostrę.

— Gdybyś pan był bratem moim. Och! gdybym brata miała!

— Panno Adelino...

— Gdybym brata miała — ciągnęła, zanosząc się — nie byłaby mnie spotkała obelga.

— Jaka?

— Obelga największa, najcieęższa, jaka szanującą siebie kobietę spotkać może... obelga brutalna...

Adam uczuwać począł w sobie oburzenie, domyślając się czegoś, ale domysłu swego sformułować nie umiejąc. Któs być musiał sprawcą obelgi: kto jednak? Milczał przez chwilkę, wreszcie nagle zapytał:

— Nazwisko jego?

— Książę X.... — odpowiedziała i wnet zawołała:— Ach! cóżem zrobiła!

Adam w chwili téj ochłonął. Oburzenie, jakie go przejmowało, ustąpiło miejsca postanowieniu, które powziął w jedném oka mgnieniu. To go uspokoiło zupełnie. Wstał, poszedł do okna, postać przez minut parę i, zwracając się do panny Adeliny, dobranoc jój powiedział.

— Opuszczasz już mnie pan?—przemówiła.

— Zaszedłem do pani na momencik, w przypuszczeniu że pani potrzebujesz czego. Wszakże to koncert pojutrze.

— A tak, koncert — odrzekła machinalnie, zdziwionym wzrokiem mierząc go od stóp do głowy.

Spokój Adama zdekoncertował ją widocznie.

— Dobranoc pani — powtórzył.

— Dobranoc panu — odrzekła z lekkim w głosie złośliwości akcentem.

Jak skoro za bohaterem naszym drzwi się zamknęły, wnet zjawiała się Fanny.

— A co? — zapytała.

— Postawiłam krok fałszywy — odpowiedziała panna Adelina — rzecz chybiona zupełnie.

— Więc ten bardzo porządny młody człowiek chorągiewkę zwinął?

— Zwinął. Jeżeli mi się zjawi jeszcze, pokażę mu twarz drewnianą.

— Trzeba było młodego księcia w inny wyzyskać sposób.

— Ano — odrzekła z westchnieniem — moja wina. Może się to jeszcze da naprawić.

Nazajutrz, około południa, wśród towarzystwa w Kazaniu zawrzało, niby w kotle, a powodem wrzenia tego był wyraz jeden, który, podawany z ust do ust, krążył po bawialnych pokojach, na ulicach ludzi zatrzymywał, rozmowy wywoływał i przedłużał. Wyraz ten w języku polskim tłumaczy się przez: pojedynek.

Strzelali się: księżę X. z Adamem — o co? — o obelgę, wyrządzoną przez jednego z nich panie Adelinie de Lapotière.

Członkowie towarzystwa mieli do rozwiązania kwestyj kilka: kto wyrządził obelgę? — jaką? — w jaki sposób nastąpiło wyzwanie? — kto wyzwiał? wreszcie: kiedy nastąpi śmierć Adama? Wszystkie te kwestye bardzo były interesujące, ztąd też i ciekawość ogólna nateęzała się stopniowo, coraz to bardziej, zwłaszcza że z kwestyami powyżej wyszczególnionemi łączyła się jeszcze jedna: będzie koncert, czy nie będzie koncertu? W Anglii, z powodu kwestyi tej ostatniej, porobiłoby się zakładów bez liku. Kazańczycy nie zakładali się, ale czekali, afisze czytali i bilety kupowali. Krążyła wieść, że pieniądze za bilety zwracać będzie kasa, więc każdy szedł, w celu przekonania się, czy to prawda i, gdy godzina koncertu wybiła, sala napełniła się po brzegi. Miejsca wszystkie za-

jęto, nie pozostało ani jednego. Ścisk był nadzwyczajny, gorąco ogromne, uwaga wzorowa. Po raz kilka okrywano artystkę oklaskami, rzucano jej na estradę kwiaty, ofiarowano bukietów wspaniałych kilka. Powodzenie było zupełne.

Dodawać nie potrzeba, że koncert następny wypadł tak samo, a nawet lepiej—lepiej pod tym względem, że w chwili ostatniej przy kasie odbywała się na bilety licytacya. Koncert na dobroczynność zasilił kasę ubogich kwotą bardzo pokązną i na żądanie publiczności panna Adelina dać musiała koncert jeszcze jeden, nadzwyczajny, z nadzwyczajną ceną miejsc.

— No i już dosyć — były słowa, któremi po tym ostatnim spotkała ją Fanny.

— Dosyć—była odpowiedź panny Adeliny.

— Powiodło się nam, moja droga, znakomicie. Sztuka ci się udała.

— A jużem zwątpiła. Zdawało mi się, że mnie zawiódł mój człowiek słomiany.

Wyrażenie to stosowało się do bohatera naszego, który tryumfów jej artystycznych świadkiem być nie mógł.

— Od jutra przeto pakujemy się i w drogę.

— Jutro na cześć moje korpus oficerski daje wieczerzę—odrzekła panna Adela.

— A la bonheur. To mi się podoba. Szkoda tylko, że nie mogę w uczcie wziąć udziału i za zdrowie twoje kielicha szampana wychylić.

ROZDZIAŁ XIII.

Próby życiowe.

Najniedomyślniejszy z łatwością domyśli się zapewne, że pojedynek ów stał się reklamą i stał się nią w sposób wcale nie przypadkowy. Sztuka jednak powiodła się: czy dlatego może iż odegraną została w Kazaniu, zdala od świata cywilizowanego? Bynajmniej. Sztuki podobne odgrywają się z powodzeniem i w miastach najucywilizowańszych. Publiczność zna się na nich, białe nici widzi, a mimo-to idzie na lep ciekawości podnieconej. Ciekawość jest-to wszelkich zbiorowisk ludzkich strona słaba, nie do uléczenia. Nadużyta po raz tysiąc, wyzyskać się da zawsze, byle ją zażyć mniej więcej zręcznie.

Bohater nasz posłużył do reklamy za materiał surowy. Potknął się na gładkiej drodze. Wypadki podobne zdarzają się śmiertelnikom, gotowym bliźnim nieść usługi. Mógł mu się zdarzyć wypadek gorszy jeszcze, gdyby go nie broniło to, że

nie uchodził za człowieka bogatego. Gdyby nie to, kto wie czyby nie dostał był kuli u nóg? Tak zaś skończyło się na tem, że dostał kulą w mięśń. I w tym razie szczęście mu posłużyło. Postrzał mógł być śmiertelny, do tego brakowało niewiele: dotknięcie arteryi, która znajdowała się o linijek kilka w bok. Dlatego też lekarz przy pojedynku obecny, jak skoro na ranę okiem rzucił, skrzywił się mocno i rzekł:

— Żle.

Przeciwnik bohatera naszego zgryzionym był wielce.

— Fatalny wypadek! — mówił. — Nie miałem do niego zawziętości najmniejszej, ale... szedł na mnie bez strzelania i po jego krwi zimnej miarkowałem, że byłby przyszedł na odległość taką iżbyśmy chyba lufy pistoletów o czoła sobie oprzeć musieli, więc... chciałem go zatrzymać. Nie mogłem postąpić sobie inaczej.

— Trzeba było mierzyć wyżej — zauważył lekarz, krzątając się z bandażami i instrumentami przy omdlałym Adamie.

— Ha! stało się—książę na to—wypadek ten będą sobie miał do wyrzucenia.

— Kula utkwiała głęboko—prawił lekarz—wymować jęj teraz nie można. Hemorragia nie okazuje się wielką... hm? zobaczymy. Może to jeszcze skończy się nienajgorzej.

Adam odzyskał przytomność w mieszkaniu swoim na łóżku, dopiero, pod okiem lekarza, który

mu z placu bitwy towarzyszył, i gospodyni domu, Niemki, która, z powodu że od lat kilku u niej przemieszkiwał i po niemiecku z nią rozmawiał, wielkie doń okazywała przywiązanie.

Niemka w rozpacz wpadła, gdy go bladego, na płaszczu niesionego, ujrzała.

— O H e r r J e s u!—krzyknęła i ręce załamała.

— Nie pomogą tu krzyki—zreflektował ją lekarz—trzeba chorego starannie doglądać.

— Będę przy nim w dzień i w nocy siedziała.

Lekarz wskazał sposób obchodzenia się z chorym, zapisał receptę, zalecił spokój absolutny i, pocieszywszy Niemkę, oddalił się.

Niebawem zjawiała się pani Brawska. Przybiegła zaniepokojona, wystraszona. Niemka jej w progu zastąpiła i stanowczo oświadczyła:

— Niewolno.

— Ależ ja, Brawska... jam tu u pana Jeża bywała — tłumaczyła się babinka — ja stara, uważam go niby syna.

— Doktor nakazał spokój zupełny, niewolno.

— Jakże mu jest? czy cierpi bardzo? jęczy? stęka?

— Nie stęka, ani jęczy, leży sobie na łóżku i medytuje.

— Gdybym też na niego choć popatrzeć mogła.

— Niewolno.

— Zdaleka. Stanę na progu i okiem rzucę.

— A no... nie wiem. Ale nie, niewolno.

— Więc bodaj przez szparę we drzwiach, albo przez dziurkę od klucza.

Przeciwno temu gospodyni nie miała; przypuściła panią Brawską do drzwi apartamentu Adama i ta przez dziurkę od klucza przypatrywała się mu przez chwil kilka. Wydał się jej straszliwie bladym. Bładość ta przeraziła ją. Pod wpływem przerażenia obeszła parafią całą, naradzając się, czyby też nie wypadało dać znać ojcu o zaszłym wypadku. Że wypadałoby, zdanie we względzie tym jednogłośnie było. Zachodziło tylko pytanie: czy się to już nie stało? Któs widział lekarza w biurze telegraficznem—ztałd powstało przypuszczenie, które się wnet w innych ustach w pewnośc zmienilo, że lekarz posłał generałowi zawiadomienie.

Pani Brawska zachodziła do Adama poraz jeszcze drugi i trzeci, zawsze ze skutkiem jednakowym, to jest z tym, że oglądała go przez dziurkę od klucza; aż nazajutrz rano trafiła na moment, w którym przy nim znajdował się lekarz. Ten pozwolił ją wpuścić. Podeszła na paleach do łóżka i spotkała się oczami ze spojrzeniem Adama, który pozdrowił ją uśmiechem i lekkim głowy skinieniem.

— I godziło się to?—zaczęła, ręce składając.

— A—odpowiedział zamiast chorego lekarz— czy godziło się, czy nie, w téj chwili nie o to chodzi, ale o to, czy się wydobyć da kula. Zobacz-

my. Gdybyś pani zechciała być mi w operacyi ku pomocy, wyświadczyłabyś mi usługę niemałą.

— O i jakżebym chcieć nie miała, panie konsyliarzu!—odrzekła.

— Proszę stanąć, ot tu—miejsce jęj wskazał— i trzymać.

Dał pani Brawskiej w ręce szarpie i bandaże, kazał Niemce przynieść wody i ręczników kilka i przystąpił do operacyi. Pokazało się, że potrzeba ciało rozcinać. Staruszka, gdy się o tém dowiedziała, uczuła zimno w sobie; trzymała się jednak odważnie; jeno na widok noża oczy zamykała.

— Możeby zachloroformować pana?—zapropnował operator.

— Nie trzeba—odrzekł Adam spokojnie.

— Krajałbym wtedy, jak... w modelu woskowym—dodał lekarz.

— Jak w trupie, powiedz pan raczej—odparł Adam.

— Są wyrazy pewne, których się nie wymawia przy chorych. Jednakże obrachuj się pan z siłami: wytrzymasz?

— Wytrzymam.

— I nie będziesz pod skalpelem ani skoków czynił, ani drgnień się dopuszczał?

— Chyba mimowolnie.

— Ano... w razie takim... w imię Boże... Obróć się nieco, więcej, jeszcze więcej, tak...

Przystąpił do operacyi. Pani Brawska nie widziała takowej, pomimo że dałaby za to wiele;

bardzo wiele, ażeby ją oglądać mogła, a to dlatego bodaj, ażeby po domach polskich opowiadać o czém miała. Cóż jednak! Oczy otworzyła niepiérwój, aż rzecz główna ukończoną została i pozostawało tylko ranę obmyć i obwiązać. Ze strony Adama ani stęknięcia, ani nawet westchnienia nie słyszała. Przeciwnie, rozmawiał z lekarzem swobodnie, dając mu odpowiedzi na zapytania, odnoszące się do uczucia, sprawianego przez sondę i szczypce. To tylko słyszała, więcéj nie, i wzdychała za niego.

— Ach, panie Jeżu! panie Jeżu! — zawołała po odejściu lekarza — jakież z ciebie człowiek!

— No? alboż co!

— Toć ja, Boże mój! za żadnym światem skarby nie pozwoliła nożem sobie żywe krajać ciało.

— Jeżeli trzeba, to trzeba — odparł Adam.

— A toż przynajmniej krzyczałabym wniebogłosy.

— Cóżby to pomogło?

— No... nie... Nakrzyczałabym się i tyle. Miałabym satysfakcyą jakąś. Ty zaś.. aniś pisał.

— Cóż tam słychać? — przerwał Adam.

— W mieście nie mówią o niczem inném, tylko o tobie. Trzebaż to było narażać się na gadanie takie!

— Niesposób było inaczej. Kobieta bez obrony, bez opieki.

— Tak, to prawda. Tyś postąpił sobie bardzo szlachetnie, kochanie, ale... zdaje się... że panna Adelina mogła była, gdyby chciała, nie dopuścić tego.

— Ona o pojedyнку nie wiedziała nic zgoła— wtrącił chory.

— Nie o pojedyнку mówię, kochanie—odparła pani Brawska. — Pojedynek, było to następstwo obelgi. Kobięta, która chce być szanowaną, szanowaną jest. Owóż w tym sensie ja myślę, iżby ta panna pojedyнку mogła była nie dopuścić.

Adam nic nie odpowiedział na to, nie bowiem do odpowiedzenia nie miał. Po stronie staruszki znajdowała się słuszność, wobec której można było artystkę tłumaczyć, ale nie usprawiedliwiać. Jako tłumaczenie służyło jęj wychowanie, mające na celu czynienie z płci pięknej wystawy i prowadzące prostą drogą do lekkomyślności w życiu. To ją usprawiedliwiało do stopnia pewnego. Tłumaczenie to atoli, aczkolwiek Adamowi na myśl się nasuwało, wydawało mu się ubliżającym istocie, o której mocy ducha powziął wyobrażenie wysokie. Wolał przeto ani jęj potępić, ani tłumaczyć, i dlatego na uwagę staruszki odpowiedział milczeniem.

Pani Brawska do powiedzenia powyższego dodała jeszcze słów kilka.

— A koncert?—przerwał Adam.

— O koncercie jedni mówią że się odbędzie, drudzy że nie. Afisze jednak poprzyklepiane na wszystkich rogach ulic.

— Hm — mruknął chory pod nosem, nie wiedząc jaką sformułować sobie opinią, co do właściwości dawania koncertu w tój chwili.

— Czytałam sama afisze—dodała pani Brawska—zapowiadające koncert na dziś.

— Ona zapewne nie wie o tém co zaszło—zauważył Adam.

— I jakżeby wiedzieć nie miała! W mieście gadają, jakby w bęben bito.

— Gdyby wiedziała, toćby... przecie—począł się jąkać—choćby nie przysła sama... to... możeby... do mnie... przysłała kogo.

— Nie przysłała nikogo? — zapytała kobieta zdziwiona.

— Nie wiem. Niemka wie co może.

— O, tak... przysyłać musiała, tylko Niemka nie puściła. Jam także wczoraj przychodziła razy kilka i odprawianą byłam z niczém. Zapytam.

Wyszła i po chwili wróciła z uwiadomieniem że od panny Adeliny nie dowiadywał się nikt.

— A no... w razie takim studjuje swój koncert i nie przyjmuje nikogo, Fanny zaś, chociaż się jęj o uszy gadanina obija, ale nie rozumie. Tém lepiej. Może też to ściągnie jęj słuchaczy; byle tylko kto z usłużnych nie uwiadomił jęj w chwili ostatniej.

— Ale ty, kochanie, gadasz za dużo — zauważyła pani Brawska. — Lekarz zalecił ci spokój... słuchaj-że lekarza.

Adam dłonią zlekka kiwnął i głową skinął.

Staruszką po chwili zapytała:

— Czy ojciec twój odpowiedział, kiedy przyjedzie?

— Nie spodziewam się ojca.

— Zawiadomionym jest przecie.

— Przez kogo? nie przezemnie. Jam go nie zawiadamiał.

— Mówiono jakoby lekarz telegrafował.

— Wątpię. Zapytywał mnie, ale prosiłem ażeby niepotrzebnie rodziców moich nie niepokoił.

— Jak też to ludzie, mój Boże, wiedzą niby o wszystkiem, a nie wiedzą o niczem!

Posiedziała jeszcze, prawiała o tém i o owém i wstała.

— No, pożegnaj już chyba ciebie, kochanie... do widzenia.

— A niech tam pani łaskawa dowie się czego o koncercie.

— Dowiem się, napewno... i zajdę tu razy kilka jeszcze. O południu i nad wieczorem ranę ci przewinę. Bądź-że mi zdrów i spokojny!

Pani Brawska odwiedzała bohatera naszego co godzin parę, nic mu jednak stanowczego, co się koncertu tyczy, donieść nie mogła. Nad wieczorem, gdy mu ranę przewinęła, poprosił jęj, ażeby z biurka bilet wyjęła.

— Weź bilet ten, pani łaskawa, i idź na koncert.

— Ja? — zawołała babina, a oczy jej zamigotały.

— I po koncercie odwiedź mnie.

— O, odwiedzę z pewnością, chociażby to miało być jaknajpóźniej.

Obietnicy dotrzymała, sprawy atoli zdać nie mogła, zastała bowiem bohatera naszego pogrążonego we śnie. Budzić go nie chciała i nie mogła. Odłożyła sprawozdanie na dzień jutrzejszy, lecz znów zaszła przeszkoda. Adama z nocy jeszcze opanowała gorączka, którą zazwyczaj zranienie sprowadza — znajdował się w stanie nieprzytomności i bredził, staruszka więc, pomimo wielkiej ochoty do gadania, musiała takowe odłożyć na później. Gorączka trwała przez dni trzy, po niej nastąpiło osłabienie—rana goiła się znakomicie, oczyściła się, zabliznić się poczęła i wrychle nastąpił moment, w którym choremu powróciła przytomność umysłu zupełna. W momencie tym pierwsze zapytanie, jakie pani Brawskiej zadał, było:

— Cóż tam panna Adelina... wyjechała już zapewne?

— Ale gdzież tam!—była staruszki odpowiedź—tryumfy!... owacye!...

I opowiadać poczęła naprzód o tym koncercie, na który od Adama bilet dostała, następnie o dwóch innych, o których wiedziała ze słyszenia,

a wkońcu o tym, co ma być danym na żądanie powszechnie publiczności kazańskiej.

Adam wysłuchał całego tego długiego nieco opowiadania w milczeniu. Narratorka zakończyła konkluzją następującą:

— Wszyscy powiadają, że powodzenie to zawdzięcza ona tobie.

Adam ramionami lekko wzruszył.

— Odwiedzasz ją pani?—zapytał.

— Zachodziłam do niej raz kilka, ale... Francuzka nie puszcza.

— Pracuje zapewne... pisze, studjuje.

— Oho... drzwi się u niej, słyszę, nie zamykają, tylko nie dla mnie: jam jej już tak potrzebna, jak nie przymierzając, psu piąta noga.

Adam, uśmiechnąwszy się na obrazoweto przyrównanie, rzekł:

— Zkądżeby się tylu odwiedzających wziąć miało?

— Oficerowie najwięcej... widziałam sama... Przyszłam razem z trzema: Francuzka mi schody pokazała, im zaś drzwi otworzyła.

Adam sobie dłonią czoło potarł. Poczyniała mu w głowie świtać ta myśl, że się dał na dudka wystrychnąć. Bądź jednak przez miłość własną, bądź też w przeświadczeniu o mocy ducha artystki, powzięcie konkluzji ostatecznej odkładał na później, do czasu nieograniczonego, do jakiejś sposobności nadarzyć się mogącej. Uznawał się za niepotrzebny już pannie Adelinie i narzucać

się jęj nie myślał, a przytém czuł do nięj żal niejaki. Przez ciąg całej choroby jego nie dała znaku najmniejszego, ażeby ją stan jego obciążał.

Kiedy dawała koncert ostatni, pożegnalny, stan jego polepszył się już tak znacznie, że mógłby na koncert ów pójść. Nie poszedł jednak. Nie mógł wszakże przemódz na sobie tego, ażeby nie myślał o nięj, przedstawiając sobie sytuacye, w jakich się ona znajdować może. Wyobrażnia przedstawiała mu ją w otoczeniu świetnej młodzieży, słuchającej wykładów jęj o wyżynach sztuki, o namaszczeniu kapłańskim artysty, o westalstwie artystki.

— To dobrze—mówił sam do siebie — to otoczenie, to jęj świat... ona w nim wzrosła i w nim na miejscu znajduje się swoim, szérząc i gruntując pojęcia o pięknie.

Upatrywać w nięj chciał koniecznie dobrą stronę, którą potęgował przeświadczeniem o jęj mocy ducha, i dla tęg dobrej strony zapragnął widziéć się z nią jeszcze. Przecież odjeżdżać musiała. Wiéć przed odjazdem, na chwilkę, czuł się w prawie złożyć jęj przynajmniej życzenie podróży pomyslnęj.

Na drugi dzień po koncercie pożegnalnym wybrał się do nięj wieczorem.

Do przedsieni wyszła naprzeciw niego Fanny, ze świecą w ręku i, gdy go ujrzała, zanim on usta otworzył, oznajmiła mu z przyciskiem:

— Pani mojęj w domu niema.

— Gdzież jest?—zapytał, niechęć prawie.

— Na bankiecie—odpowiedziała z przyciskiem tym samym.

Rzuciwszy odpowiedź tę, drzwi zamknęła z trzaskiem.

— O! — rzekł Adam sam do siebie, uczuwszy w sobie niejaki krwi zawrzenie.

Sala bankietowa znajdowała się w hotelu na dole. Ze schodów zeszedłszy, zawahał się Adam na chwilę, poczem, zamiast wyjść na ulicę, zwrócił się we drzwi na prawo, przeszedł przez salon jadalny, w którym przy stolikach oddzielnych wieczerali goście wedle spisu potraw i, minawszy jeszcze gabinet przyległy, stanął na progu drzwi otwartych, wobec widoku bankietu, znajdującego się w momencie rozwoju pełnego. Stół długi, przyozdobiony w bukiety i w piramidy ciast, otoczony był przez towarzystwo mężczyzn, odzianych w mundury błyszczące. Tu i owdzie, niby plama na tle świetlaném, widzieć się dawał frak czarny. Siedzenie środkowe zajmowała, w suknię jasną ubrana, dekoltowana, à la diable m'empporte utrefiona panna Adelina.

Gdy się nasz Adam na progu zatrzymał, w tej chwili właśnie panna Adelina z siedzenia powstała, obnażoną po ramię ręką kieliszek z szampanem dogóry podniosła i zdrowie jakieś wygłosiła. Na hasło to, zerwali się z miejsc wszyscy. Nastąpiło trącanie kieliszków o kieliszek artystki, która, wychyliwszy swój, krople na dnie pozosta-

jące bryzgnęła w oczy siedzącemu naprzeciw niej współbiesiadnikowi. We współbiesiadniku tym, przyjmującym ultra-poufały żart koncertantki ze śmiechem, poznał Adam pojedynkowego przeciwnika swego.

Na widok ten, przez usta bohatera naszego przewinał się uśmiech złośliwy. Wykonał na miejscu na lewo w tył i odszedł. Idąc ulicą, myślał i rezultatem myślenia było powiedzenie następujące:

— Jakież szczęście, że się to tak wszystko skończyło!

Skończyło się, w rzeczy samej. Panna Adelina, wykręślona z rachunków, odnoszących się do przyszłości życiowej, pozostała w rachunkach ubiegłych jako cyfra, zaznaczona mianownikiem doświadczenia. Dał się wyzyskać — to prawda, i o mało życiem nie przypłacił; poznał wszakże, iż w łonie społeczeństwa krążą indywidua, pełniące funkcję legendowych upiorów, gotowe, dla korzyści własnej, narażać bliźnich na nieszczęścia największe. Podług zdania ludzi niektórych, ma się w sposób ten wyrażać walka o byt. Zapewne, wyraża się ona i w sposób taki, lecz gdy do niej stają skłonności złe, do kielznania i neutralizowania których ludzkość podąża ustawicznie. Złe skłonności nie mają w społeczeństwie ludzkim pierwszeństwa, i słusznie — nie należy się im ono.

Bohater nasz dostał nauczkę, za którą nie za-
zbyt drogo zapłacił. Rana mu się zablizniła i za-

goiła, zdrowie powróciło prędko, ślady fizyczne wypadku znikły prawie, a pozostało tylko wspomnienie niemiłe, szepejące w głębi duszy, niby memento mori: „Miěj się na ostrożności z czarodziejkami! Pod postacią anioła występuje niezradko... awanturnica.” Przestrożę tę zakarbował sobie i wziął się nanowo do przerwanych chwilowo studyów dodatkowych.

Nie sądzono mu jednak było studyom oddawać się długo.

Poranka pewnego otrzymał telegram, a w nim następujące wyczytał wyrazy:

„Przybywaj jaknajprędzėj, matka ciężko chora. Stanisław Jeż.”

Niepóźniej jak w godzinę po otrzymaniu tėj wiadomości, siedział na wózku pocztowym i pędził co konie wyskoczyć mogły. W dniu następnym znajdował się już przy łóżku matki, która na widok jego uradowała się wielce i wpatrywała się weń z tą miłością, z jaką wpatrują się matki umiérające.

— Bądź o przyszłość swoje spokojnym — powtarzała kiedy niekiedy.—Ja spokojna... widzisz... Nie miěj do ojca żalu... nie skrzywdził cię dla sióstr.

Widocznie radaby była powiedzieć mu o co chodzi, lecz tajemnicą skrépowana, mówić mogła jedynie w ogólnikach, rzeczy niewyjaśniających.

Adam żalu do ojca nie czuł najmniejszego, owszem, w rozporządzeniu ojcowskiém upatrywał

dowód zaufania, w odniesieniu do wartości jego. Zaufanie musiało być wielkiem, kiedy mu dawa środki małe. Środki te uważał za więcej, aniżeli wystarczające dla siebie. Czyż nie zrobił obrażunku ścisłego? Zalecenia więc matczyne, odnoszące się do żalu do ojca, wydawały się mu zbyt uczynnymi; zato brał naseryo zalecenia, tyczące się osoby ojcowskiej.

— Gdy umrę — mówiła — nie odstępuj ojca... bądź przy nim.

Miało to znaczenie podwójne: jedno stosowało się do Adama, jako do spadkobiercy, drugie do syna. To ostatnie tylko trafiło do przekonania jego, i dlatego to, po śmierci matki, z taką łatwością przyjął propozycją ojca pozostania przy nim. Pojechał tylko do Kazania, zabrał swoje książki, noty, instrumenta i modele, pożegnał znajomych, dla pani Brawskiej na pamiątkę zaniósł sztuk kilka odzieży matczynój, rozstał się z nią błogosławieństwem jej osłonięty i powrócił.

Życie jego przy generale przybrało regularność zegarkową i byłoby straszliwie nudnem, gdyby od nudów nie znajdował ucieczki w książkach. Generał proponował mu dwie rzeczy: etatowe zajęcie w kancelaryi swojej, dające prawo do awansu, i klub. Podziękował i za jedno i za drugie. Nie ciągnęło go serce do pierwszego; co się zaś klubu tyczy, czuł zawsze wstręt tak do wszelkich wistów, preferansów etc., jakoteż do szachów, warcab, triktraków i t. p. Pozostał więc z książka-

mi i myślami, kombinował jedne z drugimi; w dni pogodne używał przechadzki, połączonej z obserwowaniem robocizn rolnych, których z oka nie spuszczał nigdy; niekiedy polował lub ryby łowił, botanizował, kamienie zbierał, pokłady geologiczne analizował. Z ojcem schodził się przy stole i rozmowa, jaka się niekiedy pomiędzy nimi zawiązywała, zawsze była powierzchowną. Generał nie nigdy synowi poważniejszego nieco do powiedzenia nie miał.

Ciągnęło się to przez miesiące kilka. Razu pewnego wyszedł Adam rano do herbaty i ojca nie zastał. Udał się do sypialni jego — leżał w łóżku.

— Co wam, ojcze?

— Ej—stęknął—nie domagam cós.

— Lekarza wezwać może?

— A może... jeżeli mi się nie polepszy... Kto wie, czy to nie początek końca.

— I... co znów! Byliście wczora tacy zdrowi.

— Czujęm ja i wczora jakieś niby doleganie, ale myślałem że to przejdzie.

Pił stary rumianek i zażył na cukrze kropel miętowych; około południa jednak trzeba było posłać po lekarza, który, zbadawszy puls i popatrzywszy na język, zapewnił że groźnego nie ma nic.

— Nie chciałbym jednak chorować długo.

— Radzę wszakże w łóżku dni parę poleżeć.

General leżał dni parę i zamiast polepszenia, pogorszało mu się. Zbladł, zżółkł, oczy mu wgląb powpadały.

— Ej, źle chyba ze mną -- przemówił do lekarza.

— Nie, gdy złe przejdzie, dobre nastanie.

Dobre jednak nie nastawało, a złe wzrastało.

Adam przesiadywał przy ojcu, czytując mu gazety. Raz, gdy czytać zaczął, stary się zakaszlał, zaszedł, zmęczył i, uspokoiwszy się, dał synowi ręką znać, ażeby blisko obok niego usiadł.

— Sięgnij ręką pod poduszkę i wyjm ztamtąd klucze.

Adam ręką sięgnął i klucze wyjął.

— Schowaj je do kieszeni.

Schował.

— Słuchaj—odezwał się po chwili.— Ja może już umrę tym razem.

— Ależ, ojcze — zaprotestował Adam.

— Ha, przytrafić mi się to może; czuję śmierć w sobie, do gardła mi się dobięra, kanalia, a z nią nie żarty: zdusi i basta. Otóż posłuchaj ty mnie: masz klucze, to znaczy masz wszystko. Po śmierci mojej ty nie idź na mój grób, taka wola moja. Zakazuję ci tego, rozumiesz?

Wyrazy ostatnie wymawiając, patrzył na syna wzrokiem surowym.

Adam czuł w sobie boleść jakąś nieopisaną.

— Pogrzebią mnie obok matki twojej, ale ty nie idź na mój grób. Idź — tu wpół się na poduszkach podniósł, rękę wyciągnął i palcem w przestrzeń wskazał — na grób dziada twego, dziada twego rodzonego, i uklęknij na nim i pomódl się i ziemię świętą pocałuj.

Surowo, poważnie brzmiały wyrazy starca. Adam pierwszy raz w życiu słyszał go przemawiającego w sposób taki.

— Ziemię świętą — powtórzył — gdy się w nią wsłuchasz, to ona przemówi do ciebie, wsłuchaj się w nią tylko na grobie dziada twego, do którego drogę wyczytasz w dokumentach, spoczywających pod kluczem w biurku mojem. Po śmierci mojej sprzedaj wszystko, wszystko i wyjeżdżaj natychmiast, nie oglądaj się poza siebie.

— Ojciec — zawołał Adam — wy jeszcze żywi i zdrowi będziecie.

— A — machnął generał ręką — do gardła się dobięra, zdusi.

Zakaszłał się znów mocno.

Adam strwożony posłał po lekarza, któremu, spotkawszy go w sieni, opowiedział, jak ojciec o śmierci mówi, oczekując jej w gardle.

Lekarz głową pokiwał.

— Tegom się obawiał — rzekł. — Chciałem chorobę zlokalizować, nie udało się mi.

-- Możeby konsylium.

— Zobaczymy; jeżeli jest jeszcze szansa ratunku, sam o konsylium poproszę.

Wszedł do pokoju chorego, ucho mu do piersi i do krzyżów przykładał, pukał, słuchał, medytował, bicie pulsu wedle zegarka liczył i, od łóżka odstąpiwszy, następujące wyrazy w ucho Adamowi włożył:

— Żadne konsylium już tu nie poradzi, nastąpi serya kaszłów, przyjdzie krizys i koniec. Zwolanie przeto kilku kolegów moich pozostawiam woli pańskiej. Powtórzą panu to, co ja mówię.

Mimo to Adam konsylium zwołał. Przepowiednia lekarza sprawdziła się co do joty. O godzinie drugiej po południu generał, w kaszlu gwałtownym, życie zakończył, powtarzając synowi wyrazy:

— Grób dziada... grób dziada...

Stanisław Jeż pochowanym został obok żony, daleko, bardzo daleko od tego miejsca, w którym stała kolébka jego.

Na Adama ostatnie ojca wyrazy taki wywarły wpływ, że odprowadziwszy zwłoki jego na cmentarz, ukląkł, podczas kiedy je do grobu spuszczano, na mogile matki, pochylił się, słów kilka po cichu przemówił, wstał i, nie oglądając się, do domu, w którym z rodziny całej sam jeden pozostał, powrócił. W stronach tych nie miał już ze swoich nikogo.

ROZDZIAŁ XIV.

Na grobie chorążego.

Do biurka nie śpieszył się. Po śmierci ojcowskiej poczekał dni parę i dopiero przeglądać począł papiery. Znalazł je w porządku wzorowym, w pakiety poskładane, szpagatem pozwiązywane i w etykiety pozaopatrywane. Na jednej z etykiet figurował nadpis: Ksawery Jeż, dziad Adama Jeża. W pakiecie tym znajdowały się dokumenta, dotyczące się spadku majątkowego. Do nich przyłączony był akt, natury czysto prywatnej, zawierający tłumaczenie się generała z tego, że spadku w posiadanie nie objął. Styl aktu tego, zawiły mocno, wyrażał myśl tę, że w odniesieniu do łańcucha tradycji, przywiązanego do Hrynek, Stanisław uważał siebie za ogniwo złamane. Miejsce ogniwa złamanego zająć miało całe, w osobie Adama. Stanisław nie poczuwał się do prawa, wziętego w sensie moralnym, i dlatego prawo, jakie mu kodeks przyznawał, przelał cał-

kowicie na syna, pozostawiając w Hrynenkach rzeczy w tym stanie, w jakim je chorąży zostawił. Wchodził tu jeszcze wzgląd i na ciotkę staruszkę, której spokoju mieć nie chciał, jakoteż wzgląd na Jana, którego Adamowi odszukać i z którym, gdyby się przy życiu znajdował, porozumieć się zalecał. Osobę swoją uważał za rodzaj zawady; dlatego-to za życia nie przedsiębrał nic, chcąc zdać rzecz całą na syna. Wogóle w myśli przewodniej, jaką ów akt wypowiadał, odzywał się akcent mistycyzmem nacechowany, a poczuwaniem się do winy podszyty. Adam odczytywać go musiał po razy kilka, zanim sens onego zrozumiał; gdy zaś zrozumiał, ojciec przedstawił się mu ze strony z której go nie znał—poczuł dla niego cześć i pociąg pójścia na grób jego świeży, w celu pokłonienia się tej ziemi, co zwłoki jego okrywała. Nie śmiał atoli przekroczyć woli jego przedśmiertnej.

W dni kilka później zajął się wysprzedawaniem ruchomości. Rzecz tę powierzył urzędowi, zajmującemu się licytacjami—ten regestr spisał i sporządził detaksacją sprzętów wszystkich, z wyjątkiem książek, przyborów naukowych i narzędzi matematycznych, które poszły do pak osobnych. Na niektóre z przedmiotów znaleźli się kupcy, co je z wolnej nabyli ręki, inne z publicznego sprzedane zostały targu. Temuż losowi uległy i nieruchomości: dom z ogrodem, łąka za miastem i futor w lesie. Sprzedawano to wszyst-

ko przy odgłosie bębna przez dni trzy; Adam zaś ze swojej strony układał się o transport pak, które wysłał drogą kupiecką, pod adresem własnym, w Hrynenkach. Złatwiwszy się ze wszystkiem, pocztę wziął i udał się do stacyi najbliższej kolei żelaznej, do której podróż odbywał częścią lądem, częścią wodą. Dostawszy się na kolęj, pomknął lotem pary z północy na południe, zatrzymawszy się raz tylko na dobę całą w Kijowie. Z Kijowa, ciągiem jednym, dojechał do stacyi najbliższej od Hrynenek. Na stacyi tej przesiadł się na wózek pocztowy i ruszył tym samym traktem, którym przed laty wracał Jan, także na wózku pocztowym, po ukończeniu nauk uniwersyteckich. Różnica tkwiła w tém, że tamten wracał do miejsca znajomego mu doskonale, ten zaś przybywał do świata, o którym wiedział z podań tylko i opowiadań—gdzie nikt nań nie czekał, nikt go nie wyglądał, gdzie stanie w charakterze przybysza obcego i, kto wie, obcym może nazawsze pozostanie. Myśli te trapiły go drogę całą, najmocniej atoli gdy już dojeżdżał. Dojeżdżał i—nierad był temu. Zapytał jemszczyka:

— Daleko Hrynenki?

— Ot tu, za górką—odrzekł zapytany, na drogę wskazując.

Na konie emoknął i te się zdołu pod górę niby charty wyciągnęły, unosząc wózek, z którego odsłonił się przed oczami bohatera naszego widok wsi rozległej, nad stawami rozrzuconej, w zie-

leni sadów utopionój. Na tle zieleni odbijały: cerkiew o trzech wieżach blachą pobitych, dwór pod strzechą słomianą, gospodarskie zabudowania i młyn. Adam wszakże od pierwszego okarzut przedmiotów pojedynczych odróżnić nie umiał; całość przedstawiła się mu mętnie; widział tylko zieloność, utkaną rzutami jakimiś i rozłożoną nad szybą wodną, wyglądającą tu niby jezioro, owdzie niby rzeka.

— Oto Hrynenki—rzekł jemszczyk i zapytał: —Do dworu, czy do karczmy?

Adam nie spodziewał się zapytania podobnego. Nie wiedział co odpowiedzieć. Dokąd miał zajechać—do karczmy, czy do dworu? Zwłóczył z odpowiedzią, namyślając się, a wózek pocztowy pędził tymczasem śród łąnów obszernych, na których właśnie odbywały się żniwa. Na żniwiarzy wiatr kurzawę zpod kół odnosił i ci stawali i oglądali się, wskazując na podróżnika palcami lub sierpami. Łany ciągnęły się do kołowrotu, do którego niebawem wózek dobiegł i zatrzymał się. Wrota były zamknięte. Do otwierania wrót poskoczyło dzieci wiejskich kilkoro, co nieopodal kopce z kurzu usypywały. Jemszczyk zapytał znów:

— Do karczmy, czy do dworu?

Gdyby zapytał był jak poprzednio: do dworu, czy do karczmy—Adam niezawodnie byłby kazał do karczmy jechać. Kazał jednak zajeżdżać do dworu, dlatego że jemszczyk porządek wyrazów

zmienił i niejako w usta Adamowi wsunął: „do dworu.” Jemszczyk lejece zebrał, na konia emoknął, lotem spuścił się na groblę, lotem przez groblę mimo młyna przepędził i w chwilę później, z kół turkotem i dzwonka pocztowego hałasem, wjechał na podwórzec obszerny, wgłębi którego wznosił się starością pochyłony dom mieszkalny.

Dom ten—jużem go raz opisywał. Od czasu onego, do którego się poprzedni mój opis odnosi, upłynęło nad nim ćwierć wieku z okładem. Pozostał jednak takim, jak był: ten sam ganek na słupach, te same ściany, te same okna, i strzecha i kominy—wszystko to samo, tylko zesędziwiało, zgrzybiało. Adam nie znał go dawniej, różnica przeto pomiędzy tém co było, a tém co jest, nie miała dlań znaczenia najmniejszego. Nie patrzył jednak na dwór ten bez wzruszenia, jakie sprawiało w nim poczucie się do obcości w tém miejscu. Z bijącym więc sercem wysiadał z wózka, wchodził na schody, wkraczał do sieni. W sieni spotkała go kobieta lat pięćdziesięciu, odziana jak się odzieżają dworki na Podolu, w koszulę i spódnice. Na obliczu jęj malowało się przerażenie niejake. Mierzyła przez chwilę okiem od stóp do głowy okrytego grubą warstwą kurzu przybysza i zapytała:

— Czy pan wielmożny do pana Bublewicza, czy do naszej jęjmości?

Do pana Bublewicza? do jęjmości?—Adam nie rozumiał, co zapytanie to znaczy. Bublewicz—

nie wiedział kto to taki. Wyraz „jójmość” był mu nieznany. Na zapytanie przeto odpowiedział zapytaniem:

— Wszak to Hrynenki?

— A jużci—odpowiedziała kobieta.

— Więc tu mieszka... panna Jeżówna?

Dźwięk głosu jego i ogólny wyraz postawy ośmieliły snadź kobietę. Odpowiedziała:

— Tu nie mieszka panna, ale jójmość nasza... jójmość...

— Jakże się nazywa?

— Nazywa się... no... jakże? jójmość... My ją tak tu nazywamy wszyscy.

Zmiarkowała się snadź jednak, że wyraz jójmość nie jest to ani imię, ani nazwisko, wnet bowiem dodała:

— Jeżeli wielmożny pan nie do pana Bublewicza, to proszę się z jójmością samą rozmówić.

Rzekłszy to, na drzwi ręką wskazała.

— Niechże się pierwój z kurzu otrzepię—rzekł Adam i począł nogami tupać, wstrząsać się i rękami po odzieży zprzodu i ztyłu uderzać.

Kobieta znikła tymczasem za temi drzwiami, które gościowi wskazała.

Otrzepawszy się nieco, Adam drzwi wskazane otworzył i próg przestąpiwszy, znalazł się w izbie obszernój, dosyć jasnej, o podłodze popaczonej i w miejscach niektórych mocno nadpsutój, o suficie drewnianym, o ścianach białych, zaopatrzonój w sprzęty drewniane, noszące na sobie ślady

używania dawnego. Pod jednćm z okien stał stolik, a przy nim krzesła z poręczami skórą obite. Z krzesła tego za wejściem Adama podniosła się staruszka, odziana w suknię koloru ciemnego, na głowie czépiec pod brodę wiązany i umbrella zielona. Kobięta służebna stała z drugieję stolika strony. Adam do staruszki podszedł i zaczął:

— Czy mam zaszczyt witać pannę Ewę Jeżównę?

Staruszka ucho nadstawiła.

— Głośniej, panie—rzekła głosem drżącym—głośniej, i na ucho sobie palcem wskazała.

— Czy mam zaszczyt przemawiać do panny Ewy Jeżowny?—powtórzył.

— Tak, panie... tak... do usług... jestem Ewa Jeżówna.

— Mam zaszczyt przedstawić się: Adam Jeż.

— Co? co? — zapytała, podnosząc się niby i oczy w przybysza wlepiając.

— Adam Jeż—powtórzył.

— Chryste Panie!—zawołała staruszka—Adam Jeż! Zkądże Adam?... Dlaczego Adam?...

Przygasłe jęć oczy błyszczyć poczęły, pomarszczona twarz ożywiła się.

— Syn Stanisława—dodał.

— Syn Stanisława! wnuk mój! piérwszy wnuk!
o Boże!

Ręce drżące dogóry wyciągnęła, poskoczyła, szyję Adama ramionami otoczyła, do piersi go cisnęła, policzki i czoło pocałunkami goręcemi mu

okrywała, płakała, śmiała się i ustawicznie, raz ciszżej, znów głośniej powtarzała:

— Wnuk, wnuk, wnuk, Ksawerego wnuk rodzony, wnuk, o Boże!

Zdawało się, że wyraz „wnuk” zawierał w sobie jakiś urok, który ją porwał, uniósł, ożywił, rozrzewnił i zachwycił. Długo młodego człowieka z objęć nie puszczała, aż zmęczona, ręce zeń zdjęła i na krzesło się osunęła. Po policzkach jej płynęły łzy. Pozostawała czas jakiś w stanie nieruchomości, z której wyszła, zwracając się do niewiasty służebnej:

— Podaj mi laskę, Jeryno... poprowadzę wnuka na grób dziada.

— Co jęjmość łubka?—odezwała się kobieta, rękawem sobie oczy z łez obcieraająca.

— Laskę mi podaj. On—oczami na Adama wskazała—pokłonić się powinien przedewszystkiem popiołom dziada... dziada swego rodzonego. Pójdzie na grób... grób to mówiący... Spiesz-że się Jeryno z laską!

Jeryna laskę podała; staruszka się z krzesła dźwignęła i na kiju się opierając, trzęsąca się, pochyłona, ku drzwiom posunęła.

Napróżno siliłbym się opisywać wzruszenie, jakiego doznał nasz Adam. Rozrzewnienie przejmowało go nawskróś i stanowiło niejako ton, którym on, niby instrument, nabrzmiały był całkowicie. Szedł obok staruszki, pośpieszającą prędzej aniżeli by się tego po wieku jej spodzió-

wać było można. Panna Ewa prowadziła go ścieżkami i niebawem wyprowadziła na wygon, w głębi którego ukazał się przybytek umarłych. Przybytek ten wyglądał zdaleka niby ogród, otoczony rowem porośłym licyną. Za rowem widzieć się dawały drzewa, rozrzucone w nieładzie dokoła wianka topoli, zajmującego mniejwięcej środek cmentarza. Z pomiędzy drzew przeglądały krzyże; jeden tylko znajdował się wysoki, z wyrzeźbionym z drzewa Chrystusem, ukrzyżowanym, przykrytym zgóry daszkiem blaszanym. U wniścia obok wrót stało zabudowanie bez okien i bez komina—kostnica.

Babka z wnukiem przez wrota weszli na cmentarz. Staruszka ścieżką udeptaną puściła się pomiędzy mogiłki wprost ku topolom i doszedłszy do takowych, obejrzała się. Obejrzała się dla sprawdzenia snadź, czy podaży wnuk za nią. Ujrawszy Adama, postąpiła kroków kilka i uklękła.

Adam ukląkł obok babki.

Oboje pochylili się ku ziemi.

Adam, pod wpływem snadź wzruszenia, jakiego opanowało w Hrynenkach, a odpowiadało tak dokładnie przedśmiertnym wyrazom ojca, opuścił ręce, zniżył ciało i przyłgął ustami do ziemi, tworzącej w tém miejscu wyniosłość niewielką, porośłą gęsto murawą. Na środku wyniosłości téj wznosił się prosty krzyż czarny. O jedną z topoli opierała się ławeczka darniowa.

Na ziemi leżąc, bohater nasz uczuł w piersiach ciśnienie, które się w nim podnosiło, a któremu odpowiadał głuchy jakiś gwar, odzywający się w głębi grobu. Łzami mu się napełniły oczy, chciał westchnąć—załkał i leżał, w trawie oblizczem utopiony—i leżałby tak Bóg wie jak długo, gdyby nie uczuł na ramieniu oparcia ręki i nie usłyszał wyrazów następujących:

— Pocieszyłeś na tamtym świecie duszę dziada twego. Wstań już, Adamie.

Adam wstał. Staruszka poprowadziła go na ławeczkę darniową.

— Oto tak—zaczęła, usiadłszy—powitałeś gospodarza, gospodarza—powtórzyła—boć on tu, Ksawery nieboszezyk, brat mój, a twój dziad rodzony, gospodarzem jest. Gospodarzem jest wedle ducha... o... rozumiesz?... chorążuje... o!...

Głową kiwała. Mileczała czas niejaki. Potem znów zaczęła :

— W każdy dzień pogodny przychodzę tu na pacierze, rano i wieczorem, i tak chodzę już... o Boże! ileż to? rachubę straciłam.

— A czemuż — odezwał się Adam — niema tu kamienia, ani napisu na krzyżu?

— Niema, bo nieboszezyk nie chciał. Nie chciał wyróżnienia po śmierci. Pamiętam słowa jego... mam je w uszach, jakby mówił do mnie ztamtąd.

Tu na grób laską wskazała.

— Na co mu kamienie i napisy! Alboż to i tak ludzie go nie pamiętają? Te topole, to ludzie tu-

tejsi, Hrynenczanie, zasadzili. Gdyby nie oni, to i tegoby nie było. I oto widzisz, tu dwa groby schodzą się razem: twego dziada i twojej babki. Babka twoja umarła, gdy się narodził Jan, stryj twój, Jan, którego z powrotem wyglądam... wyglądam—głową skinęła i z głębi piersi westchnęła.—Bóg święty wie, czy on powróci kiedy. Bubblewicz powiada, że nie... że dostał z urzędu za wiadomienie, ale ja tam o tem nie wiem i wyglądam go ciągle.

Znów westchnęła, przez chwilę pomilczała i znów zaczęła:

— Ty chyba zostaniesz ze mną i będziemy wyglądali oboje.

— Zostanę, babuniu—odparł Adam.

— Jam też tak sobie myślała, że ktoś tu przyjedzie do wyglądanania, bo... widzisz... a nużbym umarła. Dlatego tak się śmierci bała... teraz nie boję się już.

Rzekłszy to, wstała i poszła z powrotem do dworu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, trzoda do wsi z pastwiska wracała, w dali rozlegały się głośne śpiewy dziówczą i supilki parobków, które echo niesło na stawiska, gdzie brzmiało chóralnie skrzeczenie żab; dolami słały się tumany, góra przelatywało ptactwo dzikie; tu psy poszczekiwały, ówdzie bydło porykiwało. Wszystko to z uroczystym jakimś nastrojem odbijało się na

duszy Adama, który poraz w życiu swoim pierwszy znajdował się w atmosferze prawdziwie wiejskiej.

We dworze zastali stół nakryty.

— Ach!—zawołała staruszka, jak skoro próg przestąpiła—a jam ani pomyślała, żeś z podróży i musisz być zmęczony i głodny.

— O babuniu — odparł — i ja zapomniałem o zmęczeniu i głodzie.

— Gdy kto z sąsiadów łaskawych odwiedzić mnie raczy, natychmiast pytam, czy nie przekąsi czego. Gdym ciebie zobaczyła, wypadło mi to z pamięci.

— Dlatego — tłumaczył Adam — że przyszło na pamięć coś ważniejszego.

— To prawda, ach! prawda.

W chwili tej Jeryna wniosła wazę. Babka i wnuk zasiedli jedno naprzeciw drugiego.

— Jeryno—odezwała się staruszka—a co, nie mówiłam, że ktoś dziś do nas przyjedzie?

— Jójmość mówili wedle sroki — odpowiedziała kobiéta

— Nietylko wedle sroki, która, prawda, od południa ustawicznie na wrotach skrzeczała, ale jam się spodziewała od samego rana. A kiedy doleciał do nas odgłos dzwonka pocztowego, com mówiła?

— Mówili jójmość, że tak samo dzwoniło, kiedy pan Jan poraz ostatni przyjeżdżał.

— O... nie przyjechał Jan, ale Pan Bóg sprowadził Adama. A jaki on—dodała, we wnuka się wpatrując—do Jana podobny!

— O, podobny—odparła Jeryna.—Jam to od razu spostrzegła, inom panicza zobaczyła. Te same oczy, ten sam nos i usta.

— Tylko szczuplejszy trochę, zdaje się.

— I... nie... Ale ot co: pan Jan mieli na głowie włosy trochę ciemniejsze.

— Masz racją. Jan miał kolor włosów ojcowski.

Po wieczerzy, która składała się z dwóch dań, Jeryna oznajmiła przybycie pana Bublewicza.

— Kto to?—zapytał Adam.

— Jakto! nie wiesz? Toć to ekonom, co był ekonomem jeszcze za czasów dziada twego. Od wyjazdu Jana na głowie jego gospodarstwo całe.

— Obchodzą obejście—w mieszała się do rozmowy Jeryna—i pytali, czyby nie mogli pokłonić się paniczowi.

— Toż wie, kto przyjechał? — podchwyciła panna Ewa.

— Jam im powiedziała—odparła kobieta.

— Ano... niech chyba przyjdzie.

Jeryna się oddaliła i wkrótce wkroczył do izby jegomość wzrostu średniego niezłej tuszy, czerwony na twarzy, z włosami i wąsami jak śnieg białymi. Postawa jego wyrażała zakłopo-

tanie niejaki. Nie wiedział, jak to powiadają, na której stanąć nodze; skłonił się, postąpił kroków parę i zatrzymał się.

— Siadaj-że, panie Bublewicz — odezwała się staruszka. — Ot widzisz, jakiego to Pan Bóg sprowadził nam gościa... nie powiem, niespodzianie.

— Jam-bo się spodziéwał — odchrząknąwszy z przyciskiem, odparł przybyły.

— I jam się spodziéwała. Mówiłam: ktoś przyjedzie... Jeryna świadkiem. Mówiłam to dziś rano. Ale czemuż nie siadasz? Siadaj.. weź tam stołek sobie.

Bublewicz przysunął stołek i zajął miejsce opodal nieco.

— Bliżej, bliżej — zachęcała panna Ewa. — Czemuś nie przyszedł wcześniej? byłbyś powiecerzał z nami.

— Całuję rączki wielmożnej pani. Wcześniej przyjsé nie mogłem, dał Pan Bóg żniwa.

— Cóż więc tam?

— No... niczego. Posuwamy się pomalenku, ale ciężko idzie. O... to już nie to, co bywało dawniej...

Westchnął i wąsy sobie pogładził, spoglądając z ukosa na Adama. Niepokoiło go snadź milczenie jego. Adam milczał, raz że mówić nie miał o czém, a powtóre, że uczuwać począł znużenie wielkie.

— Dawniej, ha... co innego — odrzekła staruszka — ale i dawniej ludzie na krzywdę u nas narzekać nie mogli.

— Ale ludzie byli inni, pani dobrodziejko — podchwycił starzec sentencyonalnie, głową wstrząsnawszy.

— No... tak... Starych dużo ze świata poszło, a młodzi postarzeli. Ot — dodała — gdyby nieboszczyk Kociuba żył, otóżby się ucieszył. Albo Hryhor!

— Poumierali — odezwał się Bublewicz, głową kiwając.

Rozmowę przerwała Jeryna, wszedłszy i oznajmiwszy, że łóżko posłane.

— Gdzieżeś posłała? — zapytała staruszka.

— W pokoju pana Jana.

— To dobrze. No, idź więc, połóż się i wypocznij sobie. Musisz być zmęczony bardzo.

— Trochę — odrzekł Adam, wstając. — Dobranoc babuni.

Staruszka ręce do niego wyciągnęła i, gdy do niej podszedł, przygarnęła go do piersi, uścisnęła serdecznie i pocałowała kilkakrotnie.

— A cóż ty pijasz zrana, herbatę, czy kawę?

— Mnie wszystko jedno: herbata, kawa, mleko. Co pija babunia, tego się i ja napiję.

— Nie zrywaj się tylko bardzo rano... wypocznij sobie dobrze.

Adam, odchodząc, podał Bublewiczowi dłoń do uściśnienia. Bublewicz uścisk przyjął, zarazem jednak nisko się pokłonił i pośpiesznie wygłosił:

— Służby moje wielmożnemu panu... sługa najniższy... do stópki się ściele.

— No i cóż—zaczęła staruszka, gdy, poprzedzany przez niosącą świecę Jerynę, znikł Adam za drzwiami—pocieszyl mnie Pan Bóg na stare lata.

— Chwała Bogu—odrzekł Bublewicz — że się to już raz rozstrzygnęło. Nie gorszego, jak ten stan niepewny, który trwał od lat sześciu.

— Od dwudziestu sześciu — poprawiła staruszka.

— Tak... no. Ale dawniej liczyło się na pana Jana i człek wiedział, czego się trzymać. Pan Jan... wiadoma rzecz: wypiaستowaliśmy go. Gdy jednak liczyć się na pana Jana przestało, zrobiło się wnet tak, jakby człowiek pociemku drogi szukał. Teraz zaś... ano, Bogu dzięki. Niewiadomo jednak jeszcze, czy młody pan obejmie Hrynenki sam na siebie, czy je zatrzyma w całości, czy co.

— Jakto... co? Nie rozumiem ciebie, panie Bublewicz... A pan Jan?

— Pan Jan rzekł się majątku przez to samo, że się doń przez lat dwadzieścia nie zgłaszał. Zaszło przedawnienie, wielmożna pani. Jam to wielmożnej pani tłumaczył, kiedy, lat temu siedem czy osiem, komisya na grunt zjechała i na Hrynenki administracyą naznaczyła. Od czasu onego już się Hrynenki na pana Jana nie liczą...

a nastąpiło takie, nie wiem dlaczego, rozporządzenie, ażeby rzeczy pozostawały jak są, aż do przybycia prawowitego właściciela. Owóż, o ile zmiarkować mogę, właścicielem tym jest właśnie pan Adam; nie wiem atoli, czy sam na siebie, czy do spółki z braćmi lub siostrami, czy majątek pozostanie niepodzielny, czy nastąpi podział, a może sprzedaż... Niewiadomo jeszcze. Czy—zapytał wkońcu—młody pan nie wspominał nic wedle tego?

Panna Ewa ramionami ścisnęła.

— Zobaczymy—dodał Bublewicz.—Pan Adam, Bogu dzięki, wygląda jakoś po ludzku.

— Nieprawdaż? podobniuteńki do Jana, włosy jeno ma jaśniejsze.

Starzy prowadzili jeszcze przez chwil kilka gawędę, aż nadeszła Jeryna, do której panna Ewa zwróciła się z zapytaniem, azali posłała Adamowi wygodnie i przygotowała mu wszystko, czego by potrzebował. Jeryna dała odpowiedź zadowolającą.

— Nie mówił czego?

— Nie, proszę jejności. Ino, jak skoro do pokoju weszli, zaraz za świecę i do książek.

W rzeczy samej, w pokoju Jana uwagę Adama zwróciły odrazu półki ściane jedną całkowicie oddołu dogóry zajmujące, zapelnione książkami, ułożonemi chronologicznie, co do czasu wydań, następujących kolejno od wieku XVI i zwiększających się stopniowo co do ilości. Druków naj-

starszych było najmniej, późniejszych coraz to więcej, aż przychodził wiek XVIII, epoka Stanisławowska, z której nie brakło żadnego z autorów znakomitszych. Wiek XIX ciągnął się do chwili wyjazdu Jana i urywał nagle. W bibliotece téj, liczącej tomów około tysiąca, druga połowa wieku naszego nie była reprezentowaną wcale, tak dalece że pod dachem Jeża nie znajdowały się dzieła Jeża. Uderzyło to Adama.

„Zegar nienakrecony, zatrzymał się” — powiedział sam do siebie.

Jeryna w chwili téj weszła, niosąc oburącz ogromną mosiężną miednicę, wodą czystą napełnioną, i przerwała szereg spostrzeżeń, jakie bohaterowi naszemu do głowy się cisnęły. Rozebrał się, umył, bieliznę zmienił i do łóżka poszedł.

Położył się do łóżka senny i zmęczony; wrażenia jednak wciągu dnia doznane spędzały sen z powiek jego. W oczach mu stawał chorąży, którego przedstawiał sobie wedle modelu, nakreślonego przez Słowackiego w „Poemacie o piekle.” Ile razy usypiać począł, widział dziadka w żupanie dziurawym, palcem kiwającego, przestrogi jakieś i nakazy dającego. Nie usnął aż około północy i obudził się równo ze świtem. Wnet z łóżka wyskoczył i w chwilę jedną ubranym już był zupełnie.

Dwór stary pozostawał jeszcze we śnie pogrążony. Dokoła panowała cisza. Adam okno otworzył; świeże powietrze z zewnątrz wlało się do po-

koju, przynosząc węń zmieszana rezedy, róż i macierzanki. Przed oknem rozlegał się ogród obszerny, pełen drzew w dali, bliżej zaś posiadający trawnik i grządki z kwiatami. Bohater nasz zauważył, że grządki zajmowały miejsce przed oknem, które on otworzył. Nie odpowiadało to symetrii rozkładu ogrodowego, w którym, wogóle, spostrzeżać się dawało zaniedbanie. Ulice nieczyszczone, zaledwie się znaczyły śród zielska śladem niewyraźnym; polne kwiaty rosły swobodnie na trawniku, dokoła którego stały szeregi dziewanny; drzewa podszywały krzaki. W oczy się rzucało zapuszczenie ogólne, z wyjątkiem szczupłego miejsca przed oknami pokoju Jana, utrzymywanego starannie. Uderzyło go to — powiadam—równie jak to, że w pokoju, od tak dawna niezamieszkałym, panowała schludność, do przesady niemal posunięta. Podłoga czysta i cała, ściany bielutkie, na ścianach pajęczyny ani śladu, na meblach pyłu ani cienia, na kantorku wszystko przygotowane do pisania, pióro, kałamarz, papier, tylko... atrament w kałamarzu wysechł, papier zaś żółkły jak pergamin.

„Dwadzieścia pięć lat” — rzekł Adam, na papier patrząc i głową kiwając.

Zaprzagnął do ogrodu wyjść i w tym celu do drzwi się zwrócił, chcąc takowe otworzyć, lecz szelest klamki kazał mu zamiaru zaniechać. Lękał się śpiących pobudzić. Od drzwi więc odstąpił, po pokoju się przeszedł, przez chwilkę pomy-

ślał i wynalazł sposób wydostania się na świeże powietrze. Oknem wyskoczył.

Drogą tą dostał się do ogrodu; ruszył ścieżką pierwszą lepszą i ta zaprowadziła go naprzód pomiędzy drzewa owocowe, następnie do płotu, odgraniczającego ogród od pola i wygiętego w tém miejscu, co świadczyło, że tędy ludzie chodzą z pola do ogrodu i z ogrodu w pole. Wydałoby się mogło Adamowi nie w porządku, gdyby zastanawiał się nad tém. Nie to mu atoli w głowie było. Owiéwał go urok poranku wiejskiego; urokowi temu oddawał się duszą całą, wplatając się nią w ów hymn uroczysty, jakim brzmieć poczynała budząca się ze snu przyroda. Jutrzenka, słońca poprzedniczka, rumieniła się na wschodzie; mgły białe stały się dolinami; trawy i zioła ugiwały się pod ciężarem rosy, kropelki której polyskiwały niby dyamenty; w górze dzwonił skowronek, w zbożu biła przepiórka; a dokoła, w powietrzu, w trawie, wierzchem, spodem płynął chór głosów, zlanych w jedną wielką, wspaniałą, poważną harmonią, która duszę wstrząsała i przemawiała ją nawskrós.

„Oh! oh! — zawołał Adam, palce splatając i ręce dogóry podnosząc—jakże to pięknie... tu... u nas! Cóż to za nastrój! Możnaż z nastrojem tym w ład nie iść?”

Poszedł dalej. Ścieżka doprowadziła go do drogi, droga do wsi. Idąc, zatrzymywał się i rozglądał. Tymczasem też ludzie się pobudzili i słoń-

ce zeszło, więc mu nie pozostawało nic innego, jak do dworu wracać.

Na podwórzu poskoczyły ku niemu psy z głośnym szczekaniem. Na szczekanie, ze stajni, z oficyn wybiegło ludzi kilkoro. Obroniony przez nich od napaści niespodzianej, bronić się musiał sam przeciwko napaści Jeryny, która mu gorzkie czyniła wyrzuty: dlaczego to było zrywać się tak rano, kiedy śmietanka do kawy nie uprażyła się jeszcze?

— Tylko com ją zebrała —skarżyła się. — Czyż to się godzi wstawać tak rano, na to chyba, żeby się zarosić?

Adam mokry był istotnie po kolana i ani czuł tego.

ROZDZIAŁ XV.

Janinka.

Początkowe wrażenia pobytu w Hrynenkach przeminać musiały i — przemieły. Dni kilka wystarczyło na to, ażeby się Adam z miejscowością oswoił i z ludźmi zaznajomił.

Miejscowość i ludzie podobają mu się bardzo. Cóż dziwnego? Kraina nasza tę posiada własność, że przywiązuje do siebie ludzi całkiem obcych. Czyż nie zdarza się tak, że spada niespodzianie jakiś Niemiec czy Francuz, któremu ani śniło się kiedy osiadać wśród nas — i osiada — i ani powrozem wyciągnąćby się dał, a dzieciom jego i wnukom, na pamiątkę pochodzenia, nazwisko tylko pozostaje? Ileż-to takich eks-Niemców i eks Francuzów złe i dobre podziela losy! Cóż więc dziwnego, powtarzam, że się podobało w Hrynenkach Adamowi, któremu matka, ów Litwin co go w pisanie wprawiał, w przechodzie przez Kazań, ludzie różni przedstawiali swoje

strony pod postacią ziemi obiecanej, a książki przedstawienie to potwierdzały i gruntowały. Nastroił się więc do stron tych sercem, które je umiłować gotowém było zgóry. Oczekiwał niejako na uczucie, do którego grunt był podłożonym; nie spodziéwał się jednak, ażeby rzeczywistość przeszła oczekiwanie. Przyłgął téż do ziemi ojców sercem całém.

Wiadomość o przybyciu jego szybko rozeszła się po okolicy. Sąsiadów zajmowała sytuacja nieregularna, w jakiej znajdowały się Hrynenki, a która w gawędkach przybrała rozmiary kwalifikujące ją do bajek tysiąca i jednej nocy. Zajmowali się nią wszyscy, ci zaś szczególnie, co, prawa nie znając, pretensyą mieli do gruntownej onego znajomości. Rosły téż ztąd banialuki, które się na banialukach piętrzyły. Spodziéwano się procesów i sądów polubownych i ci, co się do tych ostatnich za powołanych zgóry uważali, układali zawczasu wyroki, mające wszystkich pogodzić, każdego zadziwić i nikogo nie zadowolić. W pośrodek rozumowań tych bez końca Adam wpadł niby bomba, co nie pękła jeszcze, ale pęknąć może. Łatwo téż wyobrazić sobie, jaką przybycie jego sensacją sprawiło.

Z tego powodu w dni parę po przybyciu jego do Hrynenek zaglądać poczęli goście. Przyjechał ten i ów, z pobliza i z okolicy dalszej nieco, z kolei zawitał i eks-marszałek, Albin Skrzybicki.

Adam, oswoiwszy się i oznajomiwszy, powrócił wnet do ideału swego, którego nie zaniechał przez to, że zamiast kilku tysięcy rubli na chałupę, ujrzał się na czele fortuny znacznej, pozwalającój mu używać darów Bożych, nie troszcząc się zresztą o nic, a raczej, w najlepszym razie, troszcząc się tylko o to, ażeby fortuna ta wzrastała do możliwój wysokości.

Właściciel jednak Hrynenek, gdy porównał te środki jakimi rozporządzał, z temi, których się za życia ojca spodziewał, powiedział sobie:

— Potężny jestem.

Rozło mu się zrazu oddać te środki na użytek spólny, lecz przyszła mu wnet do głowy myśl: a któż zaręczy, że nie zostaną one zmarnowane? Myśl ta powstrzymała go w zapędzie i nakazała kwestyą przedewszystkiém wystudyować należyćie, rozpatrzyć ją ze stron wszystkich i zagłębiać w jej głąb, to jest zastosować do niej metodę obserwacyi i metodę eksperymentalną. Czegóż chcecie—uczył się i z nauki wyciągał systemat, który wydawał mu się przydatnym w praktyce życiowój. Nauka wskazywała mu, że ażeby zadanie rozwiązać, zgromadzić należy dane w ilości i jakości dostatecznej, inaczej niema co o rozwiązaniu myśleć. Sytuacya, w jakiej się znalazł, przedstawiła mu się odrazu pod postacią zadania obywatelskiego, do rozwiązania którego miał obręb wsi i w tym obrębie nietylko grunt i pieniądze, ale także spółobywateli włościan,

występujących wobec niego w znaczeniu współpracowników. Z punktu tego spojrział na zadanie swoje i postanowił sobie wszystkie odnoszące się do onego dane zbadać, poznać, ocenić i po dokonaniu tego dopiero przedsięwziąć czynność ścisłą, włączoną w formułę, rozwiązującą zadanie.

W celu tym wdał się naprzód w rozmowę z panem Bublewiczem, który, od pierwszych dni przyjazdu jego, nie przestawał napastować go dopytywaniem się o dyspozycyę. Regularnie cwieczór przychodził po nie i regularnie dostawał odpowiedź:

— Niechaj-no... rozpatrzyć się pierwój muszę; tymczasem zaś rób pan tak, jak się dotychczas robiło.

— Ależ bo to — odezwał się ekonom razu pewnego — mam ja tu i kalkulacyą do zrobienia.

— I z kalkulacyą wstrzymajmy się jeszcze. Żniwa obecnie.

— Prawda, czas gorący, człek zaledwie ma kiedy w łeb się podrapać.

— Więc téż po żniwach do kalkulacyi się zabierzemy i zrobimy ją szybko.

Bublewicz przystał na to nie bez oporu pewnego, pomimo że sam uznawał, iż przy żniwach przyczynek roboty byłby dlań uciążliwym.

Adam obserwował roboczną żniwianą. Wpadła mu w oczy osobliwość jedna, ta mianowicie, że pomimo iż robota była wolna, nie zadowalała jednak ani jednéj, ani drugiey ze stron, które

z niej korzyści ciągnęły. Żeńcy odbywali ją w sposób taki, ażeby się zbyć i całego, na jaki się zdobyć mogli, dowiecipu używali w celu oszukania pracodawcy.

— Zkąd to pochodzi?—zapytywał Bublewicza.

— A cóż, wielmożny panie—odpowiedział—to już ich natura taka: robią jak za napaść. Dawniej, kiedy się bali, można było napędzić przynajmniej, a teraz...

— Czy doprawdy natura włościan jest tak zła?—zapytywał babki.

— Ale gdzie tam! — odpowiadał — na sobie mam doświadczenie, doznając z ich strony ustawicznie przychylności i życzliwości.

Postanowiwszy o naturze włościan dowiedzieć się rzeczy pewnej, zapytywał o takową przy każdej sposobności tego i owego i wrychle się przekonał, że droga ta jest jedną z najmylniejszych, tak dalece zdania się różniły. Jeden naturę chłopską miał za gołębią, prostą, naiwną, dopuszczającą się występków jedynie z nieświadomości; drugi podawał ją za chytrą i podstępną, umiejącą się w razach pewnych okrywać skórą baranią i popełniającą złe ze świadomością rzeczy, płynącą wprost z przyrodzonych popędów do złego. I ci i owi na poparcie opinii swojej przytaczali przykłady tysiączne, wprost z życia wzięte, tak dawniejsze, jak świeże, a wszystko autentyczne. Adam, zestawiając autentyczności owe razem, otrzymał w rezultacie zero, przeto dowiady-

wał się dalej i zapytał przypadkiem eks-marszałka:

— Panie marszałku dobrodzieju, jakim też jest pańskie o chłopach zdanie?

— Żadne—odciął odrazu.—Miewałem dawniej i złe i dobre, alem się po nabytém doświadczeniu przekonał, iż sądzić o nich nie mogę.

Wyrazy ostatnie uderzyły Adama. Myślał nad niemi i z łatwością odszukał racyą onych, z której eks-marszałek sam nie zdawał sobie może jasno sprawy. Kto posiada kompetencyą do sądzenia? — ten tylko, co w odniesieniu do pod sądnego zajmuje stanowisko czysto obiektywne. Strona strony, interesowany interesowanego sądzić sprawiedliwie nie może. Eks-dziedzic i eks-poddani jakże stoją jedni wobec drugich: czy nie jak interesowani? A więc sprzeczność owa opinii o naturze chłopskiej znieść nie może, ale samę siebie. Opinia w kwestyi tej specjalnej nie istnieje, bo istnieć nie może; natura zaś chłopska jest naturą człowieczą, zaopatrzoną, tak samo jak natura szlachecka, w skłonności złe i dobre, uzewnętrzniające się tak lub inaczej, stosownie do popędów wewnętrznych i wskazówek zewnętrznych. Poznał więc bohater nasz, że będzie miał do czynienia nie z naturą specyficznie chłopską, ale z ogólnie ludzką.

Poznanie to zawdzięczał eks-marszałkowi, który przyjechał w odwiedzinach do panny Ewy, nie pozorował jak inni odwiedzin tych takim lub owa-

kim pretekstem, lecz otwarcie oświadczył, że ściągnęła go do Hrynenek ciekawość.

— Dowiedziałem się — były słowa jego — o przybyciu pana Adama i myślę sobie: czy góra ma czekać, aż prorok przyjdzie do niej, czy ma iść góra do proroka? Pomyślałem, zaprzęgać kazałem, zebrałem się i oto państwo górę macie w Hrynenkach.

Staruszka wielce gościom rada była — uważała że Adama podziwiali wszyscy.

— Wyznać winienem — dodał wciągu rozmowy eks-marszałek — że możebym odwiedziny o dni parę spóźnił, gdyby nie moja żona. Wypchnęła mnie.

— Jakże przeciwnie pani marszałkowa zrobiła! — odrzekła panna Ewa.

— Nie koniec na tém. Nakazała mi, ażebym się zapewnił, że pan Adam dobrodziej bytnością swoją zaszczyci Skrzybińce.

— Panie dobrodzieju — odrzekł Adam na to dołączając do odpowiedzi ukłon.

— Wyprawię ja go sama — dorzuciła panna Ewa.

Adam nie odbiegał bynajmniej od zabiérania w sąsiedztwie znajomości, nie chciał tylko robić tego nagle i bez rozwagi. Pochodziło to naturalnym sposobem ztąd, że miał przed sobą wytknięty podnioślejszój natury cel, do którego naginał wszystko. Więc i zabiéranie znajomości pod tę podprowadził regułę. Starał się naprzód o są-

siadach czegoś dowiedzieć, a później dopiero ich odwiedzać. Pewien z żyjących obecnie uczony francuzki, przystępując do zaznajamiania się z dziełem nowego jakiego autora, dostaje piérwój fotografią jego i przypatrzywszy się fizyognomii człowieka, zasiada do przypatrywania się fizyognomii dzieła. Bohatér nasz obrał sobie drogę odwrotną: od dzieła przechodzić chciał do człowieka, a to w tój myśli, ażeby wiedzieć mniejwięcej, kto i o ile spożytkować się da do celu jego. We względzie tym naśladował kawalerów wietrzających za posagami. Wietrzył, rozmawiał z babką i Bublewiczem, rozpatrywał, różne zdania porównywał. Na punkcie eks-marszałka nie znalazł zdań różnicy. Oboje, każde z osobna, przedstawili mu go ze strony jaknajlepszój.

— Jan się na niego krzywił, nie wiem dlaczego—powiadała panna Ewa—ale bo, co prawda, Janowi dogodzić było trudno. A przytém zachodził tam powód szczególny. Jan miał się do marszałkowej, kiedy panną jeszcze była... Ot co... Jedź ty, Adamie, do Skrzybiniec śmiało. Będą ci tam radzi; znajdziesz tóż w Skrzybińcach zasługujących na uwagę rzeczy wiele, nie wyjmując—dodała z uśmiechem dwuznacznym—Janinki, która prześlicznie gra na fortepianie.

— Ach! gra!—zawołał Adam z niechęcią.

— Cóż? nie lubisz muzyki?—zagadnęła starszka ze zdziwieniem.

— Przeciwnie... lubię bardzo—dodał Adam, wyganiając z pamięci pannę Adelinę, którą mu wzmianka o grze na fortepianie przypomniała.

— Janinka — ciągnęła dalej panna Ewa—skończyła lat osiemnaście... panienka hoża i pięknie wychowana, bo też matka kobieta rozumna.

Staruszka widocznie miała zamiary jakieś względem wnuczka, których mu wręcz wypowiedzieć nie chciała. Widoki te zaczepiały i o stosunki dawniejsze.

Adam pojechał do Skrzybiniec, będących od lat kilkunastu nową siedzibą marszałkostwa, z powodu że w dawniej spalił im się dom, podczas gdy się znajdowali u wód. Wypadek ten nazywał pan Albin klęską publiczną, w czém miał racją niejaką, ze względu na zbiory, jakie był nagromadził. Większa część zbiorów owych, o których się czytelnik doczytać może w „Historii o pra-pra... wnuku,” stała się pastwą płomieni. Część atoli onych uratowaną została, mianowicie zaś siedem portretów familijnych — portretów w dymie okopconych—malowidła wszystkie prawie, biblioteki nieco i cały niemal dział starożytnicy. Uratowanie starożytności zadecydowało o powołaniu marszałka. Został archeologiem i skierował zamiłowanie swoje na jeden szczególnie punkt przeszłości, nierozjaśniony dokładnie: poszukiwał pozostałości po Chazarach, „którzy gdzieś tu, w tych stronach—słowa jego—królestwo żydowskie mieli.” Ponieważ królestwo mie-

li, prowadzili zatem wojny, zawiérali pokój, handlowali—szczególnie zaś handlowali, bili monetę i musieli chować takową, a zatem znajdować się ona musi, tylko jej szukać trzeba umieć. Marszałek podejrzywał Żydów, że wiedzą o tém wszystkim, tylko rzecz całą ukrywają w tajemnicy, w widokach... Gdy go o widoki te zapytywano, odpowiadał:

— W żydowskich... rzecz prosta.

I dla zbadania widoków onych, jakotéż dla wyszukania pamiątek hebrajskich, po Chazarach pozostałych, zawiązał z Żydami stosunki rozległe i ścisłe. Odbywał pielgrzymki umyślne do rabinów sławnych i do chusytów; sprowadzał ich do siebie; z dworu w Skrzybińcach Żydzi nie wychodzili prawie i część jedną onego, w którój gości tych marszałkowa pomieszczała, uczynili wonną, wonią nie róż i nie jaśminów.

W gabinecie archeologicznym marszałka była ona skoncentrowaną i dlatego z rodziny nigdy, z gości zaś rzadko kto zwabić się dawał do téj świątyni pamiątek chazarskich, ulokowanej na usilne naleganie marszałkowej w skrzydle oddzielném. Zachodzili tam chyba tacy, co nie wiedzieli... czém to pachnie. Marszałek téż nie nalegał. Dotyła był wyrozumiałym, że nie chciał zmuszać ludzi zajmować się przedmiotem, do którego skłonności nie czuli. Zajmował się nim sam—bodaj czy nie sam jeden w świecie ucywilizowanym—i przedmiotem tym przesiąkł nawskróś.

Następstwem tego w najbliższém Albina otoczeniu było, że żona trzymała się od niego zdaleka, córka zaś zbliżała się do ojca nieinaczéj, jak z flakonikiem w ręku.

Zapraszając Adama do Skrzybiniec, pan Albin nie zaniechał dodać:

— Gdybyś pan czuł zamiłowanie do starożytności, mógłbym mu pokazać kilka zabytków ciekawych...

— Owszem — odrzekł Adam — oświadczyć wszakże muszę, że jestem we względzie tym nieukiem. Starożytności nie zajmowały mnie nigdy specjalnie.

— Mnie zaś, przyznam się, zajmują bardzo; raz, jako przedmiot który miłuję, powtóre, jako cegielka, przydatna do wciąż budowanego i nigdy nieskończonego gmachu wiedzy ludzkiej.

Pogląd ten wielce się Adamowi podobał. Niesposób ażeby wszyscy wszystkiém, lub téż wszyscy jedném się zajmowali. Rozkład roboty przyspiesza pracę, chodzi tylko o to, ażeby każdy coś robił.

Eks-marszałek zajmował się archeologią — tém ci lepiej.

Adam z ochotą do Skrzybiniec pojechał.

Ponieważ mniejwięcej uprzedzonym był o tém co tam znajdzie, nie zdziwił go dom mieszkalny państwa Skrzybickich, mający pozór pałacyku, a urządzonej na stopę wielkopańska. Eks-marszałek miał z czego, mógł przeto pozwolić sobie

na komfort, łączący wygodę i gust. Kolumnada i front, ukazujące się w perspektywie podwórca, mającego pozór parku angielskiego, wyglądały wspaniale. Za domem rozlegał się ogród włoski, z trawnikami, kwietnikami i kłębami drzew, tu liściastych, owdzie iglastych, pełen światła, powietrza i niespodzianek, pod postacią posągów, mostków i altan. Na wszystkiém tém widziéć się dawało utrzymanie staranne i umiejętne.

Bohatér nasz przybył wózkim dosyć dawne pamiętającym czasy, ciągnionym przez parę folwarcznych koni, któremi powoził parobczak wyrostek, okryty zwykłą włościańską odzieżą. Panna Ewa zwracała uwagę wnuka na brak pojazdów, koni cugowych i usługi stajennéj; Adam atoli uwagę tę mimo uszów puścił. Z pierwszą przeto do Skrzybiniec wizytą wybrał się, jak poszukujący służby pisarz prowentowy. Wózkim starożytnym i z woźnicą nieuliberyowanym zajechał wprost przed ganek frontowy pańskiego domu i niespotkany przez nikogo, dostał się do obszérnej przedsieni, w której drogę mu zastąpił jegomość we fraku, w białym krawacie, starannie ufryzowany, o gęstych faworytach i pod nosem wygolony—istny sekretarz ambasady jakiegóś zagranicznój. Drogę mu zastąpił i sucho zgóry zapytał:

— Co za jeden, zkąd i poco?

Adam miał przy sobie karty wizytowe, w zanadrze sięgnął, wyjął jedną z nich i, nie nie mó-

wiąc, podał takową jegomości, który, jak skoro na nią okiem rzucił, w téj chwili ton i postawę zmienił.

— Wielmożny panie... a...—odezwał się, kłaniając—jaśnie pan pracuje... jaśnie pani u siebie... Proszę wielmożnego pana.

Drzwi na ścieżaj otworzył i, przeprowadziwszy Adama przez komnat parę, wprowadził go do gustownie umeblowanego saloniku, w którym siedzieć go prosił.

— Uwiadomię wnet jasną panią i jaśnie pana.

Ze słowami temi na ustach znikł za drzwiami.

W saloniku jasno było, świeżo i wonno. Przy sposobności téj zauważę, że wogółę salony ogromnie zyskały od czasu, jak je zdobić poczęto w kwiaty wazonowe. Kwiaty prawdziwe ożywiają je i odświeżają, a przytém stanowią ozdobę naturalną, piękniejszą częstokroć, aniżeli ozdoby sztuczne, które niegdyś ustawiano po kątach. W saloniku, do którego wprowadził Adama jegomość w białym krawacie, kwiaty zajmowały dwa kąty, sięgając do sufitu prawie, i odbijały pięknie na żółtém tle, które było kolorem obicia na meblach i przeważało śród barw na obiciu ścienném.

Adam, przeszedłszy się po pokoju, stanął przed jednym z kątów kwiatnych i przypatrywał się roślinom egzotycznym. Przypatrywał się atoli niedługo. Uwagę jego zwrócił na się śpiew dźwięczny i czysty, który, odezwawszy się zrazu gdzieś w głębi domu, zbliżał się szybko i urwał na-

gle w środku saloniku. Przestał śpiew słyszeć, lecz zato ujrzał śpiewaczkę, zmieszana, strwożoną i skamieniałą prawie na miejscu. Zmieszanie i strwożenie pochodziło może ztąd, że spostrzegła niespodzianie człowieka obcego, pewnie j atoli z przyczyny, że śpiewka, którą na nutę krakowiaka głosiła, brzmiała nieinaczéj, jeno tak:

„Gdybyż to mnie mama dała, tatuś kazał, ludzie chcieli,
Tożbym za mąż poszła!
Tożbym za mąż poszła!“

Śpiewała to z takim przyciskiem, jakby niczego w życiu nie pragnęła bardziej, jak pójść za mąż. Pragnieniu temu, jak się zdaje, mogłoby się stać zadość z łatwością całą, gdyby tylko „mama dała i tatuś kazał,” co się bowiem ludzi tyczy, to ci i jakżeby chcieć nie mieli dziewczyny, będącej wcieleniem życia samego, w kwietnym onego momencie! Siła młodociana tryskała z niej, malując się na postaci jej całej, szykownej, smukłej, wytoczonej niby, a owianej urokiem swobody i beztroski. Nie była to piękność, ale był to wdzięk, ubrany w kości i ciało modrookiego a jasnowłosego dziewczęcia, takiego naszego, że się napatrzeć nie było można. Włosy miała koloru lnianego, oczy barwy na fijołkową zarywającej, usta różane, policzki rumiane, kształty niby zpod cyrkla, cerę zdrową, ciało jędrne, rysy poprawne. Zdawało się, że to wiejska dziewczyna, co zrzuciła koszulę, zapaskę i korale i wdziała na siebie suknię panny.

Dziewczyna ta, na gorącym pragnieniu pójścia za mąż schwytana, z zamarłą na ustach piosenką, stała, niby w posąg zmieniona, na środku pokoju i, co począć ze sobą, nie wiedziała.

Jak się zdaje, pragnęła w chwili tój nie za mąż już iść, ale pod ziemię się zapaść. Do tego potrzeba było, ażeby się podłoga rozwarła pod nią. Podłoga się jednak nie rozwiérała, a tu wypadało coś z figurą swoją zrobić. Sam, o kroków kilka, w kącie, obok kwiatów, stał, z oczami wpatrzonemi ten, co na gorącym schwytał ją uczynku. Licho wié, co to za jeden! Kto on jednak taki, o to mniejsza; rzecz w tém że słyszał, że stał, że patrzył — że go nie można było, jak Akteona, w jelenia zmienić, nie na to wszakże, ażeby go psy pożarły, ale na to, ażeby, zmieniwszy mowę ludzką w jeleni bek, rozpowiadać nie mógł o tém co słyszał.

A co on słyszał? O zgrozo!...

Czytelniczki moje dziewiętnastoletnie, nieobarcone jeszcze tym tłomokiem, co to go małżonkiem mianują, i cóżbyście poczęły na miejscu panienki owój? Jakbyście się znalazły? W sposób jaki wyszłybyście z tego położenia arcykłopotliwego?

Sposobów nastęrczało się kilka, a przed innemi taki: zwrócić się do nieznanomego i zapytać: „Czy słyszał pan, jak ktoś śpiewał? Ów ktoś, to nie ja—gdzieżtam! Jam piosenki podobnej w życiu nie słyszała nigdy.” Sposób drugi polegał na obróceniu tego co się stało w żart. „Tom ja śpie-

wała, ale nie na seryo. Gdzieżby mi głupstwa podobne w głowie były!" Sposób trzeci, czwarty, piąty i t. d. milczeniem pomine, przytaczając jeno ten, którego się chwyciła panienka, gdy z osłupienia wyszła. Oto poprostu... ucichła, powiedziawszy pierwój: „Przepraszam.” Chciała wyjść poważnie, lecz nie zdołała powagi do progu donieść: nóżki same pomykały, kroku coraz to przyspieszała i, gdy się za progiem znalazła, pomknęła pędem strzały przez salony, sale, pokoje.

Adam domyślał się, że musi to być Janinka owa, o której panna Ewa wspominała, jako o paninie na uwagę zasługującej. Wydała mu się, wrzeczy samój, zasługującą na uwagę, zwłaszcza że okazała chęć tak szczerą pójścia za męż. Zjawienie się jej sprawiło na nim wrażenie wcale miłe. Powtórzył sobie, dla pamięci, wyrazy śpiewki: „Gdybyż to mnie mama dała, tatuś kazał.” Tatusia zna!—a mama?...

Mamę poznał niebawem.

Do saloniku weszła dama w złotych o lekko przydymionych szkiełkach okularach, szczupła, wzrostu nie o wiele mierny przechodzącego, odziana w jedwabną, popielatego koloru suknię, włosy płowe w warkocz zaczesane, oblicza, na którym lata nie wypisały rejestru wyraźnego, tak że wyglądała na trzydzieści kilka do pięćdziesięciu bezmała. Wchodziła prędko, z pośpiechem niby, zatrzymała się przed Adamem, okiem go zmierzyła i zawołała:

— O jakże pan przypominasz pana Jana!... Podobieństwo familijne zupełne... Nie potrzebujesz mi się prezentować... Witam pana.

Wyciągnęła do niego rękę. Adam dłoń jej uściskał.

— Proszę siadać... proszę się rozgościć. Ze stryjem pańskim znaleźmy się dobrze... o! dobrze—westchnęła.—Nie masz pan wiadomości o nim?

— Nie, pani... Z rodziny ojca mego najpierwszą poznałem babkę.

— Pannę Ewę?—podchwyciła—cicha, stareńka... grobu strażniczka... istota, doprawdy, jakby nie z tego świata. Czy zdrowa?—zapytała.

— Dziękuję pani... w dobrém zostawiłem ją zdrowiu.

— Nie słyszeliśmy, ażeby chorowała kiedy... A napozór wydaje się wąż taka.

Potoczyła się rozmowa o panie Ewie, której zalety marszałkowa wysoko podnosiła, nazywając ją rzadką w czasach dzisiejszych kobietą. Rozumię się, Adam w rozmowie tej brać mógł udział bierny tylko; więcej słuchał, aniżeli sam mówił, przyjmując do wiadomości pochwały, oddawane osobie obchodzącej go tak blisko. Zaczął mówić nie pierwój, aż marszałkowa przedmiot zmieniła.

— Panu strony nasze nieznanne były dawniej?—zapytała.

— Ze słyszenia tylko—odpowiedział.—Lepiej znałem Litwę, aniżeli gubernie południowo-zacho-

dnie.—O Litwie opowiadała mi dużo matka moja.

— Litwinką była zapewne.

— Tak, pani—odrzekł Adam, dodając matczyne nazwisko rodzinne, zakończone na „kszta.”

— O, to Litwinka prawdziwa—zauważyła pani.—I oboje już rodzice pana świat ten opuścili?

— Oboje, pani.

Daléj zrećźnie, od niechcecia niby, wypytywała się o rodzeństwo. Adam opowiadał o siostrach, osiadłych w powiecie telszańskim, o mężach ich, z których nazwisko jednego kończyło się na „kszta,” drugiego na „ejko,” o tém wreszcie, że miał wielką ochotę sam w telszańskim osiąść powiecie.

— Przekładasz pan Litwę nad Ruś?

— Miałem o Litwie informacye najdokładniejsze, wedle których układałem sobie plany na przyszłość.

Tu o planach swych powiedział słów kilka, które się marszałkowej wydały niejasnemi. Pojąc nie mogła mianowicie tego, jak człowiek, posiadający taki jak Hrynenki majątek, marzyć mógł o gospodarowaniu na kilkunastu morgach i mieszkaniu w chałupie. Nie wiedziała że jemu do ostatka, to jest do dnia śmierci ojcowskiej, o spadku ani się śniło. Z nieporozumienia tego wysnuła wniosek o romantyczném młodego człowieka usposobieniu, wniosek zaś ów uważała za pierwsze wrażenie, jakie on na nią zrobił, a jakie, według mniemania ogólnego, jest najtrafniej-

szém. Stosownie do tego, nastroiła rozmowę dalszą, wątką do której dostarczyła jej literatura polska. Zaczęła:

— Studya uniwersyteckie odbywałeś pan w Kazaniu, jeżeli się nie mylę.

— W Kazaniu, pani.

— O tém przeto, co się u nas drukuje, nie miałeś sposobności dowiadywać się.

— Przeciwnie... Czytałem trochę. Prenumerowaliśmy pisma, kupowaliśmy książki.

— I dawniejsza literatura znana panu?

— Znam ją nieco.

— Mickiewicz, Słowacki, Krasiński.

— Na Boga! Jakżebym ich znać nie miał! Bierze mnie pani chyba za człowieka nawpół dzikiego.

— Bynajmniej... Na uwadze tylko miałam odległość i trudność komunikacyi.

— Koleje żelazne i statki parowe odległość zmniejszają i trudność usuwają.

— Ach! to prawda.

— A przytém—podchwycił Adam—my, w tamtych stronach odległych, podlegamy temu prawu natury, które Korzeniowski opisał w wierszu, pod tytułem „Mech olbrzymi.” Czy zna pani utwór ten naszego powieścio i dramato-pisarza?

Marszałkowa odpowiadała przecząco, Adam więc zadeklamował ten wiersz prześliczny pod względem formy i głęboki co do myśli.

— Ach! jakież to ładne... jakież wzniosłe! Mogę pana prosić, ażebyś poezją tę powtórzył córce mojej? Zachwyci ją ona.

W chwili téj w pokoju przyległym słysząc się dało głośnie chrząkanie, po którym wnet ukazała się na progu wyniosła postać marszałka.

— Witam w chałupie mojej sąsiada kochanego!—zawołał—witam! Pośpieszyć na powitanie nie mogłem, bom był mocno zajęty.

Ramiona wyciągnął, ujął w nie bohatera naszego i ucałował raz, drugi, trzeci.

ROZDZIAŁ XVI.

W Skrzybińcach.

U państwa Skrzybiekich podobano sobie Adama, pomimo że miał na sobie akcent wyróżniający go wśród młodzi, nawiedzającej dom eks-marszałkostwa. Co go wyróżniało mianowicie, to trudno było określić.

— Nie należy on—tak opinią swoją o nim tłumaczyła marszałkowa—do pokolenia dzisiejszego, zpozytywizowanego, zmateryalizowanego i za utylitaryzmem goniącego, albo też wpadającego w ostateczność przeciwną, rzucającego się w objęcia bigoteryi. Czuć w nim niby woń czasów dawniejszych. Biję z niego młodość, świeżość... domyślać się w nim można nawet zapachu, którego brak młodzieży dzisiejszej. A młodzież bez zapachu... cóż to? czy nie potworność?

Uchodziła ona za kobietę rozumną, więc zdanie jej, z małemi co do szczegółów modyfikacyami, przyjęto powszechnie i uważano Adama za rodzaj

zabytku przedpotowowego, który się przechował przypadkiem. Zdanie to nie było atoli trafném. Różnił się tylko od niej w tym względzie, iż podczas kiedy ona wynalezienie drogi pochodzenia życiowego pozostawia przypadkowi, on jasno i wyraźnie sformułował sobie zadanie życia, drogę sobie obrał sam i szedł nią. Różnicę tę wyrazić można jeszcze inaczej: młodzież inna programu nie miała, on miał go, wyrobiwszy w ten sposób, że stary, przez rówieśników swoich wzgardzony i odrzucony, przez niektórych zaś nogami deptany i wyszydzany, do nowych stosował warunków. Ztąd manifestowało się w nim to, co marszałkowa, przez porównanie rzeczy biorąc, nazywała romantyzmem. Był on romantycznym o tyle, że nie odrzucał programu starego, dlatego tylko iż dyktował go zapał. Zapał uznawał jako czynnik niezbędny i do oddania usług wielkich powołany, pod warunkiem, ażeby pozostawał pod kierownictwem rozumu.

Myliła się przeto co do niego marszałkowa, omyłka ta atoli na jego wypadła korzyść; podawała go za wzór nietylko młodzieży wogóle, ale nawet synowi własnemu, owemu Karolkowi, co to (zob. Historyą o pra-pra... wnuku) przyszedł na świat na niedługo przed tém, kiedy Jan w świat ruszył.

Z Karolka owego zrobił się pan Karol, liczący już lat trzydzieści, eks-słuchacz uniwersytetu kijowskiego, którego nie skończył jednak, eks-uczeń

szkoły centralnej w Paryżu, z której wyszedł ze świadectwami frekwentacyi, młody człowiek wykształcony, gładki, przystojny, zapatrujący się na zadanie życia chłodnym okiem rozwagi i grający w odniesieniu do ojca, a raczej do majątku ojcowskiego, rolę spółnika, zawiadującego stroną przemysłową gospodarki, na szerokie prowadzonej rozmiary. Przemysłową stronę owę stanowiła cukrownia, która ze skromnej niegdyś rozrosła się, spotężniała i nadała nietylko majątkowi marszałka, ale okolicy całej charakter fabryczny i buraczany.

Z racyi cukrowni tej, zaznajomienie się Adama z panem Karolem przydało się bohaterowi naszemu bardzo. Przybył mu do studyowania żywioł jeden więcej; w Hrynenkach rolnictwo, w Skrzybińcach fabryczność: miał więc przed sobą dwa warstwy, na których oddawać się mógł badaniom, mającym na celu stosunek wzajemny pomiędzy pracodawstwem, a pracobiorstwem—stosunek, który stał się dlań rodzajem ćwieka w głowie, zajmującego go ogromnie.

Nie próżnował więc bohater nasz—jak się domyślacie.

Rozmiary czynności jego rozszerzyły się od pierwszej w Skrzybińcach bytności. W saloniku żółtym, w którym marszałkównę na gorącym schwytał uczynku, z marszałkówną pogadankę prowadził i z marszałkiem się całował, zabrał je-

szcze znajomość i z panem Karolem, którego matka tak mu przedstawiła:

— Wielki mistrz od robienia cukru z buraków. Młodzi ludzie dłonie sobie podali.

Przybycie pana Karola było hasłem niejako. Pierwszą połowę dnia każdego spędzał on w kantorze, znajdującym się przy fabryce, położonej od dworu w odległości wiorst kilku. O ósmej rano odjeżdżał, o pierwszej po południu powracał; przybycie więc jego dawało hasło do obiadu, o którym też marszałkowa pomyślała wnet, jak skoro syna na progu ujrzała. Dokonawszy wzajemnego młodych ludzi zaznajomienia, odezwała się z niepokojem niejakiem:

— A Janinka! Czemuż to jój jeszcze nie widać?

Przycisnęła guzik od stojącego na stole dzwonka i srebrzysty dźwięk przywołał na próg jego mości owego, wyglądającego jak sekretarz ambasady, który był zwyczajnym lokajem.

— Pójdź-no, dowiedz się gdzie panna i... czemu nie przychodzi?

Podczas gdy młodzi ludzie mieniali ze sobą frazesy zaznajomienia się wstępnego, a marszałek nos ucierał, powrócił lokaj i rzucił wyrazy:

— Jaśnie panna wyjść do salonu nie może... chora...

— Chora?—krzyknęła marszałkowa, zrywając się z siedzenia i odchodząc.

Wyraz ten odbił się lekkim zaniepokojeniem na obliczach obecnych, z wyjątkiem Adama, który się uśmiechnął. Pan Karol zwrócił się do ojca:

— Dziś rano nie zanosiło się na to, ażeby Janince choroba groziła.

— Zachciałeś—odparł marszałek—im zachować tak łatwo, jak mnie... hm... co?

Przyrównań kilka na język mu się cisnęło, nie wypowiedział jednak żadnego.

Niebawem powróciła marszałkowa z dwuznacznym, a nieco złośliwym na ustach uśmiechem.

— Cóż?—zapytał pan Karol.

— Niebezpieczeństwo nie zagraża najmniejsze—odrzekła marszałkowa i, zwracając mowę do Adama, dodała:—Córkę moję choroby nabawiłeś pan.

— Ja?—zawołał Adam głosem protestacyi.

— Nie kto inny... Służę panu.

Podąła mu ramię i wyprowadziła z saloniku do salonu, a z tego do sali jadalnej, gdzie przy stole okrągłym, zastawionym porcelaną, kryształami i srebrem, a okrytym świeżą cieniuchną bielizną, gość i rodzina gospodarska, z wyjątkiem panny, do obiadu zasiedli.

U marszałkostwa przyrządzano jadło arte, a po polsku, na wylot po polsku. Patryotyzm marszałka we względzie tym utrzymywał się na tej samej wysokości, na jakiej przedstawiłem go w „Historji,” z której czytelnik, jeżeli ciekawy, poznać może istotę onego. Tam go też odsyłam,

tu zaś powiem tylko, że o takim obiadku, jaki w dniu powszednim w Skrzybińcach spożył, Adam, którego ojciec był smakoszem przecie, a matka posiadała literackie sekrety na nalówki, kolduny i mądryki, wyobrażenia nie miał.

Naszcześnie miał dostateczną siłę woli do oparcia się ponętom, jakie wydzielały się z półmisków, oddziaływając zarazem na trzy zmysły, na zmysł widzenia, powonienia i smaku. Skusić się nie dał i dobrze na tém wyszedł. Wstał od obiadu syt, lecz bez przeładowanego żołądka, i nie drzémał przy czarnej kawie, paląc cygaro w apartamencie pana Karola. Z całą też przytomnością umysłu wysłuchał teorii nowój do wyciskania buraków prasy, którą pan Karol zamówił za granicą, a która produkcją cukrowni podnieść miała o dwadzieścia pięć na sto.

— Przynosię dla niej miejsce—mówił;— jak skoro nadejdzie, ustawię ją i będzie mi prowadziła przyszłą kampanią. Byle mi tylko buraków nie zabrakło—dodał.

— Uważałem, że wszędzie w okolicy zaprowadzono plantacyą buraków—w formie uwagi odezwał się Adam.

— Uprawa buraków więcej przynosi korzyści, aniżeli uprawa zboża.

— Póki jest na nie popyt—odrzekł Adam.

— Niema obawy, ażeby przy tylu fabrykach istniejących, zakładanych i w projekcie będących, popyt ustał kiedy. Przeciwnie, ja myślę

że rozszerzy się on, wyjdzie z granic i zażąda surowego materiału za granicą. Dlatego to—dodał niby od niechcenia—doradzałem Bublewiczowi, ażeby w Hrynenkach zaniechał uprawy zboża, a wziął się do buraków. Czy powiadał o tém panu?—zapytał.

— Powiadał—odrzekł Adam.

— Cóż pan na to?

— Nie zmieniam jeszcze nic w taryfie gospodarowania. Studyuję sytuacją.

— Dobrze pan czynisz. Pewny jednak jestem że się przekonasz, iż uprawa buraków intratniejszą jest, aniżeli uprawa zboża. Robotnik wprowadzie droższy, ale...

— Właśnie — podchwycił Adam — obchodzi mnie kwestya robotnicza.

Karol spojrział na Adama, z półzagadkowym w oczach wyrazem, i odparł:

— Kwestya ta rozstrzyga się z ołówkiem w ręku. Trzy dni robocze przy zbożu kosztują tyle, co dzień jeden przy burakach, lecz wyłożone na robociznę pieniądze w razie pierwszym przynoszą najwyżej pięć od sta, w razie drugim najniżej siedem od sta.

— I robotnik zarabia więcej.

— Panie!—z naciskiem odrzekł pan Karol—niekiedy rubla dziennie!

— Przeciętnie zaś?

— Oczywiście i przeciętnie więcej aniżeli przy zbożu; dla producenta wszakże rzecz to najmniejszej wagi.

Chciał Adam coś odpowiedzieć na to, lecz zajmującej tej rozmowie tamę położył marszałek, który w chwili tej z zewnątrz zainterweniował. Na progu się pojawił i rzekł tylko:

— A co...

Dwa te wyrazy odnosiły się do muzeum starożytności, do zwiedzenia którego marszałek zgóry zamówił sobie Adama na poobiedzie. Oznajmił przytém Karolowi, że matka go wzywa, dla ważnej jakiejś z Janinką negocyacji. Młodzi ludzie przeto rozstali się; Karol udał się do matki, Adam poszedł z marszałkiem.

— Tak to, mości dobrodzieju—zaczął ten ostatni, prowadząc gościa do pawilonu oddalonego—człowiekowi nie chce się zejść ze świata, zanim nie dokona czegoś pożytecznego. Mam do czynienia dużo jeszcze, zrobiłem już jednak niemało i, jeżeli mi się uda doprowadzić rzecz do końca, spodziewam się, że kwestya chazarska rozjaśnioną zostanie stanowczo. Cóż-bo to bowiem jest kwestya chazarska? jest to kwestya królestwa żydowskiego. Pokazuje się przeto, mości dobrodzieju, że Żydzi mieli królestwo nietylko w Palestynie, ale i gdzieś... tu... niedaleko... a zatém mieli drugą jeszcze Palestynę, tu u nas... nad Bohem. Dlatego to oni tak się nas trzymają... o... oni tu niegdys panowali... o... Nie dla naszych więc tylko

pięknych oczów tak nas przysiedli. Mają oni swoje zamiary, widoki, którem ja przedsięwziął zbadać i światu objawić.

Drzwi otworzył i wprowadził bohatera naszego do sali obszerniej, urządzonej jak urządzają się wszystkie wogóle muzea. Wzdłuż ścian stały szafy, na środku stoły. Szafy powiększej części zapełniały książki. Okazy starożytnicze ułożone były na stołach, w skrzyniach o szklanych wiekach.

— O—odezwał się marszałek—otóż jesteśmy. Widzisz...

I pokazywać mu począł przedmioty, tłumacząc znaczenie i pochodzenie takowych. Czerepy, kamienie, zardzewiałe różnego kształtu żelaziwo przechodził kolejno, zatrzymując się przy najstarszych i najmocniej zardzewiałych, które podawał za chazarskie. Toż samo przy pieniążkach. Na których tylko stempla znać nie było wcale, to odnosił do Chazarów; gdy zaś Adam wyraził we względzie tym wątpliwość, ujął się rezolutnie za trafnością domysłów swoich.

— Ani chybi!—zawołał.—Żydzi, widzisz, to naród przebiegły: pozacięrali ślady naumyślnie, ażeby odwrócić od siebie podejrzenie o pretensye jakieś... Jam ich na fis wziął i wydali się. Chodźno tu, pokażę ci coś...

Pokazał pas długi, bardzo stary, noszący na sobie ślady szycia złotem lub srebrem.

— To po Chazarach, królewski pas, czy zawój, dociec nie mogę, ale docieknę. Arendarz

mój przyrzekł mi solennie sprowadzić chusyta, który tę kwestyę rozstrzygnie. A z kąd się domyślam że to pas, czy zawój królewski? Widzisz? o... pismo hebrajskie.

Znaki jakieś mogły tak dobrze uchodzić za głoski hebrajskie, jak być prostemi śladami zygzaków, pochodzącemi od wyszywania.

— Ale mam ja tu coś jeszcze ciekawszego... O—pokazał—ówieki z arki przymierza i kawałek macy z tego ciasta przasnego, które Żydówki zamiesiły, gdy Żydów Mojżesz z Egiptu wyprowadził.

W rzeczy samej, w schowanku osobnym leżało ówieków kilka i macy kawałeczek.

— Czyżby to?—odezwał się Adam niechętny.

— O!—podchwycił marszałek. — Przechowywało się to u braiłowskiego rabina, po jego zaś śmierci przeszło do jego zięcia, od zięcia do wnuka, a od wnuka do mnie.

Po dowodzie tym Adam przestał brać muzeum naseryo, pomimo że zauważył tam przedmiotów niemało, które rozpoznane należycie, mogłyby znaleźć miejsce swoje w zbiorach starożytnych, naseryo urządzonych. Chodził obok marszałka, przyglądał się, ale go już nie słuchał z uwagą. Poznał że ma do czynienia z człowiekiem dobrych chęci, poczuwającym się do obowiązku służenia czémś postępowi, lecz nie ukwalifikowanym zgoła. Nie wiedział, że marszałek kurs nauk skończył na klasie trzeciej.

Na zwiędzaniu muzeum upłynęło godzin parę. Adam się znużył, marszałek zmęczył i zamierzał już gościa wyprowadzić, gdy przyszedł lokaj z oznajmieniem, że jaśnie pani prosi do altany.

— Powiedz że my tam niebawem przyjdziemy—odrzekł lokajowi i, do Adama się zwracając, dodał:—A co, widzisz pan, że nie zasypiamy gruszek w popiele. Myśl założenia muzeum podał mi Poroński... Znasz go?

— Z literatury.

— On-to mi myśl podał i następnie o zbioru moim razy kilka odzywał się w pismach publicznych z wielkimi pochwałami.

Adam na to ramionami ścisnął. Na wielkie pochwały zasługiwały może dobre chęci, nigdy atoli zbioru, któremu brakowało... sensu.

W ogrodowej altanie marszałkowa czekała w towarzystwie córki, której mina zakłopotana świadczyła, że nie odzyskała jeszcze równowagi wewnętrznej, utraconej dzięki kompromitacyi, na jaką się naraziła w żółtym saloniku. Oczy miała spuszczone, usta ściśnione; gdy zaś matka przedstawiła jej młodego sąsiada i ona spojrzeć nań zmuszoną była, spojrzała, lecz w chwili tej cała jej twarz szkarłatem się oblekła. Zmieszała się, dygnęła zbyt nisko i usiadła jakoś niezgrabnie. Matka pośpieszyła jej wnet z pomocą. Zagadała.

— Zwiędzałeś pan zbioru mego męża—zaczęła—i zapewne odkryłeś w nim dużo rzeczy

ciekawych, których ja, profanka, widzieć nie umiem, pomimo że pan Poroński zaręcza, iż znajdują się tam rzeczy nietylko ciekawe, ale i ważne.

— Trzeba być kompetentnym, ażeby móż orzekać o zbiorach podobnych—odparł Adam.

— Cóż pan o nich sądzi?—zapytała.

— Ja, pani? ja—odpowiedział z zakłopotaniem niejakiem—jam... niekompetentny.

Marszałkowa się uśmiechnęła, a marszałek podchwycił:

— Uważałem wszelako, że przedmioty niektóre mocno pana zafrapowały.

— Tak... no... być może; sądu jednak o nich wydać nie umiem.

— Kompetentniejszym pan jesteś w czém innym—odezwała się marszałkowa.—Gdybym nie obawiała się panu przykrości sprawić, to odwołałabym się do kompetencyi jego...

— Pani... Jestem na usługi jej.

— Wyzwałabym pana na powtórzenie: „Mchu olbrzymiego.”

Panna Janina, która przez ten czas ochłoneła nieco, zwróciła na młodzieńca spojrzenie ciekawe, acz nieśmiałe.

— Z ochotą — odparł Adam, odchrząknął i zaczął:

„Jak mech olbrzymi burzą oderwany
Od skał północnych ocean przepływa,
Szeroką pierśią zalega bałwany
I pędzi ślepo, gdzie go wiatr porywa,

I choć do obcych sobie stref przybywa,
W girlandach jego niema żadnej zmiany;
Jak niegdyś zdołał skał północnych ściany,
Tak brzeg Kanady stroi i okrywa.“

Oddeklamował utwór ten, którego pierwszą tylko podaje strofę, w całości i dokazał dwóch rzeczy wręcz przeciwnych: uspokoił, a raczej ułagodził pannę Janinę, a zaniepokoił marszałka. Na pierwszą podziałał snadź rytm, który ją niejako ukołysał; drugi odetchnął, odsapnął i zawołał:

— Słyszałem to, o! słyszałem już. Przypominają mi się młode moje lata. Staje mi w oczach stryj pański Jan; wszystko to na pamięć umiał!

— Bo też pan—podechwyciła marszałkowa—przypominasz stryja swego ogromnie. Wydajesz się tylko powolniejszym nieco, nie tak porywczym, jak on.

— O!—zaczął marszałek i uciał, jakby nagle niemiłe jakieś wspomnienie do głowy mu przyszło.

— Co mnie jednak dziwi — ciągnęła marszałkowa—to czystość mowy polskiej w ustach pańskich. Ani znać, żeś się tak daleko od stron rodzinnych wychował.

Ztąd wywiązała się rozmowa o racyach, dla których w ustach Adama przechowała się czystość mowy. Rozmowa ta ciągnęła się czas jakiś; po niej nastąpiła inna, a każda zajmująca, niemal czarująca. Marszałkowa posiadała w stopniu wysokim sztukę bawienia gości. Czas upły-

wał szybko. Grono towarzyskie w altanie powiększył osobą swoją pan Karol. Panna Janina ośmieliła się zupełnie, tak dalece, że po herbacie, przy pożegnaniu, zaczepiła Adama, zapytując go, czyby téż nie mogła dostać książki, zawierającej w sobie „Mech olbrzymi.”

— Nie umiem pani wskazać książki takiej— odparł Adam.—Nie wiem nawet, czy utwór ten był kiedy drukowany. Ale—dodał—będzie go pani miała.

Bohater nasz powracał do Hrynenek rozmarzony. Czuł na sobie dwa uroki: jeden uprzejmości, jaką mu okazała marszałkowa, drugi słodyczy, jaka biła z oczów panny Janiny. Ten ostatni górować się zdawał. Wrażenia, z jakim jechał, nie tłumaczył sobie i nie formułował. Nie bronił się urokowi, nie stawiał mu przeszkód żadnych, dowiózł go w całości do domu i z nią spać się położył.

— Jakże ci się w Skrzybińcach podobało? — zapytała go babka nazajutrz przy kawie.

— Bardzo, babuniu—była jego odpowiedź.

Bliżej jednak tłumaczyć się nie mógł. Bublewicz czekał z kalkulacją.

Rezultat kalkulacyi był ten, że się pokazał latami spory uskładany kapitalik.

— O! ot co jest — zakonkludował Bublewicz, wymawiając cyfrę ostatnią.—Oddam to wielmożnemu panu i raz się przecie ciężaru, kłopotu i strachu zbędę.

— Gdzież-to ulokowane?—zapytał Adam.

— A gdzież, ano? U mnie, panie, pod kluczem. To jak się tego gromadzić poczęło coraz to więcej, bałem się w domu trzymać. A nużby się chałupa spaliła! A nużby się złodziej zakradł! Wziąłem tedy i po staremu zakopałem.

— Papiéry?

— Jest tam wszystko: i złoto, i srebro i papiéry.

— Czy godziło się tak to zakopywać?

— A i cóżem począć miał? Dostawałem to do wiernych rąk, do oddania komu należy. Oddawałem jójmości, brać nie chciała. Nie wiedziałem, co z tém robić, więc-em składał w loszku, do którego naumyślnie kłódkę kupił. Pięniądżom tam bezpiecznie było, ale mimo to bałem się okrutnie. Wiedziało o tém troje starych: jójmość, baba moja i ja. Broń Boże śmierci na nas wszystkich troje, ot i pieniądze pozostałyby na wieczystej łasce. Dawałem tedy rokrocznie, w dzień wyjazdu pana Jana, na wotywę, w intencyi uproszenia Pana Boga o jaknajrychlejszy jego powrót. Nie powrócił on, to przyjechałeś wielmożny pan, niech więc Najwyższemu będą dzięki: skończyło się utrapienie moje.

Opowiadał następnie, jak myślał o ulokowaniu pieniędzy na kahale, ale się bał; jak chciało mu się trafić do banku, ale nie wiedział gdzie go szukać; jak przychodziło mu do głowy złożyć fundusz u jakiego pana, ale panowie dzisiejsi nie ci

już, co byli dawniej; jak słyszał o akcyach, ale nie wiedział co to znaczy. Adam nie gniewał się na starca, ani też mu uwag żadnych nie czytał, widział w nim zabytek wieku dawniejszego — wcielenie żywe nieprocentującej się uczciwości — uczciwości wielkiej, murowanej, ale jałowej. Na miejscu Bublewicza iluż to oparłoby się pokusie, przedstawiającej się pod postacią bogactwa, po które jemu schylić się było potrzeba? Staremu schylenie się ani w myśli kiedy powstało. Siedział na tyśiącach i czekał; doczekał się i oddał.

Adam musiał z pieniędzmi do Odessy pojechać. W Odessie zabawił tygodni kilka, chciał dokładnie oznajomić się ze stosunkami tej metropolii handlowej kraju, ciężącego ekonomicznie ku morzu Czarnemu. Zabawił i do Hrynenek powrócił.

Wszystko to, cośmy w tym i w poprzednim opisie rozdziele, zabrało czasu tyle, że powrót z Odessy przypadł w późnej jesieni, to jest w porze roku, w której kampania rolna kończy się, a przemysłowa rozpoczyna. Gospodarze zbożowi poobsięwali się i orali na zimę; fabrykanci cukrowi puszczały fabryki w ruch. Tu nastawał spoczynek, tam się zawiązywała czynność. Stan ten odbijał się i na włościanach. Ci co przy zbożu się krzątali, wyszli z niewielkim stosunkowo zarobkiem pieniężnym, lecz mieli gumna pełne; ci co do buraków się wynajmowali, posiadali w kalcie grosz, lecz z grosza żyć musieli. Kto zna

włóścian naszych ekonomiczny temperament, będący dokładną, literalną, tylko nieociosaną tożsamością temperamentu ekonomicznego szlachty, ten różnicy tej doniosłość zrozumie i oceni. Obserwującemu stan ogólny bohaterowi naszemu wpadła ona w oko. Zakarbował ją sobie i wziął przed się postanowienie zgruntowania rzeczy, to znaczy obrachowania majątku chłopskiego, odnośnie do dochodów jakie przynosi, do rozchodów na jakie naraża i do potrzeb tak materialnych jak moralnych, zaspokojenie których stanowi racją bytu rodziny włościańskiej. Na pozór nie zajmował się on niczem: jeździł do Skrzybiniec, gdzie w towarzystwie pani Skrzybickiej i panny Janiny rozkosznie czas spędzał; brał udział w zebraniach sąsiedzkich i w polowaniach; bywał na jarmarkach: lecz tu, i tam i wszędzie karbował, wciąż karbował. Tu obserwował stosunki, owdzie coś notował. Na jarmarku na przykład ciekawość rodzaju dziwnego pchała go wszędzie: do wozów chłopskich, do sklepików żydowskich, do wystaw straganiarek, do szynków, gdzie jarmarkowicze mohorycz zapijali; przysłuchiwał się targom, sprzedaży, kupnu; sam drobiazgi różne kupował i ceny zapisywał. Gdyby kto do jego notatnika zajrzał, widziałby długie cyfr szeregi, które na papierze osobno zestawiał, porządkował i obliczał.

— I na co mu się to wszystko zdało?—zapytać gotów niejednen.

Na co?—dla wiadomości—dla tój wiadomości, co konieczną jest do pełnienia funkcyi obywatela ziemianina. Studyował grunt, zbierając daty statystyczne, będące niezbędnymi do zdania sobie jasnej sprawy z gospodarczój działalności. Chcąc poznać stan majątkowy włościanina, czynił to w celu nie innym, tylko w tym, żeby wiedzieć napewno z kim, gdy sam do roboty stanie, będzie miał do czynienia. W tym też celu zaglądał do chałup włościan, zasiadał z nimi do gawędki, rozpytywał ich o szczegóły bytu ich rodzinnego — uczył się od nich, zastosowując do tój nauki system porównawczy: porównywał ich między sobą, przyrównywał do siebie, do znajomych sobie szlachciców i do szlachty wogóle. Wyglądało to na etnograficzne poszukiwania i było niemi w części, głównie jednak nie o etnografią Bohatérovi naszemu chodziło, ale o — że się tak wyrażę — wystudyowanie należyte roli, jaką odegrać miał w dramacie życia powszedniego, w którém, zwyczajnie jak w życiu, krążyły intrygi, zachodziły kolizye, grały namiętności.

Pomimo przeto, że nic nie robił pozornie, nasz Adam czasu nie tracił nadaremnie: poznawał coraz to lepiej i szérzej, coraz to dokładniej—pознаwał i poznawać się dawał w otoczeniu, które ku niemu ciążyło niejako, a w którém, wśród szarej gromady, oddzielało się postaci kilka, przymykających do niego zblizka. Były to postacie niewieście: babka i Janinka. Z babką łączyły g^o wę-

zły ściśle, wzmocnione miłością, jaką do niego staruszka od pierwszej powzięła chwili; zastąpił-bo on jęj wszystko, co wciagu długiego życia straciła. Z Janinką nie łączyły go węzły żadne, z wyjątkiem onych niepojętych, które się nazywają sympatycznemi. Pomiedzy niemi — powiedzieć można słowami poety — „latał biały gołąb i nosił wieści,” jęj o nim, jemu o nięj. Poza owym „białym gołębiem” poetycznym nie było nic, ani zwierzeń, ani wyznań, ani spojrzeń—nie słowem, coby romans stanowiło. Młodzi ludzie sprzyjali sobie, myśleli jedno o drugiem—kochali się może nawet; lecz Adam, dlatego zapewne że czasu nie miał, Janinka dlatego że, pomimo iż w śpiwce przyznała się do gorącej chętki pójścia za mąż, powściąganą była przez poczucie wstydlivosti dziewiczej, ani słowem, ani gestem nie okazywali jedno drugiemu czego innego, aniżeli proste a serdeczne sprzyjanie. On wielką czuł rozkosz, kiedy się w jęj znajdował towarzystwie, ona toż samo. Na tém się zaczynało i kończyło wszystko—i wlokło się to, nie wykazując w perspektywie rezultatu, do jakiego zazwyczaj doprowadza sprzyjanie wzajemne, objawiające się pomiedzy panną na wydaniu, a kawalerem na ożenieniu.

I wlokło się to tak przez lat dwa, wciagu których bohater nasz obył się, oswoił, przyrósł do gruntu, wsiąkł weń, otarł się śród ludzi w okolicy hryneńskiej tak dalece, iżby się nikt ani domyślił, że on się nie tu rodził i nie tu wychowywał. Prze-

jął ludzi miejscowych ruchy, gesty, mowę i szyk cały. I nie dziw: wrócił wśród tych, co mu swoimi byli, nie we własnej wprawdzie osobie jego, lecz w osobach jego ojca, dziada, pradziada, przodków wszystkich. Stało się z nim to, co w nauce znaniem jest pod nazwą atawizmu, tłumaczącego się działaniem przyczyn naturalnych.

Obywszy się, wzywwszy w życie miejscowe, zebrawszy potrzebne materiały, zabięrał się już do urzeczywistnienia na rozszerzoną skalę zamiaru, owocem którego był model chałupy, kiedy zaszła okoliczność, która urzeczywistnienie powstrzymała. Przybliżała się wieść o Janie. Pan Karol udzielił jej Adamowi; Adam pośpieszył z nią do panny Ewy.

— O panie!... o Chryste! — zawołała ta ostatnia. — Jam się go spodziewała i spodziewam zawsze. Kiedyż przyjedzie?—zapytała.

— Babuni — odrzekł Adam — nie umiem na Babuni zapytanie odpowiedzieć. Nie wiem kiedy przyjedzie, ale to wiem że, jak skorom się o tém dowiedział, obowiązkiem moim jest porozumić się z nim. Od chwili tej nie uważam się za właściciela Hrynenek. Pojadę.

— Dokąd?—podchwyciła staruszka strwożona.

— Do stryja.

— I nie wrócisz? Nie .. nie... nie jedź ty chyba—zaczęła głosem proszącym.—Pojechał Stanisław i nie wrócił... pojechał Jan i nie wrócił... pojedziesz ty i pustka zostanie... Zostanie pustka,

mój Adasiu, zważ jeno... Ja umrę... jam stara: dni moje policzone... Nie jedź ty...

— Moja habunia...— przysiadł się Adam do staryszki i jął jęj wykladać, dlaczego ojciec jego i stryj nie wrócili, a dlaczego on wrócić musi.

Panna Ewa nie była z tych, do których perswazy nie trafiają. Żal i obawa nie zaślepiły jęj. Wysłuchiwała perswazy wnuka i zgodziła się.

— Jeżeli tak... kiedy inaczej być nie może... to jedź.

Biały gołąb zaniósł do Skrzybiniec wieść o wyjeździe Adama i stał się posłańcem smutku. Janinka poznała teraz dopiero, że w sercu jęj tkwiło coś więcéj, aniżeli sprzyjanie młodemu sąsiadowi. Zrobiło się jęj bardzo smutno i, kiedy Adam na pożegnanie przyjechał, nie starała się smutku swego ukrywać. Może nawet, gdyby się starać chciała, dokazaćby tego nie mogła. Adamowi zasmucenie jęj w oczy się wnet rzuciło i zamąciło swobodę w prowadzeniu rozmów z marszałkową, z marszałkiem i z panem Karolem; skorzystał więc z pierwszego momentu, w którym się mógł zbliżyć do nięj, i zapytał, jak Wacław pytał Maryi (Malczewski):

— Pani, „czyś ty nie chora?...”

— Nie, panie Adamie— odparła— ale...

— Co?— zapytał jeszcze z lekkim głosu drżeniem.

— Pan odjeżdżasz— rzekło dziewczę, oczy spuszcżając.

— Odjeżdżam... muszę... obowiązek — bąkał Adam. — Nie odjeżdżałbym, gdybym nie musiał. Panno Janino, niech mi pani wierzy — dokończył, dłonie składając i spojrzenie proszące na dziewczynę zwracając.

— O... wierzę panu.

Gdy wyrazy te wymawiała, w oczach jej tyle było rzewności, że Adama widok ten przejął i poruszył do głębi. Chciał odpowiedzieć, lecz słów stosownych nie znalazł. Powtarzał tylko:

— Gdybym nie musiał... gdybym nie musiał...

— Ha! — westchnęła panna Janina — ale...

— Co... pani?

— Pan powrócisz? nieprawdaż? — Bo to — podchwyciła, usiłując ton inny mówieniu swemu nadać — będzie nam tu pana brakowało... Przyzwyczailiśmy się już do pana, sąsiada takiego blizkiego. Będzie więc pana bardzo brakowało: i mamie, i papie, i Karolowi... no... i — dokończyła cichszym nieco głosem, oczy spuszczaając i głowę pochylając — i mnie troszeczkę.

— Powrócę — z mocnym odparł Adam przyciskiem.

— Kiedy tak, to — rzekła rezolutnie — do widzenia!

Rączkę mu podała; on dłoń jej zlekka uścisnął, a ona prawiała dalej:

— Dobrze jednak, że pan jedziesz: za powrotem będziesz miał do opowiadania dużo, dużo...

Proszę się przygotować na to, że będę się rozpytywała o wszystko.

Takiem było rozstanie się Adama z Janinką. Na pozór nie zobowiązał się względem niej do czego innego, jak do tego, że powróci.

I zobowiązania dotrzymał.

Na drodze to z powrotem zdarzyło się mu uratować życie prezesowi Sonne i zabrać znajomość z Dola, córką prezesa, baronową Grubenstock.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F

1270